



OTTELLA

I

DZIEŁA

SEWERYNA

GOSZCZYŃSKIEGO.

TOM I.



W WROCŁAWIU,

NAKŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.

1852.

DZIEŁA

SEWERYNA

GOSZCZYŃSKIEGO.

TOM I.



W WROCŁAWIU,
NAKŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.

1852.



POWIEŚCI PROZĄ.

ODA.

STRASZNY STRZELEC.

KRÓL ZAMCZYSKA.

◆



CZYTELNIA KSIĄZEK

821.16h.1-311.h

Przemowa.

Pisma zawarte w niniejszym zbiorze są częścią jedną z głównych prac mojego życia, w wywiązywaniu się z powołania jakie czuję na sobie dla dobra moich ziomków i mojego własnego.

Mojem pragnieniem było widzieć zbiór ten większy, pełniejszy, całkowity, i tym sposobem złożyć w jedną całość, raz na zawsze, mojemu narodowi co mu odemnie należy z długiego, ważnego okresu mojego życia; jakkolwiek bowiem plody te nie zawsze są wartości pożądaney i użytku pożądanego, wszakże śmiemniem twierdzić, że względnie do czasu, do ogólnego stanu rzeczy, do ducha przeszłości, pod wpływem któ-

rych były wydawane, poczynaly się w chęciach czy-
stych i szczerých, w usiłowaniach ofiary żyjącej, czyn-
nej, jak ją wówczas pojmowałem, na jaką wówczas
zdobyć się mogłem. — Okoliczności, przeszkody,
niezawisłe od mojej woli, niedozwolily mi ziścić
tego pragnienia, musiałem ograniczyć się do czasu
na ogłoszeniu cząstkowym, nie tracąc nadziei,
że wkrótce innemi drogami zbiór ten dopełnię
i zamknę.

Cokolwiek nastąpi, czuję się w obowiązku
poprzedzić te pisma kilką słowami, któreby pomo-
gły czytelnikom widzieć je w świetle jak najpra-
wdziwszém, przynajmniej z pewnej ważnej ich
strony, a to dla tego jedynie, aby przyniosły jak
najmniej szkody przez to co może w nich być
szkodliwe, a przysłużyły się prawdzie cząstkami
prawdy, które się w nich zawierają: chciałbym
jednym słowem, aby z nich użytkowano z tego
stanowiska bezstronności, z którego ja sam patrzę
dzisiaj na nie.

Pomijam formę, stronę zewnętrzną tych utwo-
rów, nie żebym ją lekce ważył, ale że ją mam
za rzecz podrzędną, że byli już i znajdą się jeszcze
bez wątpienia, którzy właściwiej i lepiej, ze sta-
nowiska sztuki, rzecz tę roztrząsają i osądzą, że
nakoniec w samém tworzeniu zajmowała mię głó-
wnie idea, istota utworu. Ograniczam się więc
na tém tylko przez co możnaby mieć sąd jak naj-
właściwszy o istocie tych pism, o ich wartości
wewnętrznej.

Nie pisałem nigdy w widokach zysku mate-
ryalnego — tak zawsze wysoko cenilem świętość
natchnienia, że handel niém kładłem na równi ze
świętokupstwem; a być rzemieślnikiem w pisar-
stwie, na to, dzięki Bogu, nigdy się niemógł
zdobyć, nawet pod bodcami najdolegliwszych po-
trzeb życia.

Nie pisałem nigdy dla rozrywki, dla uciechy
własnej lub innych: — powołanie poezji schodzi
według mnie z takiej wysokości, że zamienianie

jój w narzędzie igraszki lub roskoszy, w trefnisia lub nierządnicę, uważam za jedną z wielkich zbrodni moralnych, wielką w czytelniku, jeszcze większą w poecie. Szanowałem też samego siebie tyle, żem się nigdy nie zniżył do podobnego spodlenia.

Nie pisałem nawet nigdy dla oklasków, dla chwały ludzkiej. Taką czczość czuję w naszej chwale poziomej, że nie byłbym nigdy zdolny jednej nocy dla niej nie dospać. Dla tego jeszcze nie pojmowałem nigdy owej zasady: sztuka dla sztuki, i nigdy nie uderzyłem czołem przed jej bałwanem.

Człowiek działania, otoczony zewnątrz niedolą rzeczywistą, wewnątrz budzony to bólami rzeczywistości, to przewidywaniem a niekiedy i poczuciem szczęścia rzeczywistego, wpleciony w koło rzeczywistości wszystkimi władzami ciała i ducha, całą istotą, miałem zawsze, chciałem mieć poezją za rzeczywistość, za czynny środek, za potężną

dźwignię w robocie rzeczywistego postępu ciała i ducha ludzkiego, podnoszenia się ich ze sfery ziemskiej, materyalnej, ku sferze coraz duchowniej-szej, coraz bliższej Boga. Z jakichkolwiek światów przyjmowałem natchnienia, uczucia, ideje, w jakiegokolwiek ubierałem je ciało, pod jakiegokolwiek przedstawiałem je formą, mój cel główny, moje stałe usiłowanie było zawsze tak je zastosowywać do chwili danej, do potrzeb obecnego położenia, aby życie obecne zasilać przeszłym lub przyszłym, widome, dotykalne podnosić, uświęcać niewidomym, nadzmysłowem.

Do tego zawsze zmierzał, tego nie zawsze dopiął, a może nigdy w pełni. Jestto powszechna niedola czasu; wszystkie drogi ludzkie w sferze przeszłości, dostępne siłom ludzkim samym sobie zostawionym, zaufanym w sobie samym, są pod jej prawem. Winny spólną wszystkim winą, byłem pod prawem wszystkich. Jako poeta nie mogłem być lepszym od innych, którzy są bez

porównania potężniejsi jak ja, ale na drogach równie niewłaściwych. Koleje nasze jeżeli nie te same, to podobne sobie, bo krążą po tej samej sferze: stąd w całym ogóle te same wady, upadki, ta sama mieszanina prawdy i fałszu; świętość celów a pogaństwo środków; wyraz natchnienia nieodpowiedny jego wysokości; na dnie czysta religijność a w objawieniu oszpecona niskimi namiętnościami; walka na śmierć ze złem, z fałszem, z uciskiem, a w tej walce taktyka i oręż brane ciągle od przeciwnika; stąd szamotanie się bez końca i następnie gorycz tonu, rozpacz, zwątpienie, omdlenie; albo w potężniejszych duchach, wyrzeczenie się sfery ziemskiej, oddalenie się z pola boju, życia, działania, ofiary, a utonienie w sferach marzenia, nierząd z marami, i szczyt tego stanu prorokowanie bezplodne, czyli dostrzeżenie prawdy zamglone, bez mocy, bez wiedzy dojścia do życia przez nią i doprowadzenia drugich do tego życia.

Oto jest charakterystyczne piętno utworów naszego czasu; czas ten odbija się i w moich pismach. Niepodobna mi było uniknąć tego upadku, ze światłem i siłą, które nam daje przeszłość trzymana dotąd przez ludzi; niepodobna mi było postrzedz się nawet na nim bez nadzwyczajnej pomocy z ogniska wszelkiego zbawczego światła, wszelkiej prawdy żyjącej. Ta pomoc dotknęła mię, kiedy usłyszałem, kiedy przyjąłem słowo żywe nowych czasów, zapragnąłem całym duchem wyższego życia chrześcijańskiego, poddałem się wyższemu prawu Chrystusowemu, postawiłem krok pewny na drodze ofiary wyższej, duchowniejszej.

Jest to jedna z chwil najważniejszych, nie tylko w moim żywocie obecnym, ale w mojej wieczności, w całym bycie ducha mojego, kiedy się zbliżyłem z mężem przez którego mi ta pomoc, ta nadzwyczajna łaska niebios zesłała. Nie tu miejsce i pora obszerniej to opowiedzieć, ale dopełniam obowiązku braterskiej miłości, składając

i w tej chwili, w tych kilku ogólnych słowach świadectwo prawdzie, opiece wyższej gotowej zawsze ratować człowieka, nakoniec mężowi, który dla mnie stanął wiernym jej organem.

On-to, między inném dobrém które mi sprawił, także mię wprowadził i w tajemnice poezyi, głębiej i jaśniej niż wszystkie najlepsze o tém książki, niż najbieglejsi estetycy i krytycy, niż najwyżsi poeci, a tém samém zobaczyłem w większej prawdzie i siebie i moje prace na tém polu.

Patrząc z nowego mego stanowiska, miałem chwilę jakby przerażenia, do tego stopnia, że mi przeleciała myśl zniszczenia wszystkich pism moich z tego okresu zamkniętego już dla mnie. Ale światło tego samego stanowiska, kiedy się lepiej rozpatrzył, odkryło mi drogę prawdziwszą. Poczulem że nie miałem tego prawa życia i śmierci nad moimi utworami, że jestem niemi dłużny mojemu narodowi, mojemu czasowi. I zacząłem usiłować, aby jak najprędzej wypłacić się z tego

długu. Tém ogłoszeniem wypłacam się z pewnej części. Nie jest w mojej możności wypłacić wszystko od razu. Mam pewność że to wkrótce nastąpi.

Dopełniając i zamykając com wyżej powiedział, ostrzegam:

ze pisma, zawarte w niniejszym zbiorze, należą do okresu życia, który, mam nadzieję w Bogu, zamknął się dla mnie już na zawsze, nie będą więc nigdy stanowiły doskonałej jedności z tém co piszę obecnie, a co chciałbym także jak najprędzej ogłosić;

ze wszystkie te pisma nie przechodzą za datę roku 1842, kiedy stanął na inném stanowisku widzenia prawdziwszego wszelkiej rzeczy;

ze ich nie podaję za pomniki sztuki. Najwłaściwiej cały ten zbiór jest jakoby część pamiętników rymowanych mojego życia i moralnego i ziemskiego; rodzaj spowiedzi z przeszłości odgraniczonej obecnością inną. I w rzeczy samej, są

one objawieniem różnych dróg po których w przeszłości duch się mój błąkał, odznaczając je widomie poezjami.

I to był główny powód, który mię skłonił do ogłoszenia tych poezji. Czytane, rozbiierane ze stanowiska prawdziwego, w swoim złém i dobrem, mogą być bardzo pożyteczne. Mówię to z własnego doświadczenia.

A to stanowisko prawdziwe, na którym człowiekowi złe nie szkodzi, a dobre zasila go całym swoim życiem — jest w mocy każdego.

Ja z mojej strony com powinien był zrobić, o ile prawda, o ile miłość bliźniego zostawiła mię wolnym w tej rzeczy, to zrobiłem, dałem klucz do tego stanowiska, a przynajmniej wskazałem gdzie go trzeba szukać, gdzie go można znaleźć. Klucz ten posłuży nie na samém tylko polu poezji.

Dobra wola, prawdziwe czucie chrześcijańskie łatwo mię pojmą; a czytelnicy tej przemowy

mogą być pewni że, prędzej czy później, pojdzie każdemu według jego pragnień najgorętszych, według kierunku usiłowań jego.

Oto słów kilka, do których naród mój z powodu tych pism miał prawo, które mu koniecznie byłem winien, które mu przesyłam w pragnieniu, aby je przyjął z takim rozmysłem i miłością, z jakim rozmysłem i miłością pisałem je dla jego dobra.

Pisałem 4. Lipca 1851 roku.

OD A.

POWIEŚĆ Z CZASÓW BOLESŁAWA CHROBREGO.

I.

W najgłębszej i najpiękniejszej ustroni Tatrów, wśród skał szarych, wśród lasów świerkowych, leżał zamek Gromowida, zaczepiony, jak koza, na urwistym boku góry, a w takiej wysokości, że szczyty jego spoczywały już na tle ciemnej zieleni kozodrzewia; wierzgiem lysiła już tylko opoka, przemykały się kozy, świstały strzały strzelców, przechadzały się wiatry i chmury, grały i płonęły pioruny. Pod nogami jego ponure gęstwy borów drzymały wiecznym, nieruchomym oblukiem; dolina najświeższej zieleni, wygięciem pasmem gór, patrzała ku nim, jak oko wesołe, a wzdłuż jej błyskały fale Czarnego Dunajca, jak połysk ruchawej źrenicy. Niema w całych Tatrach dzikszej i piękniejszej okolicy, niema też cichszej. W dzień śpiewy i okrzyki pasterzy, dźwięki piszczałek, gwar trzód, były tylko słowami pieśni, a cisza była jej muzyką uroczystą, wesołą, pogodną; w nocy szum wiatrów i wód, gwizdy bobaków, ryk niedźwiedzi, hukanie nocnych ptaków, były tylko słowami pieśni, a cisza była jej muzyką uroczystą, ponurą, zamgloną. Noc i dzień,

pogoda jasna i chmurna, przedstawiały się tu jak zmiany oblicza zawsze pięknego.

Takie było ustronie, takie życie w około zamku Gromowida. Ale miłsze, pełniejsze i cichsze życie panowało w zamku. Gromowid, doświadczony mąż boju i głośny w wyprawach Chrobrego; Oda, najpiękniejsza z góralek, używali tu pierwszych roskoszy połączenia się swojego, z pełnej czary małżeńskich pieśzcot, całemi duszami. Z umysłu wybrał Gromowid tę ustron, i zamknął się w niej przed światem, aby świat nie miał najmniejszego udziału w ich szczęściu, aby nic ich nie wytrzeźwiało z upojenia. A upojenie nowożeńców było niemale, jak były płomienne, silne, samą dzikością nowych czasów ich serca. Gromowid postrzygany był jeszcze obyczajem pogańskim, w młodzieńczych dopiero latach poznał wiarę prawdziwą; przyjął on ją z całym zapalem, ale nie zdołał oczyścić krwi i ducha z resztek bałwochwalstwa, często hołdował przewadze ciała, nieugłaskanym namiętnościom. Takie też piętno miała jego miłość dla młodej małżonki.

Podobna była miłość Ody dla Gromowida. On ją nawrócił; a dzień zaślubin był dniem chrztu dla niej. Miłość Boga prawdziwego weszła w serce Ody z miłością kochanka ziemskiego, zlała się z nią, zgasła w niej prawie, i wydała tylko roskosz i upojenie ziemskie. Nie dziw, że takie dwa serca półpogańskie zapomniały dla szczęścia swojego o wszystkim,

— przynajmniej na czas jakiś; żyły tylko przez siebie i dla siebie. I nie w samej chwili pieśzcot można było postrzegać owo ich zlanie się w jedno. Kiedy Oda śpiewała rodzinne, tkliwe pieśni, serce Gromowida topniało, oczy zachodziły łzami, duch niewieści wstępował w niego. Kiedy znowu Gromowid opowiadał srogie wyprawy, dzielność wodza Lechitów, piękną okropność bitew, radość rycerskiego serca w zgiełku bojów, większą jeszcze na polu zwycięstwa, popłoch nieprzyjaciół przed tchnieniem odwagi, Oda zapomniała o słabości swojej płci, czuła rozchodzącą się po członkach męską siłę, drżała do miecza, gotowa była lecieć w ogień bojów. Takimi byli w cichém ognisku zamkowém, takimi byli na częstych wycieczkach w góry: Gromowid nie wstydział się przykładać rycerskiej ręki do niewieścich robót żony, Oda nie wzdrygała się przed trudami i przygodami łowów na najdziksze gór zwierzęta. Było w tém wszystkiém wielkie szczęście, ale to szczęście nie mogło trwać zawsze, nie mogło trwać długo. Przyszedł czas nareszcie, że poznał to Gromowid. Sumieniem jego począł klócić niepokój, uciechy poczęły gorzknąć wewnętrzną zgryzotą. I w rzeczy samej coraz jaśniej widział, że był występny.

Bolesław obwołał kraj trzykrotnemi wiciami na wyprawę kijowską, a on skrył się w ustron, aby się nie znalazł na ich drodze. Cały naród w obo-

zowym ruchu, a on gnuśniej w miękkich objęciach kobiety. Napróżno jego zbroja odbrzmiewa wojennym trąbom, głos ulubionej zagłusza zbroję. Wojsko pociągnęło na Ruś, wieści o bojach i zwycięstwach już obiegają Polskę, radują, wstrząsają wszystkie serca, a tylko jego serce odrętwiało. Odrętwiało dla czynu, ale nie dla zgryzoty.

Gromowid kochał Odeę, ale nie przestał kochać ojczyzny i rycerskiej chwały. W upojeniu roskoszy małżeńskich nie stracił całej pamięci na to, co był winien krajowi. Poznał, że uciechom małżonka poświęcił obowiązki męża Polski. Odtąd dwa sprzeczne uczucia stanęły naprzeciw siebie, jak dwa groźne wrogi; długo, długo spokojne, zaczęły się zmierzać. Starły się nakoniec. Walka od chwili do chwili stawała się gwałtowniejszą, ale wciąż niepewną. Miłość niewieścia, pieszczoty niewieście, sprzymierzone ze wszystkimi czarami cichego, ławego szczęścia, trudne były do pokonania; wzmacniała je nadto osłabiona wola Gromowida. Ale ta walka odbierała rozpieszczonemu sercu najdroższy skarb jego, najpierwszy warunek szczęścia — spokojność. Miłość niewieścia, pieszczoty niewieście, straciły połowę swojego uroku, nie ustępowały jednak z pola, aż przyszła chwila, która walkę rozstrzygnęła.

Noc była późna. Gromowid spoczywał obok swojej małżonki. Księżyc zaglądał w okno. Chmury

przelatujące zakrywały, to odsłaniały twarz jego. Blask walczył z ciemnością wewnątrz komnaty: podobna walka uczuć miotła sercem Gromowida. Nie mógł usnąć, a jednak znużony rokoszą. Podniósł się, patrzył w twarz kochaną, głęboki sen osłaniał ją urokiem swoich skrzydeł, głębokie technienia podnosiły jej piersią, usta uśmiechały się przez sen, przyłożył do nich swoje, napróżno! i w nich nie znalazł spokoju. Wstał cicho. Bez myśli, bez wiedzy szedł do zbrojowej sali. Księżyc i tutaj patrzył przez okno: to jasnym okiem przeglądał zbroje, to chmurząc się okrywał je cieniem. Te zbroje, ten pozór wojny, powiększyły udręczenie, obudziły wstyd w sercu Gromowida. Nie śmiał stąpać, bo każdy krok rozlegał się po nocnej ciszy, jak echo groźby, i budził brzęk rycerski: rzucił się na najbliższą ławę, zadumał się, uczuł znużenie, zmrużył oczy, i zdawało się że usnął. Krótki był jego spoczynek, dziwne przebudzenie. Porwał się równemi nogami, przetarł oczy, pozierał do koła, niby przypominał sobie, gdzie się znajduje, i puścił się szybkim krokiem ku sypialnej komnacie. Zbliżył do drzwi, zwolnił chodu, wspiął się na palce, stąpał zaledwie dotykając ziemi, z lekka drzwi komnaty uchylił i wszedł do niej: w północnej ciszy slychać było gwałtowne, nierówne bicie jego serca. Zbliżył się témże stąpieniem do łoża, obejrzał je iskrzącem od jakiejś trwoży okiem, odetchnął ciężko, jak żeby

ogromne brzemie zrzucił z piersi, ukląkł przy łożu, załamał ręce, i wzniosłszy w górę pobożne wejrzenie, zawołał półgłosem: »Dzięki Ci o Boże dobry, że to był tylko sen marny!« Po tych słowach wstał, wahał się niby między jakimiś myślami, ale w końcu wyszedł, równie cicho jak spiesźnie. Biegł prosto gdzie spał Warcisz, stary, wierny sługa od lat niemowlęcych. — »Warciszu!« rzekł budząc sługę, — »wstań, mam z tobą pomówić. Słuchaj: tobie nie obca nauka guślarzy. Poradz się jój teraz i uspokój mię. Oto przed chwilą wszedłem do wielkiej sali, i miałem dziwne widzenie, niby przez sen, niby na jawie. Patrzyłem jakoby na moją zbroję, co tam wisi, i ujrzałem, że się poruszyła i szła ku mnie. Gdy stanęła tuż przedemną, zobaczyłem pod nią młodzieńca precudnej urody, z wejrzeniem dziwnego blasku, ale smutnym, długie włosy wymykały się kobiecym warkoczem z pod szyszaka, a dwa orle skrzydła wielkie i jasne spadały z pleców, jak u ptaka postrzelonego. Młodzieniec wziął mię za rękę, postawił przed oknem, i ręką wskazał za okno. Wtedy zobaczyłem nieznaną mi jakąś krainę, ogromne pola i lasy i wielką bardzo rzekę, i na górze przy rzece gród jakiś okazały, bardzo warowny. Na murach grodu widziałem tłumy uzbrojone, a pod murami widziałem wojsko nasze, jak przeze mgłę, poznałem jednak że nasze. Co dziwniejsza, wyraźnie rozpoznałem postać Chrobrego. Obrócony był ku

mnie twarzą, oczy miał gniewne, a stał tak blisko mnie, że iskry jego oczu padły mi na serce; zdaje się, że jeszcze dotąd je czuję. Spłonąłem cały wstydem, spuściłem oczy, a młodzieniec pociągnął mię znowu za rękę w stronę przeciwną. I oto znaleźliśmy się przede drzwiami sypialni. Młodzieniec pchnął drzwi, a ja ujrzałem na łożu czy uwierzysz? mamże powiedzieć, co ujrzałem? Moją Odę w objęciach jakiegoś obcego, jakiegoś mnicha. Zadrzałem z gniewu, jak nigdy nie drzałem, Nie wiem już, co w tej chwili chciałem zrobić, ale młodzieniec zniknął, a ja ocucilem się, nie wiem dotąd, ze snu, czy z widzenia, i ujrzałem się na ławie, jak przed tém przywidzeniem. Warciszu, zlituj się, powiedz mi, co ten sen znaczy?«

Starzec wpatrywał się ze zdumieniem w twarz swojego pana, drżącego jeszcze na wspomnienie okropnego snu, przeżegnał się, pomyślał i zawołał: »Bóg z tobą Gromowidzie! Próżno się trwożysz. Jest to nic więcej jak ostrzeżenie boskie. Ten młodzieniec, to twój Anioł-Stróż. Owa kraina obca, to Ruś. Owo wojsko, to nasi i Rusini w boju; a mnich obok twojej żony, to ty Gromowidzie, daruj staremu słudze, to ty sam, jaki jesteś w dzisiejszej twojej nieczynności, i jakim będziesz, jeśli dłużej tak zostaniesz. Gromowidzie, to ostrzeżenie boskie, nie waz go lekce.«

Gromowid słuchał z uwagą, nie pokazał żadnej

urazy, przeciwnie z pokorą, ale głosem silnej woli odpowiedział: »Twoja prawda! Dziękuję ci za nią, Warciszu. Otworzyłeś mi oczy na moją hańbę, ale jeszcze pora otrząsnąć się z niej. Nie, nie powinienem dłużej zostać. Trzeba mi jechać do wojska, i pojedę, a pojedę dziś jeszcze, natychmiast. Idź zaraz, rozbudź wojenną czeladź, i niech we mgnieniu oka będą gotowi do drogi.«

Warcisz ośmielił się poradzić, aby poczekał do rana; trzeba wszakże i snu użyć, bo podróż nużąca, potrzeba i żonę pożegnać.

Gromowid był niezachwiany; wola jego poszła już w tym kierunku, że złamie wszystkie zapory; mimo to, spomnienie żony zhamowało go na chwilę, zamyślił się i wnet wrócił do pierwszego postanowienia, z mocniejszą nawet wolą zdaje się, bo rzekł: »Nie, zostaw czeladź do rana. To będzie trwać za długo, to rozbudzi cały zamek, i ona w tym czasie może się obudzić, a ja muszę wyjechać. Dla mnie więc tylko przygotuj konia, a resztę jutro po dniu wyprowadzisz; wszak drogę wiesz, zwyczajną, wypoczywając będę czekał mojej służby. Idź. Zbroję sam przywdzieję.«

Warcisz miał odchodzić; chwila nieprzyjazna jeszcze raz uderzyła w Gromowida, zatrzymał sługę: »Czekaj, odjechać bez pożegnania, bez ucałowania Ody, to boleśnie! A tymczasem, kto wie, może jedno jej słowo . . . ty wiesz, co jej słowo, co jej

łza może nade mną, możeby mię zachwiała, odwołały od postanowienia. Nie chcę jej widzieć. Ty ją pożegnaj ode mnie! Powiedz jej, co mię kosztował ten odjazd, powiedz i to, że musiałem tak zrobić.«

Mimo to stał w miejscu i myślał sobie: »Ale nie, pójdę sam, pożegnaj; albowiem słaby jak kobieta?! Nie będę jej budził. Jeżeli się obudzi, potrafię oprzeć się jej wyrzekaniom; jeżeli nie, pożegnaj śpiącą, będzie to znać wola boska. Warciszu,« rzekł głośno, »chodź ze mną!«

Weszli do sypialni. Oda spała wciąż snem głębokim. Długo stał i patrzył w nią Gromowid; pragnął zdaje się jej przebudzenia. Zdobył się wreszcie na krok stanowczy, przechylił się ku uśpionej, dał pocałowanie kradzione, i znowu stanął, i czekał jeszcze, i patrzył do koła. Warcisz pociągnął go z lekka do wychodu. »Chwila jeszcze,« szepnął Gromowid, »co postanowiłem, to zrobię, ale jeszcze chwila.« Oko jego padło na dziewiczy wieniec Ody, który jako pamiątka ślubna wisiał nad łóżkiem. Gromowid zdjął go, położył na głowie Ody, szepcząc półgłosem, a w twarzy widać było, że mówił z głębi ducha: »Żono moja, oto przez ten wieniec masz być jako dziewica aż do mojego powrotu. Noś go do mojego powrotu. Biada temu, kto się go dotknie przede mną, biada głowie co go straci. Tak mi Boże bądź świadkiem i ty Warciszu!« A oblicze uśpionej, jakby się w nią odbiło przykre uczucie Gromowida,

zamgliło się pół smutnie, pół rzewnie, wewnętrznym niby płaczem, a ręka uśpionej podniosła się przez sen, i spoczęła na wieńcu, jak żeby chciała go przytrzymać.

Gromowid nie widział już tego. Zdaje się mało ufając swojej woli, wybiegł co prędzej z sypialni i udał się do zbrojowej sali. Za chwilę stał już na dziedzińcu w przyborze rycerskim, a przed nim stary sługa z koniem.

„Warciszu!“ zawołał dosiadając konia, „nie zapomnij powtórzyć Odzie, co ci powiedziałem. Ja powrócę prędko, zdrowo; tego jestem pewny. Ty bądź jej opiekunem, ojcem. Pocieszaj ją, strzeż jej. O! strzeż jej, jak źrenicy w oku, Stary, ty wiesz, jak ją kocham. Biada nam wszystkim, gdybym jej nie znalazł taką, jak zostawiam, taką piękną i niewinną!“

Domawiał tych słów już na koniu; w milczeniu dał mu ostrogę. Zwolna przejechał dziedziniec zamkowy, zwolna spuścił się z góry; ale raz na płaszczynie doliny, pognął konia w całym pędzie, jak żeby lękał się za sobą pogoni płaczu i wyrzutów swojej Ody.

II.

Boleść Ody po odjeździe Gromowida porównać można tylko ze szczęściem, którego używała w jego objęciach. Była ona tém gwałtowniejsza, im zerwanie szczęścia było mniej spodziewane. Każda chwilka przeżyta z Gromowidem w pieśczętach, w roskoszy, w marzeniach przyszłych pieśczęt, i rokosz zamieniła się we łzę bolesną; za każdym krokiem, w każdym przedmiocie zjawiał się jego obraz, ale za mgłą tęsknoty i żalu. Cały świat otoczył Ode jak chmura smutku; przeszłość i przyszłość rozlały się w okrąg jej serca morzem płaczu. Napróżno stary Warcisz dla pocieszenia biednej powtarzał jej najtkliwsze z ostatnich słów odjeżdżającego męża, przyświadczał jej jego nieznośnej wewnętrznej walce w chwili odjazdu, wymawiał go obowiązkami syna ojczyzny, syna rycerskiego, zaręczał szczęśliwy i rychły powrót; słowa pociechy padały na zbolełe serce, jak palące krople na świeżą ranę; tylko rozjątrzały boleść, powiększały cierpienie. Wkrótce stały się one jej nieznośne, a unikając ich poczęła unikać ludzi. W końcu samotność zamieniła się w potrzebę życia, w pewien rodzaj uciechy, jedynę roskoszy, jaką w tym stanie znaleźć mogła. Czy to w domu czy za domem, wszę-

dzie i zawsze chciała być sama. W domu zatrudniona niewieścią robotą, przesiadywała dzień cały między cichymi ścianami swojej komnaty, niewidziana od nikogo. Podobnie bląkała się po dniach całych między górami. Jeżeli kiedy zdarzyło się jej wezwać do tych wycieczek swoje służebnice, z dala kazała im być od siebie, a ona nad brzegiem jakiego potoku, nieruchoma po całych godzinach, odurzająca myśl jego szumem, oko pędem fali, rośła dziwne mary, żyła w świecie zaświatnym. Straciły dla niej urok pieśni rodzinne, które tak dotąd lubiła, które w gronie swoich niewiast słuchała z taką rokoszą: dzisiaj znieść ich nie mogła oprócz kilku najrzewniejszych, najlepiej przystających do cierpiącej duszy. Czasem z cichiej zadumy przechodziła do gwałtownej rozprawy; a wtedy szemrała przeciw dobroci Boga, bluźniła wojnie, sławie, ojczyźnie, wszystkiemu, co ją rozłączyło z mężem. Boleść Ody, jednym słowem, nie była to boleść niewiasty łagodnej, poddanej, czekającej cierpliwie końca swoich cierpień, ale duszy półdzikięj, silnej, czynnej, która każde uczucie mile czy niemiłe gotowa jest posunąć do ostateczności, wyczerpać do dna. Kto pod takim bodźcem szuka końca swojej rozpaczy, znajdzie go wreszcie.

W tym stanie największą jeszcze miało dla niej ponętą obcowanie z dziką przyrodą gór, a z największym upodobaniem zwiedzała te miejsca, do których

łączyło się spomnienie jej męża. Pewnego dnia, czy ten czy innego rodzaju pociąg zaprowadził ją na skały, które tworzą jakoby bramę Kościeliska od strony płaszczyzn. Tam fale Dunajca żegnają się po raz ostatni z macierzystą doliną, i z głuchym szumem opuszczają domowe swoje góry; ztamtąd rozległy widok właśnie na okolicę, która leży między strapioną Odą a jej mężem bojującym: ztamtąd może pierwsza ujrzy błyszczącą zbroję powracającego, może pierwsza usłyszy tentent jego konia.

Słońce letnie dawno zagasło; czerwony zachód bledniał; wszystkie już gwiazdy wyjrzały z głębi niebios; grubym cieniem okryły się nieobejrzone lasy Tatrów; księżyc podniósł się z za gór i oblewał swoim blaskiem całą okolicę. Szarzały z dala, jak groźne widma, nagie opoki obliczem wychyloném z czarnej otchłani świerkowych gęstwin; po dolinie rozścielała się w dziewiczej bieli mgła powiewna, a Oda siedziała jeszcze na wierzchu opoki, w niepokoju pragnień, pod falami nadziei to żalu, z okiem i uchem ku drodze wytyżoném. Głęboko, pod jej nogami wrzał głuchy szum Dunajca, wtórowały mu z różnych stron dalsze i bliższe pobukiwania sów i pułaczów. Nie było słycać żadnego śpiewu wdzięcznych dnia ptaków. Muzyka gasnącej przyrody grała uroczyście, ale ponuro. Żaden wiatr nie śmiał jej zakłócić; liść nieruchomy zdawał się z trwogą jej słuchać. Dokoła cisza i ciemność;

tylko rojami iskier krążyły świętojańskie robaczki. Dwie domownice Ody, najczęstsze towarzyski jej późnych przechadzek, leżały pod świerkiem, z dala od niej. Oda, jak zwykle, chciała być sama; chciała sama z brzegu przepaścistej skały słuchać szumu Dunajca, dobierać do jego posępnego tonu posępniejsze jeszcze myśli. Onaby tak całą noc przetrwała. Z wolna, z cicha, na drugiej stronie przepaści, ozwały się dźwięki, niby strojenie gęśli, niby przygawka; ucichły, podniosły się znowu, ale już w łonie jednej myśli, tęsknej, rzewnej, powolnej, przez pół religijnej, zaokrągliły się w całość zwrotki, umilkły i znowu się ozwały, tą razą z towarzyszeniem głosu czystego, dźwięcznego, pełnego, męskiego; jednak czuć w nim było, że pierś, z której wychodzi, rozbita jest sercem gwałtownych wzruszeń. Pieśń ta była następującej treści:

Cześć tobie, o bogini mojej nocy!
 Jaka ty blade i posępna, a jednak taka jasna i piękna!
 O czemuż nie mogę cię widzieć w każdej chwili jak teraz:
 Wschodzisz dla mnie dopiero wtedy, kiedy słońce gaśnie;
 Tylko przez zasłonę nocy raczysz mi świecić.
 Tylko nocne ptaki wtórują moim pieśniom.
 Ale ty je słyszysz. O! gdybyś wysłuchała!
 O! prześliczna bogini, nie schódź z mojego nieba!
 Świeć tak dla mnie przez noc całą;
 Miliony gwiazd nie zastąpią mi ciebie.
 Świeć tak dla mnie przez dzień cały,
 Słońce wesołe jest niezem obok twój smutnej bladeści.
 Wysłuchaj mię, o bogini mojej nocy!

Od pierwszego dźwięku zadrzała Oda, niby trwoga, niby Bóg wie jakim uczuciem. Lękać się nie miała przyczyny; przyszło jej zaraz na myśl, że śpiewak jest na przeciwnej skale, że zatem ubezpiecza ją zaporą głębi, której żaden skok śmiertelny przebyć nie potrafi. Im pieśń dłużej się ciągnęła, tem bardziej słabło pierwsze wrażenie przykre, a wzmagało się milsze. Wkrótce nie miała już chęci, a prawie mocy oddalić się, poruszyć się. Każdy dźwięk przykuwał ją do miejsca, jakby nowe ogniwo niewidocznego łańcucha; było coś czarodziejskiego w tej pieśni razem pobożnej i żalostnej. Podczas grania służebne przybliżyły się także, z odmiennem jednak wrażeniem, widać, że się niepokoiły, ale nie śmiały pierwsze przerwać zasluchania się pani. Dopiero kiedy pieśń ucichła, a Oda, niby ockniona, poczuwszy je przy sobie, zwróciła się ku nim i zapytała czy słyszały granie? starsza ze dwóch, sędziwa Marya, za całą odpowiedź rzekła: »Odo, czas wracać do domu. Przybliża się godzina złych duchów i złych ludzi. Bezpieczniej nam być daleko od tego miejsca i od takiego śpiewania.« Nie było powodu odrzucić wezwania Maryi. Oda bez oporu powstała, ale po kilku krokach zatrzymała się, bo śpiew znowu się odezwał w następnych słowach:

O prześliczna bogini mojej nocy,
 Ledwie mi błysnęłaś i już zachodzisz!
 I znowu nie przedko cie ujrę, chyba jutro.



I znowu będę się dręczył ciemnością, sam ponury jak ciemność.
 O czemuż nie możesz mi świecić zawsze jak teraz?
 Jaskinia moja dzika, naga, pusta,
 Ale znajdziesz w niej cześć i miłość, jak bóstwo.
 Tam nas nie rozdzieli żaden obłok.
 Tam będziesz wschodzić i zachodzić w mojej miłości.
 Wysłuchaj mię, ozdobo nieba i ziemi!

Głos śpiewaka coraz posępniejszy, tchnął coraz głębszym wzruszeniem pobożnym, błagalnym, a przenikał serce jak głos miłości i wlewał w nie takie upojenie. W podobnym upojeniu stała Oda; przewał je nietopérz, który znęcony bielą niewieściego rąbka, snuł się jakiś czas w około nieruchomój Ody, i w końcu padł na jej piersi. Krzyk przestachu powtórzony przez służebnice, zagłuszył tajemniczą muzykę. Pomieszane wszystkie trzy, oddaliły się natychmiast i spieszenie poszły ku zamkowi; wszakże jakiś czas jeszcze gnały za nimi tajemnicze dźwięki, coraz, coraz głuchsze. Kiedy w oddaleniu całkiem umilkły, a czas, ruch i bliskość domu przegnały wszelką obawę, Oda zwróciła rozmowę do owego śpiewu, jak jego wrażenie ocknęło się z dawną mocą.

»Prześliczna pieśń!« zawołała.

»Prawda,« rzekła Marya, »ale bezpieczniej nie słuchać jej.«

»Cóż w niej może być złego? Jest to nic więcej tylko modlitwa do księżyca.«

»Tak! modlitwa do Ziewonii, do biésa, którego czczą nasi bracia niewierni, modlitwa pogańska.«

»A jednak piękna. Szkoda, że śpiewak był ukryty.«

»Odo! co mówisz?« zawołała Marya, »lepiej podziękować Bogu, żeś go nie widziała.«

»Albo go znasz Maryo?«

Marya przeżegnała się z przestachem: »A niech mię łaska Boża od tego uchowa!«

»Dla czego?« zapytała Oda tém ciekawiej. »Któż on jest? Cóż o nim wiesz Maryo? Powiedz!«

»O! powiem. Dzięki Bogu, jesteśmy już jak w domu, mogę mówić bezpiecznie. Owóż ten śpiewak to Czarnodum.«

»Pierwszy raz o nim slysze.«

»Bodaj tak nigdy nikt nie slyszał,« rzekła Marya ciszej, a potem zwyczajnym głosem wiodła takie opowiadanie: »Nie bardzo dawno zjawił się on w naszych górach, już pono po odjeździe naszego dobrego pana Gromowida, niech go Bóg jak najprędzej przyprowadzi; przynajmniej od tego czasu zaczął się pokazywać. Dzisiaj mieszka jawnie w tej wielkiej pieczarze, wiesz Odo, co to ją widać wysoko pod górą, idąc za falą Pysznej ku Dunajcowi. Chodzi jak mnich i prowadzi życie pustelnicze. Ale ludzie inaczej o tém gadają, Bóg to wie najlepiej, ale powiem com slyszała. Miał on być guślarzem naszych dawnych bogów, zaczęł został chrześcianinem, a został nim, jak mówią, tylko ze strachu przed nakazem ksiązęcym i władzą biskupa, dla o u ludzkich, ale tajemnie żyje i modli się dawnym obyca-

jem. To też, jak słyhać, dawne bogi przebywają z nim i sprzyjają mu szczerze; dla tego wyprawia różne dziwy. Pełno o tём gadek może prawdziwych, a może i wymyślonych; ale to pewna, że wiele wie i wiele może zrobić swojemi gusłami. Pokazuje nawet takie rzeczy, których żaden człowiek ludzką mocą nie mógłby zobaczyć: dziewczkom ich kochanków, junakom ich dziewczęta, choćby nie wiedzieć gdzie były; a tak je widzisz, gdzie są i co robią, jak żebyś była z niemi. Ale za tę ciekawość drogo trzeba płacić. Jak tam z chłopami, nie wiem, ale co kobiety . . . to każda prawie wyniosła od niego nieszczęście; bo przez czary swoje co zechce to robi z człowiekiem, który się jemu aby trochę poddał, tak że się zapomina o Bogu nawet i o najświętszych jego przykazaniach. Jak temu nie wierzyć? Dostyć słyszeć jego śpiewanie, ażeby już poczuć, co tam nieczystej mocy. Gdybyż tylko śpiewał, ale ludzie utrzymują, że kiedy mówi do człowieka, to tak pęta serca, jak żeby śpiewał, a pęta w grzechy.“

W podobny sposób stara Marya gadała jeszcze dłużej, ale Oda zdaje się nie słyszała wszystkiego. Głębokie zamyślenie się w połowie rozmowy odjęło jej uwagę na resztę. W całym opowiadaniu jedno ją uderzyło: „on guślarz, on może każdemu pokazać osobę żadaną, on jej męża pokaże: mniejsza o to jaką mocą.“

Ta myśl padła na zamgloną duszę Ody, jak pro-

mień niebieskiej czy piekielnej jasności? Niewiadomo, dosyć że ją rozradowała, opanowała całkiem, uspokoiła nawet, bo się zmieniła w niezłomne postanowienie: iść do pustelnika i zażądać od niego pomocy w swoim stroskaniu. Jój życie obecne tak niezdolne, a ulga tak łatwo do znalezienia: można ją odrzucić? Przeciw złemu, gdyby jakie zkać mogło wynikać, znajdzie obronę w świętej wierze i małżeńskiej miłości.

III.

W owych wiekach prostoty rozumu, uśpienia ducha, a silnych żądz ciała, serce puszczane raz w pewnym kierunku, nie łatwe było do zhamowania. W walce między złem a dobrem szczęściem, pierwszy silniejszy popęd jednego lub drugiego, rozstrzygał już prawie stanowczo spór pomiędzy niemi. Oda, poddawszy się raz z upodobaniem myśli, ażeby za pomocą guślarstwa ujrzeć nieobecnego męża, nie odstąpiła już swojego zamiaru. Jeżeli ją czasem zachwiały groźne posłuchy o podejrzanym pustelniku, jeżeli stanęły przed oczami zewnętrzne przeszkody w spełnieniu zamiaru, jeżeli niekiedy mimowolne drzenie serca wśród rokosznych marzeń podniosło się jak tajemne ostrzeżenie, wszystko to było tak chwilowe, tak słabe w obec jej postanowienia, że nie czuła prawie żadnego oporu wewnątrz siebie, a przynajmniej wyraźnego, że zatem nie zachwiała się ani na chwilę. Kilka dni jednak upłynęło, zaczęła mogła skutecznici swój zamiar: czas ten był jej konieczny, aby sobie zapewnić powodzenie przez dokładną znajomość niektórych szczegółów;

nadto konieczna była pewna ostrożność, ażeby to widzenie się nie wyszło z pod zasłon najgłębszej tajemnicy. Wiedziała naprzód, że nikt jej w tém nie pomoże, wszyscy raczej będą przeszkadzać; czuła, że sama swój zamiar musi spełnić, bez świadków, bez powierników. Stósownie też przygotowała się. Zręcznie, ubocznie, wyciągnęła z opowiadań wszystkie potrzebne objaśnienia: gdzie jest pewnie ustron pustelnika, jakimi drogami dojść do niej, w której porze on sam jest widzialny. O sposobność wyjścia nie trudno było, służba zamkowa przywykła już do jej samotnych wycieczek.

Tak przysposobiona wyruszyła nakoniec dnia jednego w zamierzoną drogę. Przechód był długi i przykry: po śladach kóz dzikich, między odwieczne zwaliska lasów, pod urwiste wyżyny, przepaścistemi łożami suchych potoków: nieraz po drodze niewiadomój obłąd zachwycił, ale oswojona z górami, pokonała to wszystko, lubo nie bez utrudzenia nogi. Wszakże daleko ciężiej było sercu. Jakaś trwoga skryta, obca jej dotąd, niby niewyraźne przecucie niewiadomój złej przygody, burzyła jej piersi, zatrzymała uderzenia serca, tamowała oddech. Nieraz podwójne to znużenie, wewnętrzne i zewnętrzne, zmuszało ją stanąć wśród biegu, odetchnąć, odpocząć; aż dopóki znowu coś mocniejszego nie porwało jej woli i nie popchnęło dalej. Im bliżej była celu, tém słabszą, tém lękliwszą się czuła. Nieraz go-

towa już była odstąpić swojego zamiaru i wrócić bez widzenia się z pustelnikiem. Znajdowała się właśnie w podobnej niepewności, kiedy w uszy jej zadzwonił znajomy dźwięk gęśli, wórzący słowom pieśni znajomym głosem śpiewanej; ale w żywszych jej tonach przebijała się jakoby radość. Granie było tak bliskie, że słyszała wyraźnie następujące słowa:

Wysłuchałaś mię, moja bogini!
Zajrzałaś w czarną pierś mojej pieczary.
Ciemność jej uciekła przed blaskiem,
Życie moje splonęło jak niebo otwarte.
O! zostań tak i patrzaj tak wiecznie,
A gdzie ty, tam niebo dla mnie i dla ciebie.
Cześć wam, cześć potężne bogi!

Oda zadrzała, niewiadomo jakim wzruszeniem, ale nie miała już chęci cofnąć się. W duchu pieśni było coś naksztalt radośnego powitania, był urok, który ku sobie wabił. Oda postąpiła kilka kroków i ujrzała się tuż przy jaskini. Przed jej czarnym otworem, na olbrzymim pniu zwalonego świerku siedział śpiewak z gęślą na kolanach. Oda domyślała się w nim pustelnika. Ubiór jego był krojem ubioru zakonnego, ciemny, obszerny. Kaptur na głowę zawdziany zakrywał większą część twarzy, reszta oblicza ginęła pod gęstą, kędzierzawą brodą. Na szelest zbliżającej się Ody, gęslarz zawiesił granie, podniósł głowę, cisnął iskrami z małych, ognistych oczu, ale wnet je zniżył, odrzucił gęśl na bok, po-

wstał z powagą, i rzekł łagodnym ale uroczystym głosem:

»Witam cię, żono możnego Gromowida. Przychodzisz widzieć samotnego mieszkańca jaskini. Oto go masz przed sobą.«

Jakby zgadł, że pomieszanie Ody nie da jej łatwo zacząć rozmowy; wszakże słowa jego wprawiły ją w zadumienie od pomieszania nie mniejsze, ale razem podały do ust pierwsze słowo:

»Jako?« zapytała zdziwiona, »ty mię znasz, pobożny ojciec! Nie widziałam cię nigdy.«

»Słońcu na niebie,« odpowiedział pustelnik, »a Odzie na ziemi trudno się ukryć. Wiedziałem nawet, że dziś tu będziesz i czekałem ciebie. Nie dziw się, skoro wiesz do kogo przychodzisz. Jakićżże usługi żądasz po mnie, dziecię moje?«

Oda zdumiona jeszcze bardziej nie wiedziała znowu jakim słowem usta otworzyć. Dobroć pustelnika przyszła jej w pomoc.

»Droga przykra,« rzekł on, »upał nużący; jesteś Odo zmordowana, odpocznij na siedzeniu, jakie ci biedny pustelnik ofiarować może« — i wskazał drzewo, na którym dopiero siedział.

W słowach tych przemówił do serca Ody znajomy głos śpiewaka z całą ujmującą łagodnością, z całym urokiem zniewalania i ośmielił ją nakoniec w obec nieznajomego. Usiadła na wskazanym drzewie, spojrziała w twarz pustelnika i widziała ją schy-

loną pokornie ku ziemi; było to może potrzebne, aby zupełna swoboda mogła wejść do jej myśli, aby się usta rozwiązały do rozmowy, dla której tu przybyła. Pustelnik jeszcze raz wsparł ją, zapytując o powód, któremu on winien obecność tak możnej pani w jego dziczy tak smutnej.

»Mamże ci, ojcze, koniecznie już powiedzieć ten powód?« rzekła wreszcie Oda. »I strach mnie i wstyd, ale moja miłość mocniejsza od wszystkiego, a dzisiaj tyle cierpię ile kocham. Ojcze, ty nie będziesz się śmiał ze mnie, ty musisz być tak dobry, jak jesteś pobożny i mądry. Nie wiem jednak jak ci to powiedzieć. Ludzie utrzymują, że masz mądrość guślarzy i moc rozkazywania duchom. O mój ojcze, wiesz zapewne, jak ja mego męża kocham, a dzisiaj muszę żyć bez niego. Wojna przypadła jak ptak drapieżny i porwała mego gołąbka; i oto zostałam sama, ani wdowa, ani żona. Nie wiem, gdzie jest? co robi? kiedy powróci? Nie mogę się pocieszyć i nie mogę przestać smucić się. Ratuj mię, ojcze, daj mi pociechę, daj szczęście!«

Pustelnik słuchał spokojnie, z okiem spuszczo-
nóm, czasem błyskał nióm w górę, mienił się na
twarzy; rozrzewniały go widać te wynurzenia się
niewieście tak proste, a tak serdeczne, bo zawołał
wzruszonym głosem: »Jakąż pociechę mogę ci
dać? jakie szczęście? ja, ja sam, tak... ich po-
trzebny?«

»Pokaż mi mego męża! Czy żywy, czy umarły, pokaż mi go!« odpowiedziała Oda z całą żywością i mocą panującego jej uczucia.

Pustelnik pomilczawszy chwilę, zapytał: »Kobieto, wierzysz ty w Boga chrześcian?«

»Wierzę.«

»I w jego dobroć?«

Oda znowu potwierdziła.

»Jego więc prosz o to!«

»Ach! prosiłam po tysiąc razy, najgorętszymi
łzami, nie chciał mię wysłuchać!« rzekła z głębo-
kiem westchnieniem.

»I mnie nie zechce« — odpowiedział ponuro.

»Wszakże powiadają, że niejednego pocieszyłeś
tak, jak ja chcę być pocieszoną. Czemużbyś dla
mnie zrobić nie mógł tego, co robiłeś dla innych!«

»Dla innych robiłem, powinnaś to wiedzieć,
przez moc przychylniejszą nam, jak moc nowiej
wiary, przez bogi ojców naszych.«

Słowa te dały cokolwiek do myślenia Odzie;
krótco się wahała: »Ha!« rzekła, — »kiedy ina-
czej być nie może, zrób i dla mnie przez bogi
ojców.«

Guślarz przybrał postawę i głos uroczywszy jak
dotąd: »Czy myślisz,« mówił, »że to tak łatwo,
jak zapragnąć? Bogowie są bogami. Nie mamy
ich na pierwsze zawołanie. Nie rozdają darmo
łask swoich. Kto chce ich mieć po sobie, musi

szczerze wyznać ich potęgę, gorąco prosić, a nade wszystko musi je uczcić. Czy pojmujesz to, moje dziecię?”

Oda nie pojmowała widocznie, bo zapytała natychmiast: »Jakąż cześć potrzeba im złożyć?»

»Przedewszystkiēm potrzeba zaprzec się innych bogów« — odpowiedział pustelnik.

Strach mimowolny ścisnął serce Ody. »Jak to!« zawołała, »nawet prawdziwego Boga?»

»Nawet Boga, którego masz za prawdziwego,« rzekł pustelnik głosem niezmięniōnym.

Oda nie wiedziała zrazu, co dalej począć, ale dobre natchnienie padło na jej serce w tēj chwili:

»Ojcze,« rzekła, »jesteś-że ty chrześcianinem, że tak mówisz?»

»Alboż powiedziałem, że nie jestem?» — odpowiedział; a gdy Oda milczała, mówił dalej: »Córko moja! tak! jestem chrześcianinem, ale kiedy robię to, czego wymagasz po mnie, wtedy robię przez bogi dawne, domowe; wtedy jestem tylko guślarczem, poganinem. Inaczēj nie miałbym ich pomocy; inaczēj nikt jej mieć nie może.«

Umilkł, a gdy Oda stroskana niespodziewanym warunkiem zatopiona była w myślach, odezwał się znowu już łagodniēj: »Odo, nie będę ci stawiał czczych trudności. Nie pojęłaś mię zapewne i dla tego to przestraszyłaś się mojami słowami. Nie idzie tu o zupełne wyparcie się chrześciańskiego Boga.

Starzy bogowie są dobrzy, kochają nas zawsze jak dzieci tych ojców, którzy ich przez tyle wiekōw, tak szczerze kochali. Zrobią wiele dla nas, chociaż niegodnych, przez dawną przychylność. Z naszej strony przestaną na malēm. Dosyć im jakiegokolwiek znaku uczczenia, jakiegokolwiek ofiary. Czy jesteś do tego przygotowana?»

»Niech wiem, co się im podoba zaprzagnąć, a może«

»Oni przestają na malēm, powtarzam ci Odo! Lekka ofiara z czegokolwiek, co należy do Boga chrześciańskiego, zjedna ci ich zupełnie. Widzę na twoich piersiach krzyżyk, daj mi ten krzyżyk.«

»O Boże!« zawołała Oda, — »mogę to zrobić? Jest to drzewo z krzyża, na którym umarł Bóg prawdziwy, i ślubny upominek Gromowida,«

»Upominek Gromowida!« powtōrzył z widocznēm wzruszeniem pustelnik, ale z cicha, a głośnie zawołał: »Tak, Odo! będzie to najmiłsza ofiara bogom, i pomoc ich niezawodna.«

Oda załamała ręce: »O ja nieszczęśliwa! mam-że się pozbyć tego, co mi najdroższe i najświętsze. Nie! Wolę z moim Bogiem cierpieć, jak dotąd cierpiałam.«

»Cierpieć!« — mówił Czarnodum, — »ktōż cię od tego odwodzi? I ja cierpię przez tegoż Boga! Ale pomnij, że może nie sama będziesz cierpieć. Może za wszystkie twoje cierpienia nie otrzymasz

jedynę nagrody, do której wdychasz, nie ujrysz już więcej twójgo męża. Stare bogi są mściwi i potężni; kiedy zechcą zle wyrządzić twójemu mężowi, nowy Bóg nie zasłoni go. Rozważ to dobrze.

Oda słuchała, płakała, łamała ręce. Kochała męża, ale nie mogła przenieść na siebie, aby dla jego miłości przenieść się i tej miłości i Bogu. Jej serce chociaż upadające, miało jeszcze nad sobą wierną straż dobrego anioła. Czuła, że nie powinna była zrobić zadość żądaniu pustelnika, wołała zrzec się nadziei, jedynę ulgi, na jaką w nieznośnym swoim cierpieniu rachowała. »Nie!« rzekła, »tego nie zrobię, niech się dzieje wola Boża!« Wstała, aby odejść.

Pustelnik zdawał się ciągle zachowywać największą spokojność. »Dobrze mówisz, Odo,« — rzekł przy pożegnaniu, — »jednak twój upór niewczesny. Wszelkie bogi przebaczą łatwo błędom takiej miłości, jak twoja. Wszakże rób, jak ci się zdaje. Mimo to pamiętaj, że moja nauka gotowa ci zawsze służyć. Przyjdź kiedy zechcesz; oto przyjdź jutro. Tej nocy pomówię ze starymi bogami. Może na mniejszym datku przestaną; spodziewam się, że to uproszę. Ażeby jednak skutek moich modłów był pewniejszy, zostaw twój krzyż w domu. Wiedz jeszcze i to, że jutro właśnie jest księżyc w dobie najprzyjaźniejszych widzeniom; opuściwszy

tę chwilę, możeby długo przyszło czekać na podobną.»

Pustelnik ze świętobliwem obliczem skłonił głowę na znak pożegnania, a Oda smutnie wracała do zamku.

Oda w płochem poczuciu swojego przedsięwzięcia nie przeczuła trudności ważniejszych, jak zwykle ziemskie: rozmowa z pustelnikiem dała jej przykro uczuć tę nieprzezorność. Teraz dopiero ujrzała, że jej postępek może się wiązać ze sprawą sumienia, ze sprawą religii. Warunek położony przez mnicha, stanął jak przeszkoda, której nie można było lekce ważyć. W pierwszym prawem natchnieniu przeszkoda ta sprowadziła ją prawie z drogi, na którą weszła nierozważnie, zniszczyła prawie zamiar niebezpieczny. W takim usposobieniu wróciła do siebie i przetrwała aż do nocy. Ale odepchnięta myśl występna czekała ją w bezludnej sypialni, na samotnym łożu, pośród nocnych ciemności; tamto, sprzymierzona ze smutnymi marami przeszłego szczęścia i goryczą chwil obecnych, wystąpiła potężnie do zaciętej walki. Silnie jakiś czas opierały się religijne uczucia, ale świeżo zaszczerpione i to w sercu chwiejącem się co chwila mocniej, nie miały już w niem pewnej podpory, a namiętności rozumowały jak prawda, jak niewinność, przynajmniej odziały się w pozory tego obojga; trudno więc było sumieniu pozyskać przychylny sobie wy-

rok Ody, która chętniej widziała w sprawie jego przeciwników sprawę własną. »Zostawić krzyż w domu!« — tak myślała Oda, — »możeż w tém być co złego? Wszakże przez to nie wyrzekam się mojego Boga, nie poddaję się innym bogom. To rzecz tak mała: a za to użyję takiej radości, zobaczę męża, dowiem się o jego losie, pocieszę serce, odzyskam spokój, którego nie znam od tak dawna, a bez którego nic mi po życiu. Byłoby grzechem przebyć jeden dzień bez krzyża na piersiach?« Na próbę postanowiła zdjąć go z siebie i bez niego noc przepędzić. Co pomyślała, to wykonała natychmiast. Wróciwszy do łoża, aż sama się zdziwiła, że pozbycie się świętego znaku nie obudziło w niej żadnego przykrego uczucia, przeciwnie weszła w nią jakaś swoboda, pewne zadowolenie. Następnie, i to już mimo jej wiedzy, stan ów przeszedł w upojenie gorączkowe, ale rokoszne. Otoczyły ją pokusy wszelkiego rodzaju. Wszystkie uciechy małżeńskie położyły się obok niej w zmysłowych prawie postaciach: zdawało się jej nieraz, że widzi, że dotyka swojego męża, że czuje uściski jego. Krew płomieniem grała po żyłach, serce biło przyspieszonym tchnieniem rokoszy, wpadała w rodzaj omdlenia, w złudzenie graniczące z rzeczywistością; a kiedy ocknęła się z niego, otwarła oczy, poznała się na złudzeniu i westchnęła za szczęściem, które albo już zniknęło, albo przedstawiało się jak niepewna przy-

szłość; wtedy snuły się po myślach w natrętném widzeniu jaskinia pustelnika, jego postać odziana jakimś niezwykłym urokiem, po sercu rozlewała się melodya jego muzyki potężnej, jego głosu równie potężnego; wtedy drzała całym ciałem: a jednak nie było to drzenie trwogi przykrój. Ona w tej chwili byłaby się rzuciła z uściskiem miłości na martwe drzewa i kamienie; w drzewach i głazach czułaby swojego męża, znalazłaby ogień jego uścisków. W podobnych marzeniach usnęła na pół pokonana, a sen był dalszym ich wątkiem. W podobnych marzeniach znalazło ją przebudzenie, pokonaną całkiem.

W oczucone ucho zabrzmiało, jak pobudka szatańska, odgłos słów pustelnika: powinnaś przyjść jutro, albo nigdy! — »Idę!« odpowiedziała Oda, i zamiar był już niezachwiany. Z niecierpliwością czekała chwili sposobnej do tajemnego wymknięcia się z zamku, uchwyciła ją z radością, i oto jest już w biegu do jaskini. Droga świadomsza jak wczoraj, podróż jednak mniej pośpieszna. Spotykały ją dziwne wypadki, niby ostrzeżenia, niby przeszkody. Zaraz z początku przeleciał jej drogę ptak nieznan, rzadkiej piękności. Stała mimowolnie, on usiadł; szła ku niemu, on zerwał się i ulatywał w stronę zamku. Długo nie mogła się mu napatrzeć, a ptak siadał ile razy stała, podnosił się jak tylko była przy nim, i zawsze ku zamkowi zmierzał, w końcu

odpoczął na jednej z baszt zamkowych. Oda porzuciła nieużyteczną pogoń, wróciła na swoją drogę, ptak wydał żalostny śpiew i zniknął pod niebem. Dalej ujrzała sarnę: sarna nie pierchnęła, zwróciła się ku idącej, wlepiła w nią piękne swoje oczy, dozwoliła zbliżyć się, pogłaskać, ulizwała jej rękę, zawsze z wejrzeniem błagającym; potem igrając, okrążyła ją w skokach, razy kilka, i biegła ku zamkowi, postawając i oglądając się na Odę, jakby ją zawrócić chciała. Oda odwróciła się od sarny i szła dalej swoją drogą; a smutny bek zwierzęcia długo było słychać. Wkrótce zapomniała o ptaku i sarnie, stała już przed jaskinią.

Pustelnika nie było; szukać go wewnątrz nie miała odwagi, nie czuła potrzeby. Jeżeli jest, posłyszysz ją, obaczy i nie omieszka wyniść. Wołała doczekiwać, zwłaszcza, że potrzebowała wypocząć, bo upał, mimo pory dnia przedzachodniej, mocno jeszcze doskwierał, i zgrzanie spiesznego chodu oblewało ją rześnym potem, a cień był gęsty i lekki wietrzyk powiewał ochłodą. Usiadła więc na głazie, oparłszy się o ścianę skały, bokiem do otworu jaskini. Nie upłynęło chwil kilka, kiedy w pieczarze ozwała się muzyka i śpiew pustelnika.

Początek brzmiał niejako radośnym witaniem: w dalszym ciągu duch muzyki zmienił się, przeszedł w narzekanie, w błaganie, a tchnął najgorętszym uniesieniem miłości. Dotąd słowa pomagały

dźwiękom; wkrótce słowa ucichły, struny tylko dzwoniły; a w dźwięku ich zaszła nowa zmiana. Dyszało w nich jakieś lube omdlenie, jakieś upojenie rokoszne, aż do obłąkania. Słyszac je zdawało się, że muzyk odchodził niekiedy od przytomności, że palce na oślep uderzały po strunach; niekiedy muzyka całkiem się rwała. Wszystko to nie przeszkodziło, ażeby Oda nie utonąła w niej całą duszą. Widać to było po niej, coraz widoczniej, im dłużej trwało granie. Zdawało się, że gorąco mocniej dokuczało, uciskało. Odrzuciła zasłonę z twarzy i piersi, rozpuściła przepasanie szaty; bujny warkocz swobodnie rozplął się po ramionach z pod dziewiczego wieńca; twarz całkiem odkryta jaśniała rokoszą i pięknnością zachwycenia; piersi zaledwo przesłonięte wysoko się podnosiły, to nagle na długo się układały: w całej postawie malowały się upojenie, rokosz, zachwycenie. Muzyka ucichła w pieczarze, a w jej uszach, w jej sercu jeszcze brzmiała. Opamiętał ją szelest od pieczary. Zaledwie zdołała zarzucić zasłonę i spojrzeć w stronę szelestu, kiedy pustelnik kilku szerokimi krokami stał już przy niej.

Porwał drżącą ręką rękę Ody, i zmienionym głosem zawołał, wskazując na jaskinię: »Tam, tam wejdźmy. Bogi czekają.«

Te ruchy niezwykle, ten głos, przejęły Odę strachem; poczuła w nich jakieś niebezpieczeństwo.

Ale Oda nie była z tych kobiet, które niebezpieczeństwo rozbraja. Pierwsze mimowolne wrażenie prędko przeminęło; a na jego miejscu znalazła się odwaga i siła. Porwana raczej jak podniesiona z siedzenia silną ręką pustelnika, zaledwie stanęła na nogach, dała mu uczuć całą moc swojego oporu, podniosła dumne wejrzenie, sięgnęła ręką pod zwierzchnią szatę, i w téjże chwili w ręku jej nóż błysnął.

Pustelnik, czy to jej spojrzeniem, czy widokiem noża uderzony, odskoczył o kilka kroków; zdumienie odebrało mu widać mowę na razie, bo nie prędko zawołał załośnie: »O nielitościwa, za co ty mię tak dręczysz? Daj mi ten nóż!«

»Nie, ojcze,« rzekła głosem pewnym, »tego noża nikt mieć nie może oprócz mnie i Gromowida.«

»Odrzuć go od siebie.«

»Dlaczegoż mam odrzucić?«

Pustelnik nie mógł natychmiast odpowiedzieć, po chwili dopiero przemówił: »Czy nie widzisz, że on ma podobieństwo krzyża. Możemyż z nim przemawiać do bogów?«

Pustelnik zdawał się mieć słusność; postrzegł zakłopotanie Ody, i wtedy groźniej się odezwał: »Odo, ty żartujesz sobie z bogów, których łaski pragniesz. Ściągasz ich pomstę na siebie i na mnie. W jednej chwili zniszczyłaś wszystkie skutki mojej całonocnej modlitwy.«

Był to nowy cios dla Ody. Zapomniała o wszy-

stkiem co się działo przed chwilą i była znowu kobietą jak dawniej: »Jak to?« zawołała, »więc i dzisiaj z niczém powrócę?«

»Przez własną winę,« odpowiedział pustelnik. »Bogi są obrażone, przebłagać ich niepodobna, dopóki będziesz mieć przy sobie cokolwiek, coby przypominało ich przeciwnika.«

Oda zasmuciła się, spuściła głowę, łzy miała w oczach; jej nadzieje kupione tak drogo znowu się w nic rozwiały. »O srodzy bogowie!« zawołała, »jeszczeż wam niedosyć ofiary, którą zrobiłam?«

Nie była jednak w stanie rozstać się ze swoim nożem, nie mogła także odstąpić od zamiaru, któremu już tyle poświęciła. Stała jak posąg nie wiedząc co począć; nie opodał siedział pustelnik, i on także jak posąg, niby wewnętrzna niemoc pozbawiła go wszelkiej władzy. Tak oboje długo milczeli.

Pierwsza zaczęła Oda zwracając się ku niemu z błagającym wzrokiem: »Ojcze, ty cierpisz przemnie, przebac. Ale wymagasz po mnie, czemu się moje serce opiera. Czyż moja w tém wina? Nie odbieraj mi przecię wszelkiej nadziei. Daj mi jeszcze tę noc do namysłu. Może przez tę noc i bogi przebłagać się dadzą. Powiedz czy mogę jeszcze mieć jaką nadzieję?«

»Tylko bogowie to wiedzą« — odpowiedział pustelnik smutno i uroczyście.

»Zapytaj bogów,« rzekła prostoduszna, »zapy-

taj ich teraz, jeśli to być może. Trudno mi odejść w niepewności, w której zostaję.»

Pustelnik podniósł się: »Odo! o Odo!« rzekł głębokim głosem serca, »niema czego bym dla ciebie nie zrobił. Bądź miał za to choć wdzięczność twoją?«

»Do śmierci« — odpowiedziała.

»A więc pójdę, zapytam bogów raz.«

To wymówiwszy zniknął w mroku jaskini. Długo nie było go widać. Przez ten czas Oda słyszała tylko przytłumiony głos jego, przytłumione westchnienia, łkania; domyślała się, że bogowie byli mocno obrażeni i uporni w gniewie. Wyszedł nakoniec, i głosem uroczystym przemówił:

»Odo, wola bogów jest taka, a wyrok ich nieodmienny. Zobaczysz męża jutro, jak tylko księżyc w dolinę zajrzy, ze szczytu Smytni. Przyjdziesz w ślubnej twojej sukni. Nie będziesz mieć przy sobie żadnego znaku nowej wiary, żadnej broni. Bogowie chcą uroczystej cześci i ufności. Czy przystajesz na to?«

Po krótkim namyśle, Oda przyrzekła.

Pustelnik zawołał z widoczną radością: »Dzięki ci, Odo, za twoją uległość. Oby przez cały ten czas bogowie byli z tobą. Jutro więc, o zmroku, czekam na ciebie tutaj.«

Oda pożegnała pustelnika i zwróciła się ku domowi: możnaby mniemać, że w smutku, w nie-

pokoju wewnętrznej walki, jak wczoraj, albo w nieufności ku pustelnikowi, a przynajmniej w cierpieniu, że jeszcze o jeden dzień musi przewlec się spełnienie ulubionego jej zamiaru, pocieszenie się widokiem męża; bynajmniej. Ostatnie widzenie się z pustelnikiem wprawilo ją w stan niespodziewany od niej samą, a może i od niej samą niepojęty, którego zagadki trzebaby szukać chyba w tajnikach serca kobiecego. Myśl jej nie mężem głównie, ale pustelnikiem była zajęta. Zaczem straciła jaskinię z oczu, nie mogła wstrzymać się, aby nie obejrzała się na nią razy kilka, a za każdą razą widziała pustelnika klęczącego z twarzą zwróconą ku niej, z rękami wyciągniętymi w jej stronę: zapewne modli się za nią, cierpi dla niej. I zaraz obok tej postaci pokornej stanął jego obraz groźny na początku widzenia się. Co tam było siły, co ognia, co namiętnego uniesienia, a jednak rzucił to wszystko pod jej nogi na jeden niechętny rzut jej oka, w proch zamienił się przed nią. Niepodobna nie podziwiać jego męskiej woli, niepodobna nie litować się nad jego pokornym cierpieniem. A w jego graniu, w jego śpiewie, ile biegłości, ile uczucia. Ktokolwiek on, w jakiegokolwiek objawi się przemianie, — człowiek to niezwyčajny, nieobojętny; jakiegokolwiek obudza uczucia, obudza je w stopniu wysokim, a z nich zlewa się jedno, które nie może być nienawiścią, ani zimnym podziwieniem. Uczucie jednak Ody nie

było jeszcze miłością. Wszakże i to pewna, że miłość dla męża słabła przy niem, że przy niem zaczęła gasnąć myśl o mężu, a przynajmniej tęsknota za nim złagodniała. Oda przyjdzie znowu jutro, wypełni wszystko, co pustelnik zalecił, aby nie obrazić bogów; ale gdyby coś nowego przeszkodziło czarom i zawiodło nadzieję, Oda gotowa pocieszyć się myślą, że spędziła chwil kilka w towarzystwie pustelnika, że przez to będzie miała powód jeszcze raz go zobaczyć. W takim usposobieniu wróciła do domu i wyglądała naznaczonej godziny: mara męża ma odtąd służyć za przewodnika do rzeczywistej uciechy.

IV.

Doba właśnie upływała od ostatniej rozmowy Ody z pustelnikiem. Słońce dążyło do zachodu, a na dalekiej drodze, wijącej się brzegami Dunajca, wzbijały się kłęby pyłu pod kopytami konnego orszaku Gromowida, i zbliżały się ku stronie Kościeliska. Gromowid powracał nareszcie. Kijów wzięty, wyprawa ruska dokonana, Gromowid okazał wszędzie znaną dawną waleczność, nie opuścił żadnej sposobności, aby wynagrodzić ojczyźnie dług zaciągnięty przez gnuśną nieczynność. Jednak ani wrzawa, ani ruch wojennego życia, nie zdołały zagasić myśli o anielskiej żonie, osłabić tęsknoty za nią. Dla tego skorzystał z pierwszej przerwy bojów, i upoważniony zezwoleniem króla, puścił się ku domowi, choćby na dni kilka, choćby na chwilę. Nie tracił zapewne czasu w podróży. Pędził ile mu służyły siły jego konia i własne. Z radością przypadł nad brzeg Dunajca. Wieczór się zbliżał, a zamek jeszcze daleko. Zostawił czeladź z ciężkim podróжным sprzętem, a sam puścił się przodem w jak najlżejszym uzbrojeniu, z kró-

tkim tylko mieczem przy boku i z łukiem przez plecy. Mimo to, ani lekkość jeźdźca, ani nogi konia nie wystarczały sercu rwiącemu się wciąż naprzód. Słońce zaszło im na równi z szczyą Zakopanego. Gromowid przysporzył biegu, ale koń wycieńczony ostrogi nawet nie chciał już słuchać; dobył jednak ostatnich sił na rozkaz pana, i wkrótce rozparł się śród drogi. Gromowid westchnął ciężko nad koniem, westchnął ciężej, że nie uściska żony tak prędko jak pragnął, jak miał nadzieję, i biegł dalej pieszo. Zaczynało już zmierzchać, kiedy przechodził samodzielną bramą Kościeliska; zdwoił krok po dolinie, ujrzawszy światelka domowe; ale przykra góra, na której stoi zamek, zmusiła go zwolnić pośpiech. Darł się w najbliższym kierunku, świadomy dobrze niejsca. Mniemał tym sposobem skrócić drogę. I w rzeczy samej znalazł się niebawem blisko zamku, ze strony małej furtki. Przez nią wejść umyślił, ale znużenie, wzruszenie wewnętrzne, zmusiły go zatrzymać się na chwilę i wypocząć. Za ledwie stanąwszy, oparł się o drzewo, kiedy się furtka otworzyła, i wyszła z niej postać w bieli. Księżyc właśnie oświecał małą polankę, ku której postać biała posuwała się. Pod blaskiem księżyca, chociaż bijącym w bok postaci odwrócony od Gromowida, poznał on z podziwieniem Odę, krzyknął z radości, chciał się rzucić naprzeciw niej, ale w témże mgnieniu oka, wypadła z gęstwiny dzika koza, ogromny

puhacz uderzył w nią piorunem, ujął w szpony, podniósł w górę, i nie mając zdaje się dosyć siły na taki ciężar, upuścił ją ledwie już dyszącą tuż przed nogami Gromowida. Biała postać krzyknęła z przestraszu i zgasła w gęstwie jak błyskawica. Jakkolwiek Gromowid pomieszany był tym dziwnym przypadkiem, jednak myśl jego wróciła natychmiast do zniknionej Ody. Widział on w którą stronę pobiegła, tam więc udał się jak najspieszniej: a za chwilę ciemność i cisza nocy zakryły go całkiem.

Pod ten czas pieczara pustelnika zajmujący przedstawiała widok. W pośrodku jej, na wielkim kamieniu, gorzał ogień. Dokoła ścian przeglądały z cienia potworne posagi bożyszcz pogańskich, świeżą krwią ofiary obryzgane. Przed ogniem stał, nie już pustelnik w ubogiej włosienicy, kryjący twarz w kapturze, ale kapłan pogański, mąż urodziwy, średniego wieku, ze znaczącem obliczem, ożywionem w tej chwili przez jakieś groźne i dzikie natchnienie. Biała, obszerna kapłańska szata, spięta bogatym pasem, przydawała powagi okazałemu wzrostowi i silnej budowie całej postawy: głowę ozdabiał kapłański wieniec, a jeszcze bardziej piękny włos długo rozpuszczony. W rękę była czara krwią napelniona: ustami bełkotał coś niewyraźnie, znacząc pogańskie modlitwy. Pobożna jego żarliwość coraz mocniej rosła, w miarę tego głos podnosił się to w jękach, to w głębokich westchnieniach, którym

nierzadko wtórował groźny zgrzyt zębów. Zadyuszany, półomdlały uciekł; w grobowym milczeniu, z nateżonym uchem wylał czarę na ogień: prysnęły żary, krew zaskwirczała, zewnątrz pieczary rozległ się dziki śmiech puhaça, i ciszej, słabiej chrypienie jakby dławionego gardła. Naraz wszystko uciechło; krew skwirczała coraz ciszej; drzewa stosu piszczwały coraz boleśniej, coraz rzadziej; płomień to wzmagał się, to przygasał. Guślarz poglądał razem to na płomień, to w potworne bożyszczka, które przy tym blasku niejednakowym, to rosły, to malały, zdawały się żyć, ruszać się, aż w końcu wszystko wróciło do stanu zwyczajnego: ofiarny obrzęd skończony.

Guślarz zbadał bogi. »Dzięki wam, potężne bogi ojców!« zawołał; »ona przyjdzie, może już idzie. Wykonam com jej przyrzekł, stanie się jak pragnąłem. Ujrzy męża; ale między niemi boleść, rozpacz, śmierć. Biada ochrzczonym duszom! Co za chwala dla starych bogów! Jaka radość moja! Ona musi być naszą, musi być moją. Cieszcie się bracia wierni bogom ojców. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo nad przybylcami cudzego nieba.«

Zaledwie domówił tych słów, kiedy przed pieczarą, pomiędzy zaroślami, dał się słyszeć szelst gwałtowny, jakby szybko bieżącego. Guślarz zadrzał; otóż i ona! i wyskoczył z jaskini.

Nie omylił się, była to Oda, ale nie taka jakiej się spodziewał: zadyszana, przerażona, blada, bez głosu prawie, bez sił, w nieładzie włosy, wieniec ledwo zaczepiony trzymał się tyłu głowy.

Strój guślarza, obcy jej dotąd, jeszcze ją bardziej zmieszał. Cofnęła się, pozierając na niego obłąkanym z podziwienia i trwogi wzrokiem.

»Odo, co ci jest?« rzekł guślarz niemało przerażony. »Tu przy mnie, nie lękaj się niczego.« Przybliżył się i wziął ją za rękę.

Te słowa, wzrok pełen dobroci, ściśnienie serdeczne, przywróciły jej przytomność. Rzuciła się na siedzenie, głęboko westchnęła, oglądała się bojaźliwie po stronach.

»Co ci jest, moje dziecko?« powtórzył guślarz.

»Ach! słyszałam go, widziałam go już« — zawołała Oda.

»Kogo?«

»Mojego męża!«

Guślarz zdumiał na chwilę, ale po chwili rzekł: »Uspokój się, było to zapewne przywidzenie, strach nocny.«

»Zapewne że przywidzenie, ale tak wyraźne, że słyszałam głos jego; a postać jego całkiem jak na jawie. Co najstraszniejsza, że naraz przemienił się w puhaça ogromnej wielkości, z kożą w zakrwawionych szponach. Nie wiem co się dalej stało, pobiegłam gdzie mię oczy niosły, nie wiem jak tu przy-

biegłam. Dotychczas nie mogę przyjść do siebie: drzę na wspomnienie.“

»Przywidzenie« — powtarzał guślarz.

Oda milczała lub narzekała.

Guślarz nie przestawał pokrzepiać, pocieszać; wymowa jego wkrótce skutkowałą.

Oda powoli przychodziła do siebie, odzyskiwała siły, a z niemi zupełną przytomność, rumieniec zaczął na twarz występować. Obok tego widać było w niej pracę jakiejś myśli, jakieś wahanie się, obawę powiedzenia czegoś, na końcu zdobyła się na odwagę i rzekła:

»Ojczy, mam prośbę, która cię zdziwi, a może i rozgniewa.«

»Odo, rozkazuje mi, nie proś.«

»Ojczy, mój przestach nie opuszcza mię. Ja dziś nie chcę widzieć mego męża. Odłożmy guśla na później.«

Z niemalém zadowoleniem znalazła w guślarzu mniej oporu niż się spodziewała. Po krótkiej rozmowie odłożono do dnia jutrzejszego wędrówkę na Smytnię.

»Ale mój ojczy, nim odejdę, jeszcze cię zapytam o jedno. Ja ciebie dzisiaj zaledwo poznaję. Ten ubiór . . .« wahała się dokończyć.

Guślarz uchwycił wątek jej myśli i tak go dokończył: »Ten ubiór, Odo, konieczny jest przy spełnianiu guślarskich obrzędów.«

»Ale to ubiór pogański, wyklęty przez chrześcian.«

Guślarz zadrzał: »Ale był święty dla ojców naszych, i dzisiaj jeszcze jest takim dla wiernych narodowym bogom« — dodał w uniesieniu mimowolném.

Oda zabierała się odejść.

Guślarz wziął ją za rękę, zatrzymał z lekka, usiadł obok niej nie bez widocznego wzruszenia, i pilnie patrząc jej w oczy, zaczął w ten sposób: »Odo, posłuchaj mię chwilę, mam ci wiele powiedzieć, ale zacznę z kolei od zapytania: godziź się chrześciance udawać się do guśel pogańskich? Prawda, że trudno ci znaleźć odpowiedź na to w twojem sumieniu? I nie szukaj jej. Nie zasłaniaj sobie oczu, nie trwóż się. Ty jesteś mniej winna niż ci się zdaje: owe guśla potępione dzisiaj, to świętość, to wiara twoich przodków. Grzeszysz przed mnichami, przed Niemcami, ale nie przed duchami domowemi. Jesteś niewinna, jak byłaś niewinna zaczęm zostałaś chrześcianką. Zapytaj własnego sumienia, własnych wspomnień z twoich lat dziewiczych. Jesteśże dzisiaj szczęśliwszą jak byłaś w ów czas? Znałaś w on czas te cierpienia, pod któremi dzisiaj upadasz? Powiedz sama. Zapewne że nie. Bo wprzódy, wierna bogom ojczystym, byłaś pod ich opieką. Dzisiaj odstąpili cię oni, bogowie uciech, bogowie szczęścia; a twój nowy Bóg

jest bogiem cierpienia i prowadzi cię po drodze cierpienia.“

Zapał guślarza wzrastał, opanował go całego, w oczach błyszczał oblakaniem, i lubo szedł z ducha złego, nadawał jego słowom siłę przewrotnej wymowy, a głosowi urok pieśni czarnoksięskiej. Zatrzymał się niejako dla odetchnienia, i z gwałtowniejszym jeszcze uniesieniem tak dalej mówił: „Tak, Odo, przysła wreszcie pora wszystko ci odkryć. Ja nie jestem chrześcianinem. Wziąłem tylko płaszcz nowej wiary. Uległem srogim rozkazom Chrobrego. Mimo chrztu, zostałem w duchu tym samym guślarzem, jakim byłem do ochrzczenia się, dochowałem wiary dawnym bogom. Przysiągłem im to, kiedy mię zlewano chrześciańską wodą; przysiągłem także zemstę ich odstępcom i przywrócenie ich czci dawniej. Całe moje życie aż do dzisiejszej chwili poświęciłem temu, a opieka ich błogosławiła moją pracę. Spodziewam się, że wkrótce owoce jej będą wszystkim jawne, i stolice biskupów runą tak nisko, pod nasze nogi, jak dzisiaj stoją wysoko nad naszymi głowami. Namacano jednak moje prace. Zostałem na celu zaciętych prześladowań. Musiałem zejść na chwilę z oczu. Wtedy to po raz pierwszy zabląkałem się w te góry; ale i tu nie mogłem znaleźć bezpieczeństwa inaczéj, jak pod suknią łacińskiego mnicha. Wkrótce bogowie dali mi wyraźny rozkaz, służyć im w tych miejscach. Powiem ci dla czego.

Mąż twój, Gromowid, jest jednym z najzaciętszych przeciwko ojczystym bogom. Niemało on wyrzucił kontyn, niemało wyciął świętych gajów. Zemsta bogów musiała go dosiądz prędzej czy później w jego dziele. Kazano mi pod jegoż okiem psuć jego robotę. I zepsułem ją. A on o tém nie wie! Jakaż to potęga jego Boga, że nie mógł mi przeszkodzić! Jaka opieka, że dotąd nie ostrzegł Gromowida! Zwyciężyłem go przez moje bogi. Wkrótce w nagrodę zesłali mi nadspodziewane pocieszenie. Odo, winienem ci to powiedzieć. Prędko po mojem przybyciu, ujrzałem cię po raz pierwszy śród gór w towarzystwie twójgo męża. Musisz zapewne pamiętać tę chwilę. Było to w najdzikszej ustroni. Widziałem was w pieieszczotach, jakich żadne światło bez zmienienia się widziećby nie mogło. Od tej chwili, Odo, nie mogłem cię zapomnieć, zakochałem się w tobie. Miłość dla ciebie równała się ze czcią dla bogów. Do zemsty za bogi przyłączyła się zawiść miłości. Od tej chwili, albo cię śledziłem, albo myślałem o tobie. Odtąd jedynym celem moich trudów w sprawie świętej było powrócić cię dawnym bogom, powrócić dawnemu szczęściu; i w tém jeszcze nie zawiodła mię łaska bogów. Bezbożny król wojną ruską rozdzielił cię z mężem. To nieszczęście pozorne obróciło się tobie w pożytek. Nie znalazłaś pociechy u łacińskiego Boga, udałaś się do ojczystych. Nie wiedziałas co robisz, ale dobrze robiłaś. Przychylił bogo-

wie prowadzili cię wciąż niewidomą ręką do twojego dobra. Sama wyznać musisz ich potęgę; tylko rozważ. Jeżeli poznałaś w czémkolwiek moc moją, ta od nich idzie. Nie trudź się, nie trwóż się próżnemi strachami, któremi cię napoili łacińscy kapłani. Sama widzisz jak słabszemi są od naszych bogów. Wyznaj to raz własnemi ustami i sercem.“

Oda milczała, nie wiedziała co odpowiedzieć. Guślarz potokiem słów zalał jej duszę; jeżeli nie opanował całego sumienia, to przynajmniej silnie rozżarzył iskry dawnych pogańskich wierzeń nie całkiem zduszone, zatrzęsł wiarę nową nie dobrze jeszcze zakorzenioną w roli serca ruchomego, przyjmującego łatwo wszelkie wrażenia mocne.

Milczenie Ody było już dobrym znakiem dla guślarza. Postrzegł że zwyciężył w połowie, dobył więc ostatnich sił, rzucił się na kolana przed Odą, i zawołał rzewnym błaganiem:

»Nie wahaj się dłużej, prześliczna Odo. Twoje serce przyświadcza moim słowom. Idź za nim. Patrzaj co stracisz? Wiarę obcą niepojętą, surową, ponurą, nieprzyjaciółkę uciech ziemskich; a zyskasz wiarę jasną, pogodną, otwierającą tobie tutaj, na ziemi, wszystkie roskosze tego rajy, któremi cię łacinnicy po śmierci wabią. Wybór prosty. Nie mogę wypowiedzieć szczęścia jakim nagrodzą bogowie twój do nich powrót. Alboż to cały świat w tych górach? pod władzą Gromowida? Alboż to wszel-

kie szczęście w jego tylko objęciu? Jestem potężniejszy, niż ci się zdaje. Znajdziesz ze mną szczęście, o jakim nie wiesz dotąd, bo dotąd nikt cię tak nie kochał, jak ja Kocham. Odo, zaklinam cię na moją miłość, na twoje własne szczęście, na bogi wspólne nam kiedyś, odważ się na to dzisiaj, co musisz zrobić jutro, po jutrze, kiedykolwiek; bo serce twoje jest już w mocy ojczystych bogów. Odrzuć cokolwiek przywiązuje cię jeszcze do twojej wiary, do twojego męża. Powiedz, że przyjmujesz moją miłość. Wahasz się? A więc ci powiem ostatnie słowa. Kiedym po raz ostatni radził się bogów, usłyszałem to z ich ust własnych, że Gromowid już nie żyje, i że mnie przeznaczono zdjąć z twojej głowy ten wianek. I zdejmę go, zdejmę przez bogi moje.“

Oda półstruchlała, zerwała się z siedzenia; guślarz groźniejszy jak kiedykolwiek sięgał już ręką po wieniec; w tém z gęstwy rozległo się ogromnym głosem:

»Kłamiesz pogański duchu!« — świsnęła strzała prosto w piersi guślarza, a tuż za nią wypadł skokiem rysia spadającego na zdobycz uzbrojony rycerz, i schwycił guślarza za gardło.

Oda rzuciła okiem na rycerza, wrzasnęła przeraźliwie, i w mgnieniu oka znikła z przed pieczary.

Pod ten czas rozpoczęła się uparta walka między przybyłym rycerzem a guślarzem. Ten jakkolwiek bezbrony i raniony, dobył ostatnich sił

i pokazał że miał ich nie mało. Po kilkakroć, naga tylko pięścią, potrafił rycerza tak silnie, że aż nim zachwiał za każdym potrąceniem, ale wkrótce sam się zwałił przebity mieczem.

„Pokonałeś mię przekłety!“ — zawołał chrypiącym głosem konającego: „Biada moim bogom. Słabi są, ale umieram wierny im. Przebacz żonie. Ja tylko występny. Oda słaba, ale niewinna. Przyśięgam na bogi.“

Słowa te złagodziły wściekłość Gromowida. Odstąpił od guślarza, a myśl o żonie zajęła go jedynie. Obejrzał się dokoła i nie znalazł jęj; ale w zaślepieniu walki nie zważał gdzie się udała. Niepokój groźny schwycił go za serce, obłąkał oczy, odbił się w całej postawie.

Półmartwy guślarz odgadł ten niepokój: nie mógł już przemówić, ale wskazał ruchem ręki na łachman białej sukni, wiszący u bliskiej gałęzi, jako ślad jęj uciezki w stanie bezprzytomnym zapewne.

Gromowid po tym jedynym znaku puścił się za zbiegłą w całym pędzie nóg; natrafił jeszcze dwa lub trzy razy na podobne poślaki, ale wkrótce żadnych nie znalazł. Mimo to przez godzin kilka biegał po bliskich górach na oślep, wołał, nikt się nie odzywał. Myślał że się schroniła do zamku. Wpadł tam jak widziadło, jak obłąkany; nie witał domowników; wołał tylko o żonę; nikt jęj nie widział, nikt nie wiedział gdzie się podziała. Rozegnał wszy-

stką służbę na całą noc, w różne strony, i sam nie został bezczynny. Całą noc migaly po przyległych lasach i górach kagańce szukających; całą noc rozlegały się żalobne nawoływania: wszystko napróżno. Aż dopiero nad ranem, ujrzał Gromowid coś białego w niedostępnej prawie gęstwinie. Zbliżył się, rozpoznał ludzką postać. Krzyknął z radości, przedarł się do niej, przypadł na kolana: w rzeczy samej była to Oda. Leżała oparta o poplątane gałęzie półnaga, półmartwa, z suknią poszarpaną, z ciałem podrapanym, z ręką na wieniec spływającym po włosach. Na głos Gromowida zadrzała dreszczem całego ciała, podniosła w pół przygasłe oczy, osłupione trwożą, konwulsyjnym ruchem zerwała wieniec, i puściła go przed nogami męża. Lecz kiedy ująwszy ją w silny uścisk chciał podnieść, i słowami wszystko przebaczył, i przycisnął z miłością swoje usta do jęj ust, uśmiechnęła się, złagodziła wejrzenie, i niewyraźnie wyszeptala:

„Kara Boska.“

Były to ostatnie ruchy życia, ostatnie słowa; poczem zwolna zamknęła oczy, i już ich więcej nie otwarła.

Z tęp okiem zgasło całe szczęście, cała ziemską przyszłość Gromowida. Pochował on żonę w tęp samym miejscu gdzie ją znalazł, przeklął swój zamek na wieczne pustki, a sam osiadł w kaplicy zbudowanej na ukochanym grobie, i wkrótce tam umarł.

Niebo dla nauki miejscowego ludu uwieczniło cały ten wypadek. Natychmiast po skonaniu Gromowida, kaplica zapadła się w ziemię, a na jej miejsce wystąpiło jezioro zwane dzisiaj Smerczyn Staw. Ztamtąd, w pewnych wieczorach każdego roku, wychodzi mgła biała, powiewna, wtacza się na szczyt Smytni, stacza się z niego, błądzi po dolinie, i znowu wraca do jeziora. Ma to być duch Ody, niewiadomo czy jeszcze pokutujący, czy już anioł.

Pustki zamku przemienione w opokę, zachowały do dziś dnia pozór warownej budowy. Pieczara guślarza zapadła, a na jej miejscu siedzi duch jego odziany kształtem wielkiej kamiennej sowy; nieruchomy od wieków nad prześliczną doliną, musi patrzeć bezwładnie na miejsce bezbożnych swoich czynów, Bóg wie dopóki.

Nie jeden podróżny widzi to wszystko, a nie wie zamkniętej w tém tajemnicy.

STRASZNY STRZELEC.

POWIEŚĆ Z RĘKOPISU MUZYKA.

I.

Objaśnienie wstępne.

W pierwszych latach mojej emigranckiej pielgrzymki po Galicyi, poznałem się z pewnym młodym muzykiem. Znajomość nasza była krótka: pędzeni oba wichrem jednéjże niedoli w przeciwne strony, musieliśmy się rozstać zaledwośmy się spotkali. Mimo to znajomość nasza nie była powierzchowna. Oprócz spólności położenia i powołania, wiązało nas jeszcze braterstwo sztuki i braterstwo przekonań politycznych. Zeszliśmy się więc jak dawni znajomi, a pożegnaliśmy się jak przyjaciele. Powieść którą ogłaszam, jest drogą pamiątką téj krótkiej chwili, a razem pięknej duszy muzyka. Składa się ona z kilku zarysów od ręki życia emigranckiego i życia góralów.

Młody artysta, człowiek ludu sercem i przekonaniem, korzystał ze swojego pobytu w stronie mało znanéj reszcie Polski, pomiędzy ludem równie nieznanym, a korzystał nie pod samym względem

sztuki. Nie był to tylko człowiek smyczka, nie sama muzyka gminu zajmowała jego troskliwość. Widział on ważniejsze skarby w jego głębiach, i po te się zapuszczał. Przestrojony po góralsku, przebiegał góry, zamieszkiwał w najsamotniejszych chatkach, mieszał się pomiędzy juhasów, a zawsze z myślą polską. Czasami rzucił im słówko, którego dotąd nie słyszeli, rozjaśnił myśl której dotąd nie pojmowali, odsłonił stronę życia którą dotąd obojętnie pomijali: za to też dowiedział się nie jednej rzeczy nieznannej sobie. Za tajemnicę kupował tajemnicę; a wtedy smyczek zamieniał na pióro, i zamiast nót muzycznych, pisał duszę ludu. Ta praca nie była pośledniejszą od pierwszój; on sam przynajmniej przynosił ją nad pierwszą.

Żałuję że tylko ten jeden zabytek został moja własnością. Nie śmiałem prosić go o więcej, jemu też skromność przeszkadzała więcej ofiarować. Dziś mocno tego żałuję. Nigdy już później nie spotkałem mojego muzyka: nie mogłem nawet śladu po nim schwycić. Los jego dalszy całkiem mi niewiadomy. Kto wie co się z nim stało? Może i on i wszystkie jego nabytki tak szanowne zginęły na zawsze! Miło mi, że chociaż ogłoszeniem tej powieści, mogę uczcić jego pamiątkę.

Co się tyczy samój powieści, zostawiając o nią sąd czytelnikom, powinienem ostrzedz, naprzód:

że nie znajdą w niej może téj sztuki pisarskiej, jakiej się spodziewają; a potem, że będąc jedynie wydawcą, nie biorę na siebie obowiązku rozjaśniania, cokolwiek w tym utworze wydać się może za nadto dziwne, czasem zaś niepojęte. Ogłaszam pracę cudzą bez żadnej mojej zmiany; tém bardziej nie pozwalam jej sobie tam, gdzie osoba pisarza występuje.

II.

Początek rękopisu.

0to jest rękopis muzyka.

Opowiem tu jedno ze zdarzeń mojego życia, które może nie będzie bez użytku, a nawet bez zajęcia. Żebym je dobitniej odmalował, muszę o sobie kilka słów powiedzieć. Jakkolwiek osoba moja w tym obrazie jest podrzędna, koniecznie jednak wchodzi do jego całości.

Podczas rewolucyi Listopadowej służyłem jej z bronią w ręku. Zakończyłem schronieniem się do Galicji, wraz z korpusem generała Rożyckiego, pod którego dowództwem przy końcu wojny walczyłem. Zostawiony tym sposobem własnej woli i tułaczemu życiu, chciałem jeszcze i to smutne położenie obrócić na korzyść Polski, o ile obrócić się dało.

Miałem z urodzenia zdolność do muzyki; rozwinąłem ją znacznie przez długą i szczerą naukę i pracę; nadto widziałem, że prawdziwe dla niej zniwo, jest na polu gminném, zaniedbaném dotych-

czas, że tam dopiero może się przeobrazić w narodową a tém samém pożyteczną; postanowiłem więc jako muzyk schronić się w głębie przyrody i ludu, i tam przeczekując wielką naszą nawalnicę, pracować tym czasem, ażeby przy wróconej pogodzie i dniu nowej walki, nie wypłynąć bez korzyści dla siebie i drugih.

Wybór miejsca pracy nie długo mi zawadzał. Zrodzony na mazowieckich płaszczynach, nie miałem wyobrażenia tak o śpiewie góralskim jak o samych górach. Ujrzałem je raz pierwszy z pod Krakowa, i wnet natchnienie miłości półtajemniczej porwało mię ku Tatrom. Żądy mojej nie stało nic na zawadzie: co pomyślałem to wykonałem natychmiast.

Na nieszczęście, było to już pod zimową dobę. Wiadomo, że w tej porze zamiera w górach życie bardziej niż gdziekolwiek: ta śmierć przyrody krzyżowała bardzo moje zamiary. Utrudniała mi ona pielgrzymkę pomiędzy ludem, jako tułaczowi, i zasłaniała przedemną świat muzyczny, który tylko w swobodném letniém życiu góralów jaśnieć może w zupełności.

Kiedy tak duch Tatrów zamknął wewnątrz swojej krainy, musiałem z razu ograniczać się na jego przysionku. Osiadłem więc w jednej ze wsi około Nowego-Targu, i obróciłem zimę na przygotowanie sobie lata. Wychowany wśród wieśniaków, miałem

ja dawną znajomość wiejskiego ludu; miałem nawet nałogi jego życia. Miejscowej mowy prędko się nauczyłem, to mi wiele ułatwiło drogę mojego zawodu. Resztę trudności ułatwiła szczerą i mocną miłość nowo przybranego świata: ona zwaliła zaporę nieufności, która jest prawie wrodzona siermiędze ku sukni z kolnierzem. Zetknąwszy się raz sercami, coraz bardziej zbliżaliśmy się wzajemnie, miłowali się i poznawali.

Wszakże mój zamiar nie ograniczał się tém jedynie, aby z nich wy badać co mnie było potrzeba; założyłem sobie także odkryć im co oni wiedzieć powinni. Stósownie do tego postępowałem, i dobrze na tém wyszedłem. Obiedwie czynności tak się wspierały wzajemnie, że obu celom stawało się za dość. Dowód tego powodzenia miałem dotykalny; byłem jak pomiędzy swoimi. Znajomości moje rozchodziły się kręgiem coraz obszerniejszym: wieś wsi, ludzie ludziom podawali mię kolejno, tak przejrzałem całą okolicę Podtatrańską, tak do czekałem wiosny i wszedłem w osnowę zdarzenia, które chciałbym opowiedzieć szczegółowiej nieco i z całym wrażeniem jakie mi po niem zostało.

III.

Biesiada juhasów.

Właśnie Czerwiec się zaczynał. Błękit nieba płował gorętszém co dnia światłem: ziemia w bujniejszą porastała zieloność. Tatry, płukane ciepłemi deszczami, wychodząc z ich kąpieli, co rano młodsze, wystąpiły nakoniec w zwyczajnej swojej szacie z przejrzystego błękitnego blasku. Na mglistém ich czole błysnęła korona tęczy; w przepaścistych pierśiach ozwał się oddech głuchego grzmotu: było to jakby hasło dla góralskiego świata, — do nowego życia, pasterskiego. Jakby na hasło życie to budzić się zaczęło.

Otwierały się zagrody wiejskie, skupiały się trzody, wypływały z ogniska gór, ciągnęły w senny promieniach na dalsze polany, i ginęły za wzgórzami. Jedne ginęły, następowały inne, i znowu inne, jak fala za falą, aż zapelnily swoją powodzią całą okolicę. Gdzie rzuciłeś okiem, bieleły trzody w zieleni lasów i polan; po skałach snuli się pasterze i pasterki, po uboczach dymily się bacówki. Gdzie zwróciłeś ucho, wrzał gwar bydła, odgłos ko-

łatek, dźwięk rozlicznej muzyki, przeciągłe echa śpiewu góralskiego. Wszystkie widoki i dźwięki splatały się niejako w jedną pieśń młodego pasterkiego świata. Ogromne słońce zachodu podnosiło ją do najwyższej wrzawy; w tej porze wszystko wracało do koszar i szalasów, wesołe i dniem ubiegłym i nocą nadchodzącą. Uciszało się w miarę jak gasła zachodnia zorza, w miarę jak ciemność rosła. Otóż i noc a z nią spokój zupełny. Na niebie tylko gwiazdy, po górach tylko ogniska jak gwiazdy po niebie, błędne, niepewne, a odpowiadają im, daleki gwar biesiadujących juhasów, jeszcze dalej ostre hukanie góralskiej dziewicy, albo głuchy szum potoku rozmawiającego z wiatrem nabrzeżnej dziczy.

Pod taki to wieczór siedziałem pomiędzy juhasami na polanie zwanej Kołatówką. Nie opodał szumiała Białka; przed nami pałało ognisko. Towarzysze moi byli dziarscy i weseli, jak zwykle juhasy, zwłaszcza o tej porze. Wieczera, tylko co ukończona, dodawała nową rzeźwość ciała i umysłowi: znalazła się i gorzalka; jednym słowem zawiodła się mała biesiadka.

Łatwo pojąć, że jako muzyk miałem w podobnych zabawach niepośledni udział. Przez czas mojego pobytu między góralami, obeznałem się z ich piszczałką, kobzą i tym podobnymi instrumentami używanymi przez nich; nadewszystko schwyciłem tak ducha rodzimęj, góralskiej muzyki, że mogłem

grać im nie tylko znajome pieśni i tańce, ale i nowe tworzyłem. Niekiedy także pożyczalem u innych okolic; bo miłując oddawna namiętnie muzykę ludu, starałem się poznać wszystkie jej rozgałęzienia na ziemi polskiej i znałem ją dobrze. Trzeba było widzieć jak ucho góralskie dziwiło się z razu wesołym śpiewom mazowieckim, skocznym kołomyjkom, posępnym dumkom ukraińskim: z czasem oswoiło się z niemi i rade im było. Jednakże na dzisiejszy wieczór przygotowałem coś całkiem nowego, — niespodziankę. Był to rodzaj poemaciku muzycznego. Myśl jego obejmowała wszystkie plemiona Polski, wszystkie koleje jej losów, całe życie.

Wstęp malował Polskę przedchrześcijańską, w życiu patryarchalnem, na łonie przyrody cichej, sielskiej, wśród szumu lasów, śpiewu ptaków. W tej części panował brzęk gęśli. Charakter jej był prosty, spokojny, rzewny, coraz bliższy melancholii: oznaczał przyszłą Polskę w zawiązku. Na raz głucho zahuczały nieznanne wiatry organów, jak uderzenie gwałtownego przelotnego wichru — było to pierwsze objawienie się chrześcijaństwa — umilkły, a natomiast gęśl odpowiedziała. — Tu przez chwilę odzywały się na przemian to gęśl, to organ, niby walka Polski pogańskiej z chrześcijańską; ale akord organu coraz mocniejszy, uroczystszy, akord gęśli coraz słabszy, posępniejszy, aż nagle zajączkał bolesnym płaczem i umilkł zagłuszony trąbą wojenną, —

a w tym jęku, w tej pobudce wojennej trąby był pierwszy płacz niemowlęcy Polski chrześcijańskiej, i zarazem pierwszy jej okrzyk wojenny, było znanie jej posłannictwa, jej przyszłości, całe jej życie dalsze. Z uciętego hałasu trąby, jak ze źródła, wypłynął strumień pieśni prostej, poważnej, religijnej, powracającej razy kilka, z odgłosem trąby po każdej zwrotce — ta pieśń to Boga-Rodzica, to Polska walcząca w imię chrześcijaństwa. Dźwięki pieśni coraz mocniejsze, coraz pełniejsze, coraz nowy odgłos przybywa do chóru, coraz nowe uczucie wpływa do ogółu muzyki: to dzika kobza góralska, to ruska lira, to kozacki torban, to róg litewski — polski duch rozszérsa się, wypełnia się duchami postronnych plemion. Po chwili ze zlewu wszystkich narzędzi podnosi się marsz uroczysty tryumfalny — Polska na szczycie potęgi — Trąba uderza coraz mocniej, coraz głośniej, coraz niestrojniej, zagłusza dzikim gwarem całą muzykę: znać że rycerska część narodu podnosi się nad cały naród. Wkrótce zaczyna się swar różnych dźwięków, nieład, dysharmonia. Wybuchają gwałtownie, jedno po drugich, lira, kobza, róg, i nikną jedno po drugich, nagle, jęcząc, jak gdyby struny pękały. Trąba tylko brzmi jeszcze, ale coraz słabiej; jeżeli wzmoże się niekiedy, to na to aby się tém ciszej odezwała; w końcu ucichła całkiem.

Taka była mniej więcej muzyka, którą ułoży-

łem dla góralów, wiecznie pod myślą, aby każdą okolicę Polski wiązać z ogółem wszystkimi włóknami jej ducha; wiecznie w przekonaniu, że jej dzieci tém szczerzej i mocniej kochać się zaczną, tém ściślej złączą się, im lepiej się rozumieją; a zaczną zaś lepiej się rozumieć w miarę tego, jak zaczną lepiej pojmować wzajemny swój język, który nie w samych tylko wyrazach leży, ale najważniejsza może częścią w uczuciach i w języku uczuć bezpośrednim.

Wykonanie tylko miało niezwalzone trudności. W układ dzieła wchodziły różnorodne tony. Chcąc je wykonać jak należało, wypadało złożyć orkiestrę, co było niepodobne; ograniczyłem się przeto jednym instrumentem, i wybrałem skrzypce. Z niemalą pracą dokazałem jednak, że naśladowania tonów, obcych skrzypcom, dosyć je dobrze oddawały. Poświęciwszy nie mało tygodni samotnemu ćwiczeniu się w wykonaniu, przyszedłem nakoniec do pewnej biegłości, i przeznaczyłem dzisiejszy właśnie wieczór na mój koncert.

Chwila była prześliczna, jak ją opisałem, słuchacze weseli, rozgrzani wiechą, dobrze usposobieni. Zażądałem cichości, i otrzymałem ją łatwo; górale lubili moje granie. Zacząłem nie bez wewnętrznej obawy. Dla czego? wszak nie pierwszy raz im grałem? wszak miałem słuchaczy nieukształconych, których nagana i pochwała powinny były,

zdaje się, być mi obojętne? Drzałem jednak wewnętrznym dreszczem. Byłże to dreszcz artysty rozmiłowanego w swoim dziele i lękającego się o jego powodzenie? Byłże to coś bardziej tajemniczego, nieodgadnionego, dreszcz przecucia? Tej zagadki nie mogłem sobie na razie rozwikłać, nie mogłem równie otrząść się z niepokoju, a chciałem; wstyd mi było mojej słabości. Przez tę walkę znalazłem się w dziwnym stanie wewnętrznym, w stanie jakiegoś gorączki, zapomnienia się, które mi posłużyło nad moje spodziewanie. Siły ciała, energia woli rozumnej, upadły wprawdzie, ale natomiast powstało coś wewnątrz mocniejszego jak wszystko co dotąd w sobie znałem, rozplynęło się po całym ciele, owdłodziło tak całą moją istotę, że zamieniłem się w jego machinę. Natchnienie to rozciągnęło się dalej, wylało się na zewnątrz, wpłynęło w smyczek, w struny, w drzewo instrumentu; tak objęło jednym duchem, jednym życiem niezwykłym i mnie i skrzypce, że zdało mi się jakbyśmy jedno ciało stanowili, jeden instrument w rękach artysty niewidzialnego, niepojętego, mimo to wszechmocnego. Uderzyłem smyczkiem bez wiedzy.

Z pierwszym dźwiękiem wzrosła moja odwaga, ale coraz bardziej traciłem przytomność; na koniec zupełnie wyszedłem z siebie. Jak grałem? nie wiem. Musiało być jednak w mojej grze coś nadzwyczajnego. Miarkuję to po wrażeniu jakie sprawiłem na

słuchaczach, a które postrzegłem dopiero zakończywszy granie. Siedzieli nieruchomi. Oczy wszystkich tkwiły na mojej twarzy. Oblicza jednych osłupiały podziwem, inne znowu mieniły się grą wewnętrznych wzruszeń. Kiedy przestałem, pojrzeli po sobie: zdawało się, że prowadzili rozmowę oczami, że oczami udzielali sobie wzajemnego podziwiania.

»To to muzyka« — szeptali jakiś czas pomiędzy sobą.

»Do góralskiego serca! prawdziwa góralska!« — zawołał jeden na głos.

»To nie góralska! nie!« — odpowiedział inny.

»Ba! nie góralska! a ja wam powiadam że ją gdzieś słyszałem;« — odezwał się Juzek, muzyk z rzemiosła, i dla tego może najwięcej zachwycony graniem i mileżący dotąd.

Juhasy zaśmieli się. »Słyszałeś, a nie grałeś nigdy, choć ty nie chowasz dla siebie swoich piosnek.«

»Nie wygram, to prawda, ale słyszałem i nieraz.«

»No, no! nie udawaj mędra! Już to ty wszystko widzisz i słyszysz czego ludzie nie znają.«

»Juzek dobrze mówi,« — przerwał inny juhas; »bo ja także słyszałem tę pieśń.«

»I ja ją znam. I ja. — I ja,« odezwało się kilka głosów.

»A gdzie?« zapytał jeden z niedowiarków.

»Gdzie?« odpowiedział Juzek, »tego nie wiem; ale przysięgnę, że ją słyszałem. Kiedy Stach grał, to mnie było, jakby ją ciągnął z mojego serca.«

»A to prosimy zagrać. My gotowi drugi raz posłuchać.«

»Ba! żebym potrafił, to byłbym wnet bardzo bogaty.«

»A cóżby ci z tego przyszło?«

»Poszedłbym do jamy pod Gewont, gdzie ten stary duch, co to wiecie, siedzi na wielkiej kupie złota. Jakbym jemu zagrał, to choćby był najtwardszy djabeł, musiałby się pokazać i dać swoich pieniędzy. Już co takim graniem, to pewniebym go zaklął.«

»Juzek dobrze mówi. Nie taki głupi jak się zdaje: szkoda że nie taki mądry jak potrzeba. Wielka szkoda że nie umie grać jak Stach, a byłby czarnoksiężnikiem.«

»A toć się można nauczyć. Żebym tylko jeszcze raz posłyszał. Stachu! zaczynajcie — no jeszcze raz.«

»Proście pierwój niech skończy,« — zawołał ktoś z boku.

Na ten głos nieznamy, zwróciliśmy wszystkie oczy w stronę z kąd się odezwał, i ujrzeliśmy w rzeczy samej obcego człowieka. Nikt go nie widział kiedy i jak przyszedł, a siedział jednak nie

opodal od ogniska. Juhasy spojrzeli po sobie milczkiem, a w ich milczących obliczach przebiegały się zdumienie, bojaźń i uszanowanie.

Ja również nie mało byłem zdumiony. Przyczyną jednak mojego zdumienia nie było nagle przybycie nieznanego; ale naprzód jego osoba. Ubrany był po góralsku; przez plecy wisiała długa strzelba, w rękę miał wałaszkę, za pasem parę pistoletów. Kolosalna budowa ciała, ogromne barki, dłonie z palcami którym podobnie grubych dotąd nie widziałem, szyja tej niemal objętości co głowa, wydaty przestronne piersi, wyzieraające bujnym zarostem z pod rozkrytej koszuli, zapowiadały olbrzymią siłę. Odpowiednią jej energią tchnęło całe oblicze: było ono przytém doskonałej męskiej piękności, poważne, nadzwyczaj spokojne, i szlachetne wyrazem jakiejś duchowej szlachetności. Oczy pełne, ciemno niebieskie, błyszczwały jak gwiazdy; zdawało się że opromieniały twarz i czoło. Długie, ciemne włosy, rozpuszczone obyczajem góralskim, podobnie wasy i broda skędzierzawione, osłaniając większą część twarzy, robiły jeszcze dobitniejszym wyraz jej w częściach odsłanianych. Głos jego tak był czysty, i silny, pełny i dźwięczny, przenikający i miły, w takiej harmonii z budową ciała, że z tego głosu można było odgadnąć całą prawie postać. Podobny widok musiał zrobić wrażenie; ale najmocniej zastanowiło mię jego zdanie o mojej muzyce. Odpowiedzia-

łem jakim był powinien, że pieśń była całkowita i wygrana do końca.

»Nie! wy nie graliście całej.«

A potwierdził to głosem tak pewnym, że zachwiał prawie mojem własnem przekonaniem. Przynajmniej widziałem, że mogłoby się zanieść na spór trudny i zabawny; dla tego postanowiłem ustąpić i rzekłem z uśmiechem: — »Szanowny ojcze, wy to zapewne lepiej wiecie; ale ja, nie umiem więcej.«

»Kiedy tak,« odpowiedział nieznajomy, »to ja za was skończę. Dajcie mi wasze skrzypce.«

Machinalnie posłuszny żądaniu, które na rozkaz zakrawało, podałem skrzypce nieznajomemu. Pociągnął smyczkiem, dał kilka tonów, podstroił, a z tej pierwszej próbki poznałem, że nie był to zwyczajny wiejski skrzypek. Przyłożył drugi raz smyczek, przeleciał przez wszystkie struny, przez wszystkie tony jednym pociągiem, jakby w przegrawce; podziwienie moje wzrosło; posłyszałem granie jakiego nigdy nie słyszałem. — »To mistrz!« wyrzekłem w zapomnieniu się głośno, i zdawało mi się, że za mało powiedziałem. Lubo o podobnej biegłości nie miałem wyobrażenia, niczém ona jednak była obok tego uczucia, tej duszy, jaką wlał w instrument. Skrzypce moje jak oczarowane, ozwały się głosem jakiego nigdy nie miały, jakiego w żadnych skrzypcach nie znałem; zdawało mi się, że zaśpiewały, a śpiewając przemówiły. Przez chwilę pauza. Wlepi-

łem oczy w nieznajomego. Żadnej w nim zmiany, żadnej oznaki zewnętrznej nadzwyczajnego wewnętrznego wzruszenia, ten sam wyraz co przed chwilą, tylko oczy patrzyły w księżyc. Naraz skrzypce jakby westchnęły z cicha, i powlokło się długie, równie ciche jęczenie, jak ciche nieskończone echo westchnienia. Zdawało się, że melodia promieni księżycowych, spływając przez oczy do serca muzyka, grała z jego głębi w echu skrzypców: wciąż cicho, boleśnie, ponuro, pogrzebowo; kiedy niekiedy, w wymierzonych zwrotach, dziki wtór zaszedł się łkaniem, lub brzękiem jakoby żelaza, a czasem bardzo rzadko chrapliwém wrzaśnięciem trąby. Pieśń pogrzebowa konała kilka razy i kilka razy podnosiła się, w końcu uciechła.

Nieznajomy zawiesił smyczek nad strunami i przemówił: »Słuchacie grania, ale czy rozumiecie? Czy wy się domyślacie, że w graniu Stacha patrzaliście na matkę waszych pradziadów, na waszą własną matkę, na matkę Polskę, na jej życie przez tysiąc lat? A to granie tak wam o niej gadało. Była ona wielka, szczęśliwa, sławna; prowadziła wojny w imieniu Boga prawdziwego i dla szczęścia bliźnich. Przyszedł szatan dumy i rozpusty, rozdzielił naród na panów i chłopów, oddał w ręce panów życie narodu i szczęście chłopów; natchnął jednych nienawiścią dla drugich; odebrał rozum jednym i drugim; wzbu-
dził potem nieprzyjaciół obcych, i wszystkich oddał

im w kajdany: Polska pogrzebiona. To wam Stach skrzypcami powiedział. Nie powiedział wszystkiego. Polska w grobie ale żyje. Zagrzebano ją żywcem. Głosu jej nie słyhać na ziemi, ale pod ziemią. Słyszeliście go na własne uszy w mojem graniu. Teraz patrzajcie jak zmartwychwstanie.“

I wrócił znowu do pieśni pogrzebowej. Wszakże nie był to już ten akord niski, głuchy, ponury, przewlekły, podgrobowy co wprzód; postąpił o jedną oktawę wyżej; jęczał jeszcze, ale w tym jęku widać już było więcej życia, coraz więcej; ruch tonów był szybszy; stopniami wchodziła do nich różnorodność, coraz widoczniejsza, coraz tłumniejsza; przystępowały znowu jedne po drugich, kobza, torban, róg leśny; dźwięk gęśli odezwał się z początku w oddaleniu, następnie wracał coraz częściej, i wybitniej; ovladał nakoniec pierwsze miejsce; wszystkie inne tony na wtór się zamieniły; a pieśń w najdoskonalszej harmonii płynęła czarodziejską melodyą miłości, podnosiła głos, podwajała siłę, i takt po taktacie urosła w bicie kotłów, grzmot trąby, w muzykę męskiej energii. Naraz zawrzała całym pozornym nieładem walki wszystkich tonów, całą jego dzikością, zawsze pod kierunkiem gęślowego pierwiastku. Tak wrzała chwilę, wzmagała się, słabła, znowu się wzmagała silniej, silniej, aż podniosła dźwięk trąby nad wszystkie dźwięki, który jakby dał hasło do ozwania się wszystkich

narzędzi jedną powszechną pieśnią tryumfalnej radości, a cała muzyka złała się w uroczysty, podobny akord organów.

Skończył nieznajomy, oddał mi skrzypce z tą samą spokojnością, którą przez cały czas zachował, podniósł się, przewiesił strzelbę przez plecy, wziął w rękę swoją walaszkę, powiódł po słuchaczach pogodnym, uroczystym wejrzeniem, zwrócił się ku mnie, powiedział tylko do mnie: „bądź jutro rano przy źródle białego Dunajca;“ — a innym: „Bóg z wami!“ — i odszedł.

Byłem w stanie duszy niepodobnym do opisaniam i pojęcia. Dopiero, straciwszy nieznajomego całkiem z oczu, przyszedłem cokolwiek do siebie. Żeby nie granie jego, które mi jeszcze brzmiało w uszach i sercu, i w całej tej nocnej ciszy brzmieć się zdawało, żeby nie widok juhasów koło mnie, równie jak ja osłupiałych z podziwienia, byłbym myślał, że całą tę scenę śniłem.

Dobra chwila upłynęła, zaczęliśmy byliśmy w stanie porozumieć się spojrzeniami i przemówić. Wtedy dopiero postrzegłem, jak rozmaite uczucia ovladły moimi towarzyszami. Jedni rzucali jeszcze błędne oczy w ostanku muzycznego zachwycenia, innych obejmował przestrasz; niektórzy, uważałem, żegnali się; tamci mruczeli coś w nadąsaniu; ale dotąd wszyscy milczeli.

„Co to jest? kto to jest?“ przemówiłem ledwie

zdolny uporządkować moje myśli, zgodzić język z myślami. Górale wzruszyli ramionami i milczeli. »Czy zna go ktokolwiek z was?« — zapytałem znowu.

Za całą odpowiedź górale głowami potrząśli i znowu milczeli. Wszakże po chwili zaczęły rozwiązywać się języki jedne po drugich, i następna wytoczyła się rozmowa. Pierwszy odezwał się Romek, najżywszy z tej gromadki:

»No, Juzek!« zawołał z przymuszonym śmiechem, »nie potrzebujesz chodzić za djablem Gwontu, on sam przyjdzie do ciebie, zagraj tylko pieśń Stacha.«

»To ty myślisz?« zapytał któryś, »że to dziwisko?« . . . zatrzymał się, nie śmiał kończyć.

»Juzci że to on sam. Stach zagrał, Juzek wspomniął, i oto jest.«

»Juhasy! juhasy!« zawołał Kuba, który uchodził za poważnego między swoimi, »zły macie zwyczaj gadać pod noc o takich rzeczach. Ja zaraz wiedziałem, że głupia gadanina Juzka nie skończy się ni siak ni tak. A teraz moja rada, żebyście już o tém skończyli.«

»Ba, ba!« zawołali niektórzy, »cóż nam może stać się gorszego jak się stało. Poszedł jak przyszedł. Ale co gra to gra. Takiemu skrzypkowi nie żal sygnąć krąjcarami.«

»Ej! nie żartujcie,« podchwycił milezący do-

tąd Antek, »kiedy nie wiecie z czego żartujecie. Ja nie żartuję, bo ja coś wiem.«

»Co ty wiesz? Może wiesz kto on jest? Może go znasz?« — zapytano ze wszystkich stron.

»Ja czy znam, czy nie znam, ale są ludzie co go znają. A słyszeliście wy o Straszny Strzelcu?«

»Onże to myślisz?«

Antek potwierdził skinieniem głowy.

»To dzięki Bogu, nie mam się złego nie stanie; wszak my nie strażniki. On lubi góralów, on nasz brat.«

Ten obrot rozmowy zajął mnie jeszcze żywiej nieznanym. Wmieszałem się także do niej i prosiłem, aby i mnie chciano przypuścić do tajemnicy o Straszny Strzelcu.

»Czemużby nie?« odpowiedział Antek. »Co ja wam powiem, to wiem od mojego dziadka, a żaden z was nie wie tego co mój dziadek, a mój dziadek powiada mi wszystko co sam tylko wie. Straszny Strzelec to nie dzisiejszy człowiek. Cóż na to powiecie, że mój dziadek widział go jeszcze jak byli u nas konfederaty? Straszny Strzelec trzymał wtedy z konfederatami, chodził po górach, napędzał górali do Polaków. Starzy ludzie co to widzieli albo zasłyszeli, powiadają, że dużo wtedy góralów poszło z siekierkami, kosami i rusznicami na Moskali i nabili ich nie mało. Przyszli potem cesarscy ludzie i powiedzieli góralom: nasz pan to wasz pan! a górale uwierzyli. Od tego

czasu Straszny Strzelec rzadko się pokazuje. Wszyscy o nim słyszą a mało go kto widzi. I niema czego chcieć, powiedziaławszy sumiennie. Prawda, że góralom nic złego nie robi, raczej dobrze; ale dosyć popatrzeć na niego, żeby się człeku źle zrobiło. Od jakiegoś téż czasu, ma być gniewniejszy jak dawniej i góralom dokucza. Ta wielka zima niedawno, pamiętacie; albo ta straszliwa powódź; powiadają, że to przez niego. A wszystko to dla tego, jak prawią starsi nasi, że górale pozwalają spokojnie siedzieć u siebie cudzemu. Bo cudzych cierpieć nie może: oni wiedzą o tém; ale nie mu nie robią, bo się boją gorzej djabła. Jakże się nie bać kiedy ma siłę za półtora niedźwiedzia, a za stu Czaraparów. Oho! nie zaczepi go żaden tabacznik, żaden strażnik graniczny; żegna się tylko jak go zajrzy i ucieka, a potem dziękuje Bogu, że uciekł, przed jego kulką, bo już nie jednego znalaziono między górami, jak psa co dawno parę wyzionął. Przeszły nasz strażnik, wiecie' przez co się od nas wyniósł? Oto raz w nocy spotkał się na linii ze Straszny Strzelcem, i chciał się z nim popróbować; ale nie uśpiał jeszcze do rusznicy, a Straszny Strzelec już go trzymał w garści; potem straszliwie zgrzytnął i zawołał: daruję cię życiem boś Lach, ale przysiąż mi tu zaraz, że porzucisz służbę. Strażnik tak się przełakł, że przysiągł, plunął na swoje rzemiosło i dziś pono jest poczciwym gdzieś tam gazdą.

»O już-to że góralów lubi, to ja powiem coś o tém« — przerwał jeden ze słuchaczy. »Znacie Hanke i jej krowę jedynaczkę. Zdarzyło się raz, że na górze, kędy Hanka swoją krowkę pasła, zerwał się piekielny wicher, porwał krowkę i już ją rzucił w przepaść; ni ztąd ni zowąd wyskoczył Straszny Strzelec, uchwycił w powietrzu krowę za rogi i postawił ją znowu na bezpiecznym miejscu.«

»To święta prawda!« przytwardził Antek, chcąc zdaje się, uchodzić za człowieka, który wie najwięcej o Straszny Strzelcu. »Ale ja wam powiem jeszcze większą ciekawość. Wy wiecie, że Polska to wielki kawał świata: Bóg wie jak wiele mil od ściany do ściany, a Straszny Strzelec jest w całej Polsce jak w domu. Trafiło się naszym ziemiakom, że poszedłszy na zarobek aż za Warszawę, tam go spotykali. A jeszcze ciekawsza, że o tej samej porze pokazywał się i tu w górach; tylko że na dolinach jest jak tamtejszy człowiek. Ale zaraz go poznano, bo i tam nazywa się jak tutaj i wyrabia te same dziwy.«

Ciekawie słuchałem całej tej gawędy, z mniejszym może podziwieniem jak inni, ale z pokornym uczuciem, że równie jak inni byłem niezdolny rozwikłać powszednim rozumem zagadkę Straszny Strzelca. Bujałem na domysłach jak na falach, i w żadnym utwierdzić się nie mogłem.

Zważywszy jednak wszystko co o nim krążyło

w powieściach ludu, co sam widziałem, jego sposób życia, nienawiść ku urzędnikom cesarskim, skarbienie krajowców oznakami przychylności, to uzbrojenie, tę tajemniczość, którą się osłaniał, tę grę, która w nim dowodziła niezmiernych zdolności i niepowszedniego ukształcenia, skloniłem się najwięcej ku myśli: że mógł to być jeden z owych ludzi śmiałych, zdolnych, przeznaczonych do wielkiego w społeczności zawodu, ale przez smutną jaką okoliczność wypartych z kolei szlachetnej w kierunku przeciwnym społeczeństwu: krótko mówiąc, jeden z owych zbójców, jakim powieści ludu nadały nazwiska Waligórskich, Bogusławskich i tym podobne.

Wiele, wiele nie wchodziło w ramy tego domysłu, ale wziąłem tymczasem najdorzeczniejszy z tych, które miałem pod ręką, i chciałem, o ile można, zbliżyć go do pewności; w tym celu rzuciłem juhasom zapytanie: »Wiecie tyle o Straszonym Strzelcu, a sami powiadacie, że nikt go nie widział przynajmniej od dawnego czasu?«

»To prawda,« rzekł Kuba z powagą, »ale czegoż ludzie nie wiedzą. I Pana Boga nikt nie widział, a przecie ludzie go znają; bo to, mój Stachu, ludzka powieść pewniejsza często jak własne uszy i oczy.«

»Już to ja widzę, Stachu,« podchwycił Antek, »że wam trudno uwierzyć w góralskie baję,

to będziecie mogli przekonać się o prawdzie sami, wszak Straszny Strzelec, pamiętacie, obiecał się wam jeszcze pokazać.«

»Dobrze mówicie,« zawołałem, »od niego samego najlepiej o nim się dowiem.«

»I nam powiecie.«

»A tymczasem pora spać, juhasy!«, zawołało kilka głosów.

»Spać! spać!« powtórzył chór liczniejszy; po chwili ognisko samotnie już dogorywało.

IV.

Major Nikorowicz.

Ja tylko nie mogłem usnąć. Gra życia, ogłuchszy dokoła, nie ustawała we mnie, szła na wyjściu z muzyką czarodziejskiej nocy. Promienie nocnych światel biły po strunach duszy, jak po strunach gęśli; płynęły dźwięki za dźwiękami, myśli za myślami, jak strumień żywego źródła, a tym źródłem był nieznamy gór.

Stał mi on ciągle przed oczami, unosił się na wszystkich falach myśli, opanował całą duszę. Przypuszczenie że był zbójcą nie mogło mnie zaspokoić; podobnie upadły same z siebie wszelkie inne domysły. Żadna z miar zwyczajnego człowieka nie przypadła do jego miary, skoro wszedłem w głębsze zastanowienie się. Jego gra, powieści miejscowe o nim, wrażenie jakie na mnie zrobił, jakie zrobił na wszystkich, sama jego powierzchowność, a nade wszystko wyraz oblicza, oznaczały człowieka niepośledniego, a co większa, niepowszednią istotę.

Tu muszę zrobić wyznanie, które mię wcale nie rumieni, że jestem skłonny do wiary w pojawę nadprzyrodzone, a czemu daleko właściwiej służy nazwisko nadzwyczajności. Nie mając zamiaru robić wyznawców mojej wierze, nie będę jej usprawiedliwiał systematycznie; wiele byłoby o tém do powiedzenia, a miejsce nie po temu; dosyć że każda nadzwyczajność robi na mnie wrażenie, które mnie pobudza raczej do głębokiej rozwagi, jak do szyderskiego uśmiechu. Znajdowałem się właśnie teraz w tym przypadku. Może to była gorączka bezesnu, a może też gorączka całego życia, ale mniejsza o to jak na ten raz.

Przypuściwszy raz nadzwyczajność w objawieniu się nieznanego, już nie mogłem zejść z toru tej myśli, dopóki nie zaszedłem do jej kończyn, dopóki tylko blask mi jej przyświecał. Niepodobieństwem byłoby dzisiaj zdać sobie sprawę z tych wszystkich marzeń, to tylko dobrze pamiętam, że mię rzuciły na prawdę w stan gorączki, przez którą całkiem się ze snu wytrzeźwiłem, tak, że widząc nakoniec niepodobieństwo usnięcia, postanowiłem tej nocy jeszcze udać się do źródła białego Dunajca. Pora przy tém osobliwie sprzyjała mojemu przedsięwzięciu. Noc była nadzwyczaj jasna i miła, znałem już cokolwiek bliższe drogi przez góry. Wędrowka ta wyteżyła jeszcze silniej moje czucie, podniosła duszę jeszcze wyżej. Żyłem zupełnie

w innym świecie. Nie postrzegłem się jak stanąłem na miejscu. Nie spotkałem nikogo. Do dnia było jeszcze daleko; wschód zaledwie plonąć się zaczął.

Usiadłem opodal źródła: czekałem, rozglądałem, rozsluchiwałem się; nikt nie przychodził. Poczęło świtać. Powiał wietrzyk poranny; poranna piosnkę zaszczebiotały ptaszki, tym lubym szczebiotem, którym na pół przebudzeni kochankowie sny sobie rozpowiadają; głośniejsze zaszeleściły liście, niby niewidzialna służba krzątająca się około uprzątnienia domu dla nadchodzącego pana; silniejsze uczucie życia przeniknęło do duszy, uciszyło niepokój oczekiwania.

Obwionęło mnie natchnienie ciche, błogie, rzewne; dobyłem fletu, zawtórowałem przyrodzie pieśnią samorodną, po raz pierwszy grana i zapomnianą w téjże chwili; dźwięk jej szeroko się rozlegał po zroszonych górach, i skonał w chórze echa na skalistych szczytach. Przestałem grać, echa ucichły; jeszcze sam byłem. A słońce zbliżało się; widać to było po złotawszej coraz barwie obłoków, po tchnieniu ziemi coraz cieplejszém. Czułem je także po coraz większej wewnątrz spokojności: za którą przyszło wkrótce takie znużenie w skutek nie-spanej nocy i wytrzymanego boju myśli, że ani się postrzegłem kiedy zasnąłem.

Sen mój był dziwny; jeszcze dziś wątpię czy spałem. Pozostałem w tym samym stosunku do

świata rzeczywistego. Słyszałem szelest drzewa, czułem każdy powiew wiatru, widziałem jak słońce wschodziło; tylko że wszystkie wrażenia były cokolwiek złagodzone, jak w żywém przypomnieniu; a wszystkie widoki przedstawiały się jak za szkłem zwierciadła. Z resztą widziałem i tę samą okolicę, i kamień pod którym siedziałem, i pieniaący się Dunajec i jego źródło; nie odstąpiła mnie nawet myśl o Straszonym Strzelcu; czekałem jego przybycia, upatrywałem go jak na jawie, aż nakoniec ujrzałem. Siedział naprzeciw mnie, przy samém źródle, z tém samém co wczoraj obliczem, tak samo jak wczoraj ubrany i uzbrojony. Widok jego przejął mnie dziwną bojaźnią, a raczej uszanowaniem; nie śmiałem pierwszy powstać i przemówić. On zaś jakiś czas patrzył na mnie spokojnie, dobył potem z torby piszczałki, i grać zaczął. Początek był smutny, bolejący; wkrótce potem przeszła w coraz wyraźniejsze jęki, potem zaczęła słabnąć, a skończyła się głuchemi pogrzebnemi tonami. Słuchałem z taką uwagą, z tak chciwém uczuciem, że dotąd ją pamiętam prawie całą. Skończywszy granie, Strzelec wstał, przeszedł koło mnie, dotknął mego ramienia lekkim jak powiew dotknięciem i tylko te słowa powiedział: „za trzy dni w Poroninie.“

W téj chwili obudziłem się. Oczy moje zwrócone były za odchodzącym; ale zamiast jego ujrzałem biegnącego ku źródle człowieka w koszuli tylko,

bez obuwia; miał on piersi szeroko odkryte, na głowie zawiązaną chustkę, w twarzy rozpalenie, gadał głośno do siebie; we wszystkich ruchach widać było stan nadzwyczajnego wzruszenia. Zbiegł szybko o kilka kroków niżej źródła, gdzie Dunajec potokiem już skakał po głazach, przypadł na brzegu, i począł pić tak gwałtownie, tak długo, że zląkłem się czy nie stało mu się co złego. Powstałem szybko, zbiegłem w dół; jeszcze leżał; trąciłem go z lekka.

Na dotknięcie zerwał się równemi nogami, spojrział mi w oczy z wyrazem dzikiej radości i ciekawości i zawołał gwałtownie: »ha! jesteś więc! gdzie ona? gdzie ona?«

Na zapytanie moje: »kto taki?« zapałał cały gniewem: »Ty drwisz ze mnie. Na twoje słowo przyleciałem co tebu, jak mię o tu widzisz, a teraz pytasz: kto taki? jakbyś nie wiedział, że dla niej przybiegłem. Zabij mnie, jeśli tego potrzeba, abym ją tylko natchmiast zobaczył. Śpiesz się, zabijaj!«

Z tej mowy poznałem, że nieznamy był przy chorych zmysłach.

Wziąłem go za rękę, wpatrzałem się w oczy jego z dobrocią. Ręce pały jak ogień, pulsa biły z podwojoną szybkością, twarz oblana była niezwyčajnym rumieńcem, oczy iskrzyły się, to latały na wszystkie strony, to stawały w miejscu jak kamienne. Przecież mimo to wszystko była w rysach pewna szlachetność, a twarz, okazująca człowieka około

lat czterdziestu, ujmowała jakimś wyrazem dziwnie przyjemnym. Zrazu chciał się wyrwać, ale trzymałem silnie. Czy uczucie mojej przewagi, czy mój wzrok niezmrużony upamiętały go wkrótce. Uspokoił się, a gdy mię obejrzał spokojniejszym przez chwilę wzrokiem, zdumiał się widocznie i zawołał: »To nie on! Podobny, strój taki sam, ale nie on!«

Nie wdając się z chorym i nieprzytomnym w badawcze zapytania, zdawało mi się stósowniej pomódz mu, aby jak najprędzej do łóżka się dostał; zrobiłem więc uwagę, że chłód poranny jest za mocny, a on za lekko ubrany, że to może mu zaszkodzić, i zapytałem gdzie się każe odprowadzić.

»Do Dubna!« zawołał — »do mojej żony. Ale nie trudź się, poczcwy bracie, ona sama tu przybędzie, tylko co niewiadać. Dziwna rzecz, że jej dotąd niema.«

Z tych dopiero słów doszedłem, że biedny chory był to jeden z towarzyszy mojej niedoli, emigrant major Nikorowicz. Znalazł on przytułek w Zakopanem; ale znać go nie mogłem, bo nie wyzierałem za sferę wieśniaków. Wiele jednak bardzo dobrego słyszałem o nim. Mając stopień majora w wojsku rosyjskiem, wielkie zaufanie u naczelników i dowództwo placu w Dubnie, poświęcił to wszystko, kiedy powinność Polaka powołała go w szeregi narodowe, i przeszedł do wojska polskiego. Wszystkie te ofiary nic kosztowały go wcale; ale miał

żonę młodą, piękną jak anioł, z którą musiał się rozstać, i nie mógł dotąd połączyć się: tu była nieuleczona rana jego duszy. Nie zdołał nigdy oswoić się z nieobecnością żony. Zdawało się że ta miłość wzrastała z czasem i zawadami, które leżały pomiędzy nimi. O żonie mówił ciągle, o niej myślał nieustannie, do niej tęsknił coraz więcej. Przedsięwziąwszy pewne środki sprowadzenia jej do siebie, miał on wprawdzie nadzieję, ale ta nadzieja niespełniona dotąd, rozdrażniała tylko niecierpliwym smutek. Oddawna już postrzeżono w nim skłonność do melancholii, i zaczęto lękać się o jego zdrowie. O tém wszystkiém wiedziałem z wieści: nie wiedziałem że już zachorował.

Że to on był, a nie kto inny, miałem wszelkie rękojmie, i nie omyliłem się. Widok ten ścisnął mi serce niewymównym bólem, ale była to dopiero przegrawka do pieśni najboleśniejszych uczuć.

Widząc chorego w usposobieniu łagodniejszym, puściłem ręce, które dotąd trzymałem, przywiodłem go nadto do tego, że usiadł na jednym z głązów nadbrzeżnych. Po krótkim zamyśleniu się, znowu zaczął mówić, niby do siebie:

»Dziwna rzecz!« powiedział wyraźnie, »śmierć twoja u źródła białego Dunajca; znajdziesz ją, zobaczysz żonę. Ani śmierci, ani żony. Kto wie, może już przyjechała?« — Zwracając się potem do mnie: »Może ty wiesz o tém? Powiedz. Ale ty jej nie

znasz. Nie znasz; a jednak widzisz ją tutaj!« — I pokazał na czoło. — »Tu zawsze jej obraz, gdzie tam! obraz, ona żywa tutaj. Mogłabym ją zostawić, żyć bez niej choć chwilkę. Wziąłem ją z sobą. Ona sama nie wie o tém że jest zemną. Wszak mi przyświadcysz? Widzisz ją? Nie widzisz. A! prawda, musiała odejść — do dzieci. Ach! żebyś wiedział co to za matka! A to tak daleko i tak pilnują. Słuchaj, czy nie mógłbyś jej sprowadzić? Wygóra, lud dowcipny. Sprowadź ją choćby czarami. Dam ci co zechcesz. Ja wiem, że to trudno. I daleko i pilnują. Ale będę ją miał na złość im. Wyraźnie dziś mi powiedział: — Śmierć twoja u źródła; znajdziesz ją? to żonę zobaczysz. Przyszedłem: ani śmierci, ani żony. Cóż robić? trzeba czekać. Ależ ja tak dawno czekam! A żyć bez żony-aniola, to tak ciężko! a czekać to tak nudno. Już tyle lat czekam, a jednak to tylko tygodnie. Ani śmierci ani żony.«

Jeszcze jakiś czas prowadził rozmowę podobną, zwracając zawsze jak piosenka do ostatnich wyrazów. Kiedy uciął, zasłonił oczy rękami i płakał; potem zaczął śpiewać, głosem coraz cichszym, coraz smutniejszym, dziwnie rzewny wierszyk, który jak się później dowiedziałem, sam ułożył blakając się w górach.

Czy to skutek wody, którą pił tak cheiwie, czy świeżość chłodnego poranku jak zwykle w górach, gorączka wolniała, policzki białdy, oczy gasły, głos

brzmiał mniej silnie, i całe ciało widocznie słabło. Drżały już pod nim nogi kiedy siadał, siedząc sła-
niał się; skończywszy śpiewanie, chciał powstać,
próbował po kilkakrotnie i nie miał mocy. Nakoniec
zupełnie zbladł, wyciągnął ku mnie rękę, ręka opa-
dła; chciał coś przemówić, język się splątał; oczy
zamknęły się, stoczył się z kamienia na murawę.
Myślałem że skonał; skoczyłem ku niemu, dotkną-
łem serca i puls, serce i puls były, po twarzy
zimny pot lał się strugami; było to tylko zemdlenie.
Porwałem go na ręce, przyniosłem nad brzeg Du-
najca, skropiłem wodą czoło i piersi, użyłem wszy-
stkich sposobów trzeźwienia jakie mi się nawinęły, aż
w końcu przywiodłem go do zmysłów.

Otworzył oczy, ale mgła półśmierci leżała na
nich; oblicze ożyło cokolwiek, ale bladość omdlenia
całkiem prawie została; chciał się podnieść, zaledwo
mógł się ruszyć; w piersiach grało kiedy milczał;
cichy głos był jego kiedy przemówił: zdziwił się
z razu stanem w którym się znajdował i miejscem,
po chwili wszystko sobie przypomniał; pamiętał
każdy niemal wyraz w obłąkaniu powiedziany.

»Dziękuję ci, bracie, dziękuję za twoje stara-
nie,« mówił słabym i przerywanym głosem: —
»Bóg ciebie zesłał, bez ciebie byłbym zginął; mia-
łem szalone zamiary. Ocaliłeś mnie; nigdy tego nie
zapomnę. Ale kto jesteś? zapewne nie z tego miej-
sca; nie pamiętam, że bym cię kiedy widział.«

Nie czulem potrzeby robić przed nim tajemnicy
z mojego stanu, powiedziałem szczerze kto byłem.
To wyznanie wielce go uradowało; ale nie miał siły
zdobyć się na wyrazy odpowiednie uczuciu; podał
mi tylko rękę, ścisnął mię słabo, i prosił przede-
wszystkiem aby mu pomódz zmienić miejsce, gdzieby
mógł wygodniej odpocząć, zaczęm nabierze siły po-
trzebnej do powrotu. Nogi jednak nie służyły.
Wziąłem go znowu na ręce jak dziecię, przyniosłem
na suchsze miejsce, rozesałem góralską moją guńkę
i położyłem go na niej.

Gorączka odchodziła widocznie, ale osłabienie
powiększało się, a z niem cierpienia. Wtedy do-
piéro miałem widok dziwny, cudowny. Dusza wró-
cona do zwyczajnego stanu odzyskała uczucie wszy-
stkich cierpień, i zarazem całą męską energią.
Osłabienie, boleści mocniejsze od sił żywotnych,
rozlały się po obliczu, ale nie mogły złamać wyrazu
pewnej spokojności, pewnego poświęcenia się, w któ-
rém cała dusza na jaw występowała. Twarz ta
wyglądała jak chmurka ozłocona blaskiem słońca;
zdawała się w tej bladości śmiertelnej, w tej mgłę
najgłębszego smutku, promień wewnętrzny
uśmiechem; widziałem świętą twarz męczennika.
Wkrótce przejrzałem podobną duszę. Samo odkry-
cie mojego stanu, już nas połączyło wszystkiemi
uczuciami i węzłami towarzysza broni, spółtulacza,
Polaka, brata. Chory odpłacając szczeróść szczeró-

ścią, zrobił wzajemnie spowiedź własnego życia, otworzył całe serce, wyśpiewał całą pieśń swojego nieszczęścia; a kiedy mówił o żonie, o dzieciach, widać że dotknął najboleśniejszej struny. Konwulsyjna zmiana przebiegła jego oblicze, Łzy potoczyły się w nadzwyczajnej obfitości, ale spokój przemógł. Widziałeś Łzy z głębin duszy płynące, a jednak obok nich widziałeś moc męża silniejszą od boleści, która takie Łzy wyciska. Nie wytrzymałem tego widoku, zapłakałem mimowolnie.

Nie znam nic bardziej wzruszającego jak Łzy w oczach mężczyzny, ale mężczyzny z duszą mocną. Miałem ojca, który był jednym z tych ludzi silnej woli, nieugiętego charakteru, żelaznej duszy. Rzadko widziałeś uśmiech na jego twarzy, a smutku nigdy. Pamiętam, raz, było to w dzieciennych moich latach, doniesiono mu o śmierci brata, którego bardzo kochał. Przeczytawszy list okropny, załamał tylko ręce, ścisnął potem niemi głowę, i kilka łez po kamienną twarz spłynęło. Wstał, zamknął się w swoim pokoju, rzucił się na łóżko, obwinął głowę w poduszkę, i w tej postawie dwie lub trzy godziny przesiedział; tylko kiedy niekiedy słyszeliśmy jakby głuchy ryk. Malém dziecięcim byłem wtedy: od owego czasu widziałem wiele ócz we łzach, ale ani rzewny płacz dziecka, ani łkanie kobiety nie robi na mnie takiego wrażenia jak jedna, cicha łza mężczyzny, przypominająca mi boleść mojego ojca. I dziś

placę kiedy to piszę. Przyjmij, zacny ojcze, te Łzy jako jedyną cześć pogrobową, na którą dzisiaj zdobyć się mogę; kto wie, czy będę miał kiedy smutną rokosz złożyć je na twojej mogile!

Wzruszenie moje było bardzo widoczne, nie uszło uwagi chorego. Spojrzał na mnie z podziękowaniem, i wnet zmienił ton rozmowy. Zaczął mówić o Polsce, o swojej wierze w prędkie przesilenie obecnych jej nieszczęść, o rychłej zmianie naszego tułaczego położenia, o radości za powrotem do kraju, do domów, do rodzin; a obwodem tego kółka, przyszedł znowu do własnych nadziei, do swojej żony, do pewności, że ją wkrótce ujrzy.

„Bo ta moja słabość“ — mówił — „nie ma nic strasznego. Dzisiaj czuję się znacznie lepiej. Tej nocy wprawdzie byłem bardzo słaby, nie miałem jeszcze nigdy tak gwałtownego przystępu maligny; widać że się gorączka przesilała, bo teraz nic jej nie czuję, zostało tylko osłabienie, ale spodziewam się, że za dni kilka zupełnie do siebie przyjdę.“

„Jednakże dziwna to słabość,“ mówił dalej po krótkim przestanku; „dziwna ze swojemi widzeniami; gdyż wszystko prawie pamiętam o czém podczas gorączki marzę, a niektóre przywidzenia zostawiają po sobie szczególniejsze wrażenie. Jedno z takich widzeń miałem właśnie dzisiejszej nocy. Służący, który mię dogląda, myśląc zapewne, że usnąłem, wyszedł, zamknąwszy drzwi dobrze. Słysza-

lem to wszystko, bo tylko marzyłem snem gorączki. Wkrótce zdało mi się, że ktoś wchodzi, otworzyłem oczy i postrzegłem w istocie kogoś idącego ku mnie. Zdawało się, że nie było w nim nic nadzwyczajnego; z ubioru i całej postawy wyglądał jak zwykły góral; mimo to uczulem niepojętą jakąś trwogę, coś podobnego do ówjej trwogi dziecka, które ma odebrać karę z rąk groźnych, a jednak najmilszych, trwogę całkiem dziecinną przed chłostą ojca. Prawda i to, że gość mój miał wyraz nieugiętej surowości, z resztą niewypowiedzianie piękny, odbłaskiem pewnej wewnętrznej potęgi. Zbliżywszy się do łóżka, powitał mnie naprzód słowami: »Niech będzie pochwalony!« — A gdy nie na to nie odpowiedziałem, wziął mnie za rękę i rzekł: — »Mój synu, tobie źle.« — Te wyrazy tchnęły najczulszą dobrocią, ośmieliły mnie, przeto odpowiedziałem: »Ale może być dobrze.«

»Czegoż ci potrzeba?«

»Mojój żony, moich dzieci.«

Góral obracał głową jakby nierad z mojej odpowiedzi.

»W tém jednym przyczyna twojój słabości, i w wszystkich twoich cierpień. Źle robisz, że się poddajesz takim smutkom. Polakowi one dzisiaj nie przystoją: to grzech; tobie jednak przebaczone, bo wiele cierpiełaś. Dla tego wkrótce zobaczysz twoją żonę.«

Chciałem się zerwać, aby go uściskać przez wdzięczność. Przytrzymał mię:

»Wszak znasz źródło białego Dunajca?«

»Jakże miałbym go nie znać? W istocie najulubieńsze to dla mnie miejsce. W moich czarnych godzinach tam najbardziej lubię przesiadywać, nigdzie nie myślę tak jasno, tak swobodnie o drogich mi istotach, jak tutaj, w tém ustroniu przy tym szumie. Tu najbezpieczniejszy byłem przed ludźmi, a przyroda najzgodniej wtórowała moim marzeniom.«

»Biegnijże«, mówił góral, »do źródła, tam twoja śmierć; jak ją znajdziesz, to żonę zobaczysz. Już tam czekają na ciebie.«

»Kiedy w téj chwili rozbieram z zinném zastanowieniem te wyrazy, nie znajduję w nich ładu; ale w pomieszaniu gorączki pochwyciłem je jak wyrocznię.«

»Czy to być może?« zawołałem.

»Być musi« odpowiedział.

»Któż wy jesteście, nieoceniony człowieku, że tak dobrze ludziom robicie?«

»Nazywają mnie Straszny Strzelcem« — i odchodził.

»Zobaczę was jeszcze kiedy?«

»Na swoim pogrzebie.«

Na to opowiadanie chorego nie mogłem się powstrzymać od podziwiania, przerwałem i zapytałem jak wyglądał? Chory opisał mi go takim zupeł-

nie jakiego ja widziałem. Podziwienie moje było tem większe i widoczniejsze; chory zapewne je przestrzegł i przypisał innym przyczynom.

»O! zwyczajnie,« rzekł, »gorączkowe mary. Tysiące podobnych przesunęło się w mojej słabości. Ale inaczej myślałem w owej chwili, po wyjściu widziadła.«

»Wkrótce dała mi się słyszeć muzyka od strony źródła; smutna i wabiąca niezwykłym sposobem. Wskoczyłem z łóżka jak leżałem, i pobiegłem do źródła. Pamiętam rozpacz moją nie znalazłszy obiecanej żony. Kto wie na czémby się skończyło, gdyby nie twoja obecność kochany bracie. Możliwym i znalazł był śmierć w Dunajcu. Dzięki Bogu przeszło wszystko jak mara.«

Kończył właśnie te słowa, kiedy ujrzałem dwóch ludzi, śpiesznie idących od strony hamernii. Ujrzawszy nas, podwoili kroku. Kiedy nadeszli z uśmiechem powitał ich chory; byli to domownicy gospodarza, w którego domu Nikorowicz przesiadywał. Nie znalazłszy go w łóżku, zgadli od razu gdzie go szukać. Chory chciał iść, ale sił mu nie starczyło na tyle; trzeba go było wieść aż do mieszkania. Pomogłem służącym. W domu jeszcze spano. Złożyliśmy chorego w łóżku. Poczém go pożegnałem z obietnicą i postanowieniem jak najprędzszego zobaczenia się.

V.

Słowo pogrzebowe.

Prace moje że tak powiem apostołskie, jakkolwiek nieudolne, że jednak prowadziłem je według pewnego planu, a przez to zależałem już od nich, nie pozwoliły mi bawić dłużej w Zakopanem, i tego dnia jeszcze zaprowadziły mnie o mil kilka, w okolicę z drugiej strony Nowego-Targu leżącą. Przez to oddalenie, przez pilne zajęcie się innym przedmiotem, nie miałem ani czasu ani sposobności wywiadywać się o stanie chorego. Ochłonąłem również z wrażeń, jakie na duszę moją wywarła tajemniczość Straszego Strzelca. Nie wiele brakło, abym całe to zdarzenie za sen uważał, i sam śmiał się z mojej przesądnej łatwowierności. Wszakże nie mogłem jeszcze podnieść się aż do tej wysokości zimnego rozsądku, i mówiąc prawdę, nie bardzo usiłowałem. Nadto pamiętałem dobrze sen przy źródle i czekałem z niecierpliwością jeszcze jednej próby, owego trzeciego dnia w Poroninie.

Właśnie w porę żadaną ułatwiłem się z mojami sprawami, i wracałem nazad w okolice Morskiego Oka. W Nowym-Targu zaszło mi słońce; przyspieszyłem kroku, bo się zanosilo na burzę; a nie życzyłem sobie spotkać jej w miejscu obcym. Zaczęło zmierzchać kiedym wchodził do Poronina. Burza coraz bliżej i widoczniej zagrażała. Wszystkie szczyty Tatrów okryły się chmurami; widać już było dalekie błyskawice, i głuchy odgłos grzmotów dochodzić poczynął. Na raz, w chwili cichszego powietrza, usłyszałem śpiewanie pogrzebowe; rzuciłem okiem w stronę smętarza i postrzegłem na nim światła, chorągwie, jedném słowem pogrzeb. Jakby mię tknęło coś w serce, zapomniałem o burzy, o pośpiechu, udałem się co prędzej na smętarz. Zapóźno przybywałem. Ledwie zachwyciłem końca ostatniego Requiem. Orszak pogrzebny wracający skwapliwie, zapewne w obawie nadchodzącej burzy, spotkał mię przy wejściu do smętarza. Zapytałem o zmarłego. Niestety! natchnienie przecucia nie omyliło; to on, Nikorowicz, spoczął dziś w grobie. Człowiek, na którego trafiłem, znał go, wiedział wszystkie szczegóły jego słabości i śmierci, opowiedział mi w krótkości wszystko. Od niego dowiedziałem się, że Nikorowicz przestał żyć nazajutrz po naszym widzeniu się. Zdaje się, że główną przyczyną jego śmierci, a przynajmniej śmierci rychlejszej, było oziębienie się wodą Dunajcowa. Stan

przytomności w którym go zostawiłem, trwał bardzo krótko. W kilka godzin szła gorączkowy objawił się gwałtowniej niż kiedykolwiek, i równocześnie prawie gangrena we wnętrzościach, tak silna, że w kilkanaście godzin spaliła całe ciało. Umarł z rana bez przytomności i mowy, które utracił na godzin kilka przed śmiercią. Dopóki był w stanie mówić, wzywał ciągle swojej żony, czasem jakby ją widział i rozmawiał z nią. Jeżeli nie o żonie, to o Polsce marzył; kilka razy wspominał z rodzajem przestachu Straszego Strzelca, nawet i mnie miał w pamięci jak to z opowiadania łatwo domyślić się mogłem.

Pocziwy opowiadacz mówił mi to wszystko ze łzami w oczach. Powszechny miał być płacz przy jego śmierci, bo posiadał wszystkie przymioty ujmowania sobie ludzi z którymi żyć mu przychodziło. A ktokolwiek zaznał go choć najmniej, przywiązywał się do niego trwałém wspomnieniem. Liczny też był orszak pogrzebowy i cały żałobą dusz okryty. Widziałem to na wszystkich prawie twarzach.

Smutne to zdarzenie napelniło mnie niewymownym bólem. Był mi on jakby nieznanym, ale miał tyle praw do ostatniej cześci z mojej strony, jako pocziwy człowiek, jako Polak, spółtowarzysz, spółwygnaniec, spółofiara. Pobiegłem na grób jego; kilku znajomych mi górali przyłączyło się do mnie. Ledwie do połowy był zasypany, wypełniał się po-

woli. Patrzałem smutnie jak za oddalającym się w coraz głębszą wieczność; a myśli były jeszcze smutniejsze, łzawsze niż oczy.

Tak więc skończyłeś, kochany towarzyszu, wszystkie twoje przedsięwzięcia, nadzieje, roskosze w marzeniach, cierpienia w rzeczywistości, w oddaleniu od stron rodzinnych, w tęsknotach, w boleściach, między obcymi. Obca ręka zamknęła ci oczy, obca ręka rzuciła ostatnią grudkę ziemi na twoją mogiłę. Zimna litość, urzędowa miłość bliźniego otaczały łożę twego skonania, zamknęły wieko twój trumny, pożegnały cię w imieniu tego świata, gdzie miałeś istoty tak drogie tobie, którym ty tak drogi byłeś. Twój anioł ziemski, gdzieś daleko; może w tej chwili marzy o twojem, o swojem, o spólnem szczęściu, wypieszcza pocałowania którym ma cię powitać, ani wie że ta chwila leci ku niej z największą rozpaczą, jaką w kobietę uderzyć może. Twoja żona marzy o mężu, dzieci o ojcu, a żona wdowa, a dzieci sieroty. Dowiedzą się o swojem nieszczęściu, kiedy już najmniejsza pomoc w pomoc przyjść nie może, kiedy nie będą mogły złożyć ostatniego pocałowania choćby na martwem ciele, kiedy nawet na grobie twoim ukłęknać nie będą mogli. Zginąłeś dla nich bez śladu. Szczęśliwy jednak, że przynajmniej we własnej ojczyźnie spocząłeś. Ale ja, ale mnie podobni, kto wie czy posiadziemy to szczęście? kto wie jakie

wiatry będą igrały z naszemi resztkami? O módl się, módl się za nami abyśmy w Polsce pomarli!

Przerwał mi te smutne dumania ruch i szmer na smętarzu.

Jakiś orszak zbliżał się ku grobowi, nierozpoznany z początku, bo już dobrze zmierzchać zaczęło. Kiedy się nowi przychodnie zbliżyli, a dotego kilkakrotny błysk nieba oświecił smętarz, dostrzegłem kilkudziesięciu górali, a na ich czele zgadnijcie kogo? — oto Straszego Strzelca.

Na widok jego zadrzałem mimowolnie. W tejże chwili przyszło mi na myśl objawienie się jego Nikorowiczowi, i obietnica widzenia się z nim na grobie. Ta myśl, uroczystość miejsca, ciemność nocy, polski burzy, obwiały dziwnym, nadzwyczajnym tonem całe to zdarzenie, do nadzwyczajnego stroju podniosły moją duszę. Oniemiałem na chwilę.

Strzelec zbliżył się, stanął nad grobem, uchylił kapelusza i wyrzekł uroczystym głosem: „Pokój temu domowi!“ a w całym powietrzu jakby na jego rozkaz najgłębsza nastąpiła cisza. Przez chwilę patrzył po zgromadzeniu: korzystałem z tej chwili, ośmieliłem się dłużej nieco zatrzymać wzrok na nim. Znalazłem go takim samym jak podczas owego muzycznego wieczora; tylko w wyrazie oblicza dostrzegłem więcej nadziemskiego piętna, nadziemskiej wzniosłości, bo nic prawdziwszego że mimo ciemności i przerywanego światła błyskawic, twarz

jego zdawała się mocniej jaśnieć niż innych przytomnych. Postawa także wydała mi się ogromniejszą jak wprzód; a w nieruchomości pełnej życia i wdzięku można ją było wziąć za najdoskonalszy wzór potęgi wywodzącej życie z grobu, uosobionej w nagrobnym posągu. Otworzył usta do mówienia, a silna burza z błyskawicami znowu grać zaczęła, tak silnie, tak blisko, jak żeby w piersiach się jego poczyniała.

»Dzieci moje,« zawołał, — »tu, do grobu wszyscy! i słuchajcie. Nie człowieczy głos mówi do was, ale głos Boga; ja go tylko tłumaczę na wasz język. Słuchajcie! Sprowadziłem was tutaj, aby wam dać wielką naukę. Widzicie ten grób drobny, lichy? A on jednak większy, potężniejszy jak te góry: leży w nim wasz męczennik, wasz święty, wybraniec waszego ludu. Widzicie do koła te czarne chmury po dolinach i po górach? to ziemia polska w żałobie po umarłym. Słyszycie te głuche grzmoty? powietrze polskie modli się za nim. Całe niebo błyska! to niebo sprawia pogrzeb ciała, a otwiera się dla duszy. On już błogosławiony. Powiem wam dla czego. Urodził się on Polakiem, los poddał go w służbę obcego. — Miał on dostatek, pojął za żonę piękną kobietę, doczekał się dzieci, był tak szczęśliwy jak wy którzy macie dostatek i rodzinę; w tym szczęściu mógł całe życie przebyć, gdyby chciał był dla swojego tylko żyć dobra, i zostać wiernym nie-

przyjacielowi swojej oczyzny; ale on pamiętał na to że pierwój był Polakiem jak sługą obcych, jak mężem i ojcem. Otóż przysła wojna o której niedawno słyszeliście tylko, a nie chcieliście jej zobaczyć, jakbyście i wy byli obcymi. Naród polski co na dolinach, wziął za broń, i wezwał wszystkich braci do wolności; wtedy i on zapomniał o swoim dostatku, o żonie, o dzieciach, porzucił wszystko, poświęcił wszystko, a poszedł bić się za Polskę; bo nasz pierwszy dobrodziej, to nasza ojcowizna; dla niej nie chciał przyjąć przebaczenia dobrodziejów nieproszonych, i dla niej umarł, jak wygnaniec, pomiędzy obcymi ludźmi, z daleka od swojej rodziny. Nie czas mu było jeszcze umierać, zgubił go grzech jego własny. Ukochał jedną kobietę tyle prawie co Polskę, cierpiał dla niej tak samo prawie jak dla Polski; ta miłość przyspieszyła mu koniec: z czystą miłością Polski byłby żył dłużej dla żony, byłby lepiej umarł — w bitwie. Był to jedyny grzech jego, i ten go zgubił. Pamiętajcie dzieci na to co mówię. Strzeżcie się jego grzechu, naśladujcie w poświęceniu. Uwważajcie dobrze co mówię; bo mówię według waszego Boga. Nie przestaliście być Polakami. Waszym bratem najpierwszym Polak; kochajcie wszystkich, ale nadewszystko Polskę. — Tak chce Bóg który was stworzył na ziemi polskiej, z ojców Polaków i dał wam myśli i języki polskie. Zapomnieliście o tém, poszliście przeciw woli Boga i Bóg was

ukarał. Dalej będzie wam gorzej. Nazwą was niemową; wasz język zapłacze się i zacznie, Bóg wie, po jakiemu gadać; wasze wsie, wasze góry, wasze wody, wasi ojcowie co w grobach, nie pojmą was wkrótce; a jak staniecie na straszny sądzie i Bóg zapyta was po polsku jak Polaków: coście zrobili z waszą ojczyzną? a wy nie zrozumiecie go nawet, czy wiecie co was wtedy czeka?»

Zatrzymał się i w téjże chwili uderzyło kilka piorunów, jeden po drugim, tak blisko, że widoczny dreszcz obleciał wszystkich.

»Przeklęstwo i kara zdrajców! Sam Bóg powiada wam o tém. Na kolana dzieci,« zawołał głosem jeszcze bardziej grzmiącym. »Dusza umarłego wychodzi z grobu, rozplywa się po waszych duszach. Pamiętajcie, że każdy z was już ma ją w sobie. Będzie ona wam świadczyć przed Bogiem na zbawienie albo potępienie wasze. Bądźcież Polakami, kochajcie Polskę. Bo powiadam wam, że jej dusza jest zawsze pomiędzy wami, i nie porzuci was do sądnego dnia, a na sądnym dniu ona was przed Boga poprowadzi. Wy sami nawet słyszycie ją nieraz, widzicie, czujecie; ona was broni mimo waszej wiedzy, ona także i karze was czasem. A możecie ją poznać po wielkiej władzy nad wszystkimi siłami ziemi i nieba polskiego. Powiada chmurom: przyświadczcie moim słowom! i oto chmury świadczą.«

Mówca umilkł, a głuchy war grzmotów prze-

biegł niebo od końca do końca i zakończył piorunem, od którego wstrzęsła się cała okolica.

»Powie niebu: oblój Izami nowy grób wygnańca polskiego! i niebo płacze.«

Mówca umilkł, a rześny deszcz szeroko się zamglil.

»Zechce znowu, ażeby pogoda błogosławiła koniec pogrzebu, a wnet widzicie niebo wypogdzone.«

Zaledwie tych słów domawiał, chmury poczęły przeciwnymi wiatrami rozlatywać się na wszystkie strony, deszcz ustał, wprost nad samym grobem błysnęła jedna gwiazdka, a od niej coraz, coraz szerszej niebo się odsłaniało, tak że wkrótce zgarnięte obłoki wisiały tylko po krawędziach horyzontu.

Mówca dalej ciągnął: »poznacie ją lepiej, kiedy tak ukochacie waszą Matkę, że nie będzie między wami nieprzyjaciół, tylko wszyscy bracia, jedna rodzina. Niech wam Bóg pomaga i błogosławi! Zobaczymy się kiedyś przy innej burzy.«

To wymówiwszy Straszny Strzelec, wyszedł z koła, i po kilku zrobionych krokach zginął wszystkim z oczu, jakby zniknął.

Łatwo sobie wyobrazić stan pozostałych przy grobie. Jedni modlili się, drudzy spojerali na siebie w niemém zdumieniu, inni przebąkiwali: to anioł boski! to czarownik! to cud!

Co się mnie tyczy, zagadka moich domysłów

rozwiązała się jasno: widziałem objawienie duszy polskiego ludu. Przynajmniej tak mi się chce wierzyć. Błogo mi, pomyślałem sobie, że doczekał takiego widzenia, ale błogosławię ten, kto sły-
szy na swoim grobie takiego mówcę.

Na tém się skończył rękopis muzyka. Jeszcze raz powtarzam, że się nie podejmuję dowodzić rzeczywistości opowiedzianych wypadków. Komu ta cudowność będzie przeciwna, niech ją uważa za ramy poetyczne rozsądniejszych myśli. Ja przyjmuję wszystko, w dobrej wierze, za jeden obraz nadzwyczajny może, ale nie zupełnie nadprzyrodzony.

Pisano w Grudniu 1841.

KRÓL

ZAMCZYSKA.

POWIEŚĆ.

I.

Machnicki waryat.

Poezya jest wszędzie, w każdej chwili, jak bóstwo, nikomu nie wzbronna, jak zbawienie, jak uczciwa sława. Nawet nasz wiek tak osławiony, tak okrzyczany prozaicznym, nawet nasze pokolenie, odsądzone od czci i wiary przez idealistów, mają swoją poezją. Nie jest ona wprawdzie ani rajska, ani homeryczną, ani romantyczną, ale jest tak dobrą jak wszystkie starsze jej siostry, jest poezją swojego czasu. Nie potrzeba jej daleko szukać, nie potrzeba jej uganiać po za obrębem dzisiejszej ludzkości, nie potrzeba jej sobie wymyślać: jest ona pomiędzy nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych.

O! ileż to razy zdarzyło mi się słyszeć, widzieć, być nawet uczestnikiem takich spraw, że największy poetyczny geniusz nichy poetyczniejszego wymyślić nie potrafił, że obok nich wszystkie utwory wyobraźni były poronionym płodem, obudzały niesmak w czytaniu. Dla tego przenosiłem zawsze towarzy-

stwo ludzi nad towarzystwo książek, przyrodę nad bibliotekę. Chwile przeżyte pod wpływem takiej poezji, stanowią najdroższy zapas najmilszych w moim życiu wspomnień: mam je z każdej epoki moich dziejów, a epoką najobfitszą może w taką poetyczność jest ostatni mój pobyt w krainie podkarpackiej: do niej należy zdarzenie, które tu chcę opowiedzieć.

Badanie mojego kraju pod każdym względem jest wrodzoną mi namiętnością, a widok okolic szczerólniejszy ma dla mnie urok, mocniejszy niemal niż znajomości z ludźmi. Pod takim bodźcem przebiegając wdluz i wszérz Galicyą, znalazłem się w obwodzie jasielskim, w okolicy Krosna, nad brzegami Wisłoka. Nie każdemu zapewne z moich braci wiadomo, że Podgórze galicyjskie ukrywa miejsca najpiękniejsze w Polsce; trochę więcej oświaty, trochę więcej dobrego bytu między mieszkańcami, korzystniejsze cokolwiek położenie względem innych krain, a miałyby niepoślednią w Europie głośność. Obwód jasielski, a mianowicie brzegi Wisłoka od jego źródła aż do Pilzna, odznaczają się już fizyonomią tej krainy. Najwydatniejszym jednak rysem okolic Krosna, najmocniej pociągającym ku sobie moje oczy i serce, były zwaliska zamku Odrzykońskiego.

Wszelkie ruiny tego rodzaju są dla mnie jakby grobem rodzinnym, widmem przeszłości, hieroglificznym kluczem od wiekowych dziejów, światem

niewyczerpanych wspomnień, marzeń, smutków i pociech rzewnych. Ile razy spojrzę na coś podobnego, tylekroć zdaje mi się słyszeć głos wewnętrzny: i tu pogrzebiony członek twojej przeszłości! a wnet religijne uczucia napelniają duszę, myśl podnosi się, budzi wolę, kieruje krok pielgrzymi, i jestem wśród gruzów.

Kilka dni już upłynęło od przybycia mojego w okolice Odrzykonja, a nie mogłem zwiedzić zamczyska. Odległość, czas dżdżysty i inne przeszkody oddalały odemnie rososz tej pielgrzymki. A tymczasem widmo zwaliska po całych mię dniach przesładowało. Panując wzniosłem położeniem nad okolicą, zdawało się z każdej strony zachodzić mi w oczy. Niebyło zmiany cienia i światła, w którym bym go nie widział; nie było fantastycznej postaci, którejby nie wywołało z mojej wyobraźni. Podniosła li się za nim nawałna chmura, to na jej tle czarnem poziwającém błyskawicami, widziałem olbrzyma mojej przeszłości, złamanego, zgruchotanego, zwalonego, miotanego śmiertelnemi bólami, ale dawna wielkość groziła z jego czoła: oddychał ogniem, wypuszczał grzmotami słowa błogosławieństw, strzałami piorunów przypominał się światu, że żyje. Czasami zamglila go siatka dęszczu; wówczas tajemnicza jego postać, obwiana tą zasłoną, stała przedemną, jak anioł wiary i nadziei. Inną razą błyszczący całym przepychem dnia wschodzącego, był dla mnie

uosobnieniem przyszłości, zmartwychwstaniem nowęj postaci, w promieniach nowego ducha; a i wtedy nawet, kiedy w przerwach słoty uśmiechał się ponurym blaskiem zachodu, i wtedy nawet obudzał tysiąc myśli nie całkiem ponurych. Jednym słowem, wszystko co doznawałem w owęj chęci i niemożności obeerzenia zwalisk, porównać tylko można z czuciami miłości w duszy dziewiczej, z jej marzeniami.

Tymczasem zbierałem troskliwie rozliczne wieści dotyczące się jego dziejów. Źródło ich nie było obfite. Mógłem czerpać jedynie z towarzystwa, w którym żyłem; a wiadomo nam, jak mało terazniejsza szlachta przywiązuje wagi do podobnych rzeczy. Obok ich gumien, obok ich gorzelni, czémże są te wszystkie choćby najpyszniejsze zwaliska? Wiadomość jarmarków w pobliskim miasteczku, zabawa sąsiedzka, szczegóły jakiegoś wesela lub pogrzebu, tyle zatrudniają ich pamięć i myśli, że niema w nich miejsca dla podań jakiegś tam ruiny. Nie mógłem przeto dowiedzieć się nic więcej, tylko, że zamek Odrzykoński zbudowany był przez Firlejów, że w jego okolicy musiały się odbywać krwawe bitwy, bo dziś jeszcze wyorują zbroje i kule, że przed kilkudziesiąt laty był zamieszkały, i przechowywał w swoich piwnicach odwieczne wino, że późnziej ludzie przybyli w pomoc losom, niepogodom i czasowi, i w zawody go niszczyli, że natomiast powstały z jego gruzów klasztor kapucyński w Kro-

śnie, kilka kamienie w Korczynie, kilka gorzelni, stajnia dla cesarskich ogierów, i tym podobnie: że dziś nakoniec razem ze wsią tego nazwiska jest własnością hrabiego Jabłonowskiego.

»Więc dzisiaj zupełnie zniszczony,« mówiłem do gospodyni domu, która mi najwięcej powyższych szczegółów dostarczyła.

»Prawie zupełnie,« odpowiedziała, »od czasu jak się zapadły dwa pokoje, które jeszcze przed laty kilka były zamieszkane.«

»Zamieszkane? Przez kogo?«

»Przez Machnickiego.«

»Któż to był ten Machnicki?«

»On jest jeszcze. Zapomniałam poznać z nim pana. Najważniejszy to dzisiaj szczegół Odrzykońskich zwalisk. Machnicki jest, mówiąc krótko, waryat. — O przyczynach jego obłąkania rozmaicie powiadają. Najpodobniejsza do prawdy powieść, że będąc urzędnikiem cesarskim, oddał się zbyt nie pracy swojego urzędu i tym sposobem stracił jedną klepkę. Po tym przypadku naturalnie został bez domu; a że miał zawsze szczególny pociąg do zamczyska, tam więc zamieszkał dwa pozostałe pokoje, i był ich mieszkańcem, dopóki nie runęły. Nadto, potrzeba panu wiedzieć, że się nazywa Królem Odrzykońskim i uważa się za samowładnego pana owych ruin, a ztąd mamy nieraz pełno scen pociesznych.«

Ciekawość względem podobnych ludzi jest łatwa do wytłumaczenia; nie dziw przeto, że mię zajęła powieść o Machnickim, i chciałem powziąć jak najdokładniejsze jego wyobrazenie.

»Pani go zna?« zapytałem.

»O mój Boże!« odpowiedziała z uśmiechem, »jak zły szeląg. Bywa u nas częściej niż gdziekolwiek, bo trzeba panu wiedzieć, że to nie jest waryat z rodzaju pospolitych: ma on wiele wrodzonych zdolności i nauki co i dziś jeszcze widać. Są chwile, że wziąłbyś go pan za człowieka z najzdrowszym rozsądkiem. Zdarzyło się to niedawno jednemu z podróżujących cudzoziemców: Machnicki mieszkał jeszcze w swojej królewskiej rezydencji. Ów cudzoziemiec zwiedzając zamczysko, spotkał się z nim, wszedł w rozmowę, bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki mówi bardzo dobrze kilką językami, i znalazł go tak dobrze, że wrócił do nas oczarowany tą znajomością.«

»Któż? Machnicki?«

»Ale, gdzie tam. Cudzoziemiec podróżny. Zaczął nam tedy opowiadać, że nie spodziewał się znaleźć w tym wieku i w Polsce pustelnika tak rozumnego. Nie mało zadziwił się, kiedyśmy odkryli, kto to był w samej rzeczy ów jego uczony pustelnik. Mimo to jednak pewna jestem, że odjechał, nie zupełnie nam wierząc.«

»Z tego wszystkiego co od pani słyszę, jestem

bardzo ciekawy poznać Machnickiego. Szkoda że opuścił zwaliska, miałbym powód jeden więcej do ich zwiedzenia.«

»Nic łatwiejszego, jak go poznać, nawet w zamczysku, bo choć tam więcej nie mieszka, to prawie ciągle wałęsa się po nim: codziennie go pan spotkasz. Ale byłby to trud niepotrzebny. Zobaczysz go pan w naszym domu. Pojutrze imieniny mojego męża: Machnicki tego dnia nigdy nie opuści; zaszczyca nas co rok swoim powinszowaniem; bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki jest także poeta, a wiersze jego wcale nie złe. Często obdarza niemi sąsiedztwo z powodu rozmaitych okoliczności. Najdziwniejsza rzecz w takim waryacie, że ma bardzo wiele dowcipu, ale dowcipu tak złośliwego, że nieraz można myśleć, czy nie udaje głupiego, aby mógł tém bezpieczniejsz kasać. Niektórzy szczerze gniewają się za jego przycinki, my co go lepiej znamy, serdecznie się śmiejemy, bo czyż można gniewać się na biednego waryata? a że takim jest, sam pan przyznasz, jak go tylko ujrzysz.«

II.

Imieniny.

Ze szczera niecierpliwością wyglądałem owego dnia imienin, który miał mi nastęczyć sposobność poznania Króla Zamczyska; z powiększoną kiedy wrzście nadszedł. Towarzystwo było liczne i przyjemne, ale ja o Machnickim tylko myślałem. Miało się już ku zachodowi słońca, a jego jeszcze nie było. Zabierano się właśnie do obiadu, kiedy oznajmiono przybycie gościa, oczekiwanego prawie przez wszystkich, ale przez wszystkich z innego jak mój powodu. Byliśmy naówczas w jadalnej sali. Otwierają się drzwi.

A! Pan Machnicki! Pan Machnicki! zawołano zewsząd.

On to był w istocie. Wszedł ze śmiałą pewnością siebie, którą daje, albo ciągle życie wśród świata ukształconego, albo uczucie wewnętrznej wyższości nad resztą towarzystwa. W nowoprzybyłym przedzie to drugie dało się dopatrzeć: w ułożeniu jego prze-

bijało się cokolwiek dumy, jednak połączonej z pewną uprzejmą godnością, która waruje od ubliżenia innym. Po kilku krokach powitał stósownym ukłonem licznych do koła gości; a w téjże chwili podszedł ku niemu gospodarz domu, podał mu rękę, ścisnęli się wzajemnie.

»Wszak to dzień imienin szanownego pana?« pierwszy zaczął Machnicki.

»Tak jest,« odpowiedział gospodarz, »a dla mnie i ztąd miły, że mogę powitać w moim domu, tak nam drogiego, a przecie tak rzadkiego gościa.«

»A dla mnie,« rzekł Machnicki z zimnym, lekko szyderczym uśmiechem, »ztąd jeszcze miłszy, że mogę mu złożyć moje życzenia. Na ten raz jedno tylko wynurzę, abyś nigdy nie wyszedł źle na swoich żądaniach, i zawsze więcej żądał dla drugich, jak dla siebie. Reszta na potem, bo zdaje mi się, że obiad czeka gości, a goście obiadu jeszcze bardziej.«

Obecni temu, wszyscy prawie znali Machnickiego osobiście, oswojeni byli z tonem jego mów, we wszystkiem znajdowali pobudkę do uciechy, powyższe więc słowa tylko ich rozśmieszyły, jak zwyczajne głupstwo; może to było i konieczne w tych, którzy oddawna znali go waryatem i ostrzelali się z jego przycinkami, ale na mnie ta krótka scena zrobiła przeciwne całkiem wrażenie. Żaden ruch, żaden wyraz Machnickiego nie uszedł mojej uwagi, od czasu jak wstąpił do sali; i w niczem nie dostrze-

głem owego okrzykanego obłąkania. Przeciwnie wszystko wprowadzało mię na uroczyste zastanowienie się nad nim, i podnosiło do wyższego stopnia ciekawość. Przypadek wygodził po części moim chęciom: zasiedliśmy do stołu prawie tuż naprzeciw siebie. Ale długo nie mogłem z tego korzystać. Według zwyczaju mając wedle siebie sąsiadkę, miałem zarazem obowiązek służenia jej i bawienia. Nie wiem jak dopełniałem tej powinności, ale to pewna, że byłem głównie zajęty Machnickim, tak, że wkrótce, przy całym rozlargnieniu, mogłem sobie narysować zewnętrzny przynajmniej obraz jego fizyognomii.

Potrzeba sobie wyobrazić człowieka wzrostu więcej trochę niż miernego, postawy prostej, budowy silnej, bark szeroki, z doskonałą harmonią we wzajemnym do siebie stosunku wszystkich członków, jednem słowem człowieka dobrze i pięknie zbudowanego, któremu jednak zbywa na cokolwiek stósownej tuszy; przy takiej budowie wyobraźmy sobie ruchy swobodne, naturalne, zgrabne, często żywe, a zawsze miarkowane pewną godnością, pewną powagą mimowiestną, niewymuszoną, napiętowaną charakterem dawno ustalonym. Miał około lat pięciudziesiąt. Pokazywały to i włosy w połowie siwe, i cała powierzchowność twarzy. Mimo to odgadywałeś, że ta twarz była kiedyś ładna: chudość nie zepsuła jej owalu, nie zaostrzyła zbytecznie ry-

sów, a wydatniejszym zrobiła nos pociągły, z lekkiem wypukłością średniej chrząstki i końcowego zaokrąglenia. Nie była to jednak fizyognomia ludzi pospolitego rozumu i charakteru. Wpatrzywszy się w nią lepiej okiem znawcy, dostrzegłeś pod zwierchnią jej powłoką rysów połamanych przez uniesienia namiętne, przez głębokie cierpienia, przez tortury ducha; jasno widziałeś w jej głębi ruinę myśli, i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który o ile w stanie zdrowia przenosił swoim rozumem rozumy pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnej nad niemi wyższości — uczucia. Najwyraźniejszym objawieniem tego smutnego stanu była dziwna ruchliwość oblicza. W chwili rozigrania, widziałeś tam na raz prawie kilka rozmaitych, najsprzeczniejszych wzruszeń, ale w każdym z nich było coś tak ślachetnego, że nawet w podobnym pasowaniu się z sobą, nie szpecily twarzy, nie robiły na patrzącym przykrego wrażenia. To samo działo się w dużych siwych oczach: czasem błyskały one takim szczególnym spojrzeniem, że blask ich przechodził w dziką jaskrawość; ale i wtedy uderzała cię tylko jakaś energia duchowa, jakaś żywość myśli, które lubo gwałtownie przelatowały, znać jednak było, że nie przelatowały samopas, ulegały kierunkowi pewnej woli, i mimo przeblyskiwania, objawiały się silne, pełne i wykończone.

Widok tej twarzy w zupełnym uspokojeniu nie-

mniej był ciekawy: wszystko wtedy oddychało w niej jakimś uczuciem wyższości nad przytomnymi, za nadto pewnej siebie, żeby wpadała w zuchwalstwo, jakąś w rzeczy samej myślą panowania: na dnie błyszczał niby wyraz młodości, jakby młodości duszy, jakby wiosna wyobraźni, a na tém wszystkiém leżała cicha ponurość, niby zasłona z przejrzystej krepy, której wydatniejszymi fałdami były gęsto przez pół siwe i ciemne włosy na czoło nasunione z pewnym zaniedbaniem, i ciemniejsze jeszcze wielkie brwi nad okiem zwisłe. Głos jego był silny, dźwięczny, a obok tego czysty, przyjemny i łatwo gnący się do dźwięku wszelkiego uczucia.

W czasie tego obiadu chociaż jadł bardzo skromnie, a pił jeszcze skromniej i to czystą wodę, mało się jednak odzywał, a zawsze zmuszony przez kogoś. Uważałem wtedy rzadką żywość i trafność w odpowiedziach, a w rozmowach tak krótszych jak dłuższych wielką łatwość i szlachetność tłumaczenia się.

I tego jednak co mówił, nie mogłem po największej części dosłyszeć, wciągany nieraz przez moją sąsiadkę do nowej rozmowy, którą przez grzeczność musiałem utrzymywać. Wkrótce ciekawość zwrócona w inną stronę, przemogła nad grzecznością: mimo całego przymusu odpowiadałem niestosownie, albo wcale nie odpowiadałem. Dysharmonia między naszymi myślami była widoczna. Postrzegła wreszcie moja pani to roztargnienie; zrazu zaczęła żartobliwie

napomykać jego przyczynę, która kobiecie wydaje się jedyną i konieczną w mężczyźnie młodym i niezonatym, w końcu, zwróciwszy się ku drugiemu sąsiadowi, zostawiła mi zupełną swobodę zajęcia się Machnickim. Byłem jej za to bardzo wdzięczny, bo właśnie téjże chwili rozpoczęła się znowu scena, która przedmiot mojej ciekawości odsłoniła mi z innej strony ważniejszej niż jego powierzchowność.

Znajdował się w naszym towarzystwie pewien hrabia K. Był to młody, dwudziestokilkoletni mężczyzna. Należał on, z rzemiosła swojego, do rzędu ludzi, znajomych pod rodzajowem nazwiskiem *przyjemnych trzpiotów*, jakich ma każdy kraj, każda prowincya, każda okolica, każde miasteczko, każda koterya, a których wartość gatunkowa odpowiada sferze, gdzie krążą wyłącznie. Hrabia K. był jednym z dowcipów podrzędniejszych, cyrkularnych. Nie przeszkadzało to jednak, że cały cyrkul bawił się nim w najlepsze. Kobiety dobrego miejscowego tonu szalały za jego towarzystwem; młodzież, w pozostałej części swojej, naśladowała go w czém mogła; starsi i rozsądniejsi pobrażali, bo był hrabią i miał jaki taki mająteczek; zresztą był, jak to zowią, dobry chłopiec. Znał się na koniach i psach, strzelał celnie, jadł i pił o zakłady, śpiewał i gwizdał przy fortepianie, tańczył na zawołanie bez muzyki i pary, nie zostawił nikogo w spokoju, powolniejszym wręcz dokuczał, drażliwszych wydrzeźniał

z tyłu, koniec końców błaznował, najczęściej kosztem tych, nad którymi przystawało raczej litować się; wszakże usprawiedliwiając go, potrzeba dodać, że przykry ten dowcip miał źródło raczej w głupocie jak w złém sercu, raczej w zepsutym smaku towarzysstwa, w którym żył, jak w skłonnościach wrodzonych. Wszedł on w nałóg złośliwego bawienia się, jak wchodzimy we wszelką rozpustę, przez poklask zepsutych. Dla podobnego człowieka, Machnicki, albo, że użyję całego wyrażenia samegoż hrabiego, król Machnicki, był to prawdziwie *królewski kęsek*.

Całe towarzystwo wiedziało o przygotowanym napadzie na biednego waryata, czekało niecierpliwie, z nielicznym wyjątkiem, chwili starcia się dwóch takich zapaśników, których już dla tego umieszczono przy stole obok siebie, i doczekało się nareszcie. Hrabia zaczął. Napelnił kielich winem, podniósł się, ułożył twarz figlarnie uroczyście i zawołał:

»Zdrowie króla Odrzykońskiego! Oby jak najdłużej panował dla naszej radości, w takiej mądrości i sławie u świata, jak dotąd.«

Znaleźli się, którzy odpowiedzieli na ten toast, inni którzy szczerze zachychotali, inni wreszcie, którzy się zmarszczyli widoczném niezadowoleniem, do ostatnich i ja należałem; znam cześć dla gruzów umysłu ludzkiego jak dla wszelkich innych. Machnicki siedział nieruchomy, i byłby może takim po-

został, gdyby młodzik, zadaleko swój żart posuwając, nie był go trącił w ramię i nie przemówił z drwiącym grymasem:

»Królu, ażaliż grzeczność nie znana w twojem państwie?«

Dziwna zmiana chwilowa, jak błyskawica mignęła przez oblicze Machnickiego i została po sobie tylko chmurną powagę, nalał spokojnie swój kielich wodą, i przemówił nie wstając z siedzenia:

»Przyjmuję zdrowie pana hrabiego w ten sam sposób w jaki było wniesione, i mam sobie za powinność odplacić toast toastem, przemowę przemową. — Trzeba nam wiedzieć, moi panowie, że są dwa rodzaje waryatów: jedni, których bardzo mało, wiedzą o swoim stanie, umieją go znosić i są tём, co właściwie zowią się waryatami; drudzy, z rozumem niedołężniejszym od waryacyi, sądzą, że mają najzdrowszy, ani na chwilę o tём nie wątpią, takich jest bardzo a bardzo wiele, a nazwisko ich znajdzie pan hrabia w słowniku swojej grzeczności. Pierwszym i wino nie zaszkodzi, to tём ich zdrowie można pić winem; drugim pomaga niekiedy zimna woda, dla tego wodą piję twój toast panie hrabio! *Oby podobni tobie rozmnożyli się bez liku u naszych nieprzyjaciół!*«

Toast Machnickiego wzbudził śmiech głośniejszy i powszechniejszy jak pierwój. Wielu cieszyło się kłopotem hrabiątka tak samo, jak wprzódy ostrym

zartem z Machnickiego, inni zaś ze szczerzej przychylności ku sprawie zaczepionego. Wszakże ten usterk nie zraził jeszcze hrabiego, przynajmniej umiał go pokryć głośnym śmiechem, chociaż widać było wymuszonym.

„Jak to królu,“ zawołał, nachylając się uprzejmie ku Machnickiemu — „tybyś miał się gniewać za życzenie, dalibóg serdeczne? Otóż dla przeblągania ciebie, chcę odtąd zostać najwierniejszym twoim poddanym.“

„Przepraszam,“ odparł natychmiast Machnicki z niewzruszoną powagą, „moją polityką jest, nie cierpieć w mojem państwie większego odemnie.... króla ma się rozumieć. Panie hrabio, z twojem szlachetnem usposobieniem prędkobyś mię z tronu zsadził.“

Śmiech towarzystwa jeszcze się bardziej powiększył, czuł teraz hrabia, że jego kosztem, że kosztem jego dowcipu, który się rozbił o głupstwo niby waryata i nie znalazł już mocy pokryć swojej przegranej choćby udanym śmiechem, ale stracił do reszty przytomność dobrej myśli, kiedy Machnicki, który przez cały czas wpatrywał się w grę jego oblicza z zimnem szyderstwem politowania i wzgardy, zawołał ze swojej znów strony, jakby naśladowując hrabiego:

„Jako? Panie hrabio, ażaliż niema już dowcipu w twoim dowcipie?“ a na zakończenie ude-

rzywszy kielichem w kielich, który właśnie pomieszany hrabia niósł machinalnie do ust, zawołał: „a więc zgoda dwóch półgłówków! Któż z nami, jeśli my przeciw sobie?“

Żartowniś dobity tym ciosem, któremu nie przestawał towarzyszyć barbarzyński śmiech wielkiej części towarzystwa, byłby może wypadł z karbów okoliczności i szczerym gniewem wybuchnął, gdyby litość kilku roztropniejszych kobiet, zwykle przytomnych w podobnym razie, nie była nadała zabawie innego kierunku.

„Panie Machnicki,“ zawołała jedna z nich, „zaimprovizuj nam cokolwiek z łaski swojej. Już tak dawno nie mieliśmy przyjemności słyszeć jego poezyi. Powiedz nam co wierszani.“

Na ten głos Machnicki wrócił do zwyczajnej postawy przy stole, postawił spokojnie kielich, i pojrzał do koła z taką twarzą, jak żeby nie było na niej przed chwilą żadnego wzruszenia, odezwał się tylko:

„Ma to być drugi akt komedyi?“ ale z uśmiechem więcej łagodnym jak szyderskim.

„Prosimy!“

Machnicki skinął ręką na ucieszenie.

„Z całego serca!“ rzekł. „Wymawiam tylko sobie, aby nie miano do mnie żalu, gdyby jakim przypadkiem nie podobało się coś w moich wierszach komukolwiek. Państwo wiecie zapewne,

ze człowiek opętany natchnieniem poety przestaje być sobą. Każdemu z nas, jak tu jesteśmy, zdarza się, jeśli nie ciągle to przynajmniej codziennie gadać nie wiedząc co gada, chociaż prozą, a coś dziwnego, że człowiek mówiący wierszami i bez przygotowania nie jest czasem panem słów i myśli. Będę improwizował, jeżeli się naprzód zapewnię o takim poślazaniu:

Chętnie jałmużnę dajecie
Zebrzącej o grosz niedoli,
Nie odmówcież dobrej woli,
Waryatowi i poecie.

Wszak to worku nie wysusza,
A skorzystać może dusza.
A czyja? zapewne wiecie.

Ze szczera ciekawością wpatrywałem się w Machnickiego i chwytalem każde jego słowo. W rzeczy samej zdziwienie moje było nadspodziewane, nad ową łatwością wysłowienia się i szybkością myśli, co tak przelatywała z jednego tonu w drugi. Znać w tém było nie tylko wprawę, ale swobodę ducha i władzę nad myślami, którą natchnienie tylko dać może. Nie mogłem wstrzymać się od pomyslenia w duchu: ten człowiek nie na waryata się rodził, a przynajmniej nie na zwyczajnego! Kiedy zaś umilkł na chwilę, jak żeby czekał od obecnych przytwierdzenia swoim słowom, zawołałem pierwszy, stósownie do ostatniego wiersza:

» Wiemy! wiemy! i z roskoszą słuchamy dalej! «

Kilka już razy z powodu sceny poprzedzającej, dałem uczuć Machnickiemu swoją dla niego życzliwość, ale uważałem, że w tej chwili przyjął ją lepiej, niż kiedykolwiek, i mocniejszą zwrócił ku mnie uwagę. Wzrokiem szczególniej przenikliwym dłużej na mnie spoczął, jakby mię chciał zbadać na wskrós, a znalazłszy zapewne w mojem odezwanium się szczerość, uśmiechnął się lekko pewnem zadowoleniem, i uważałem, że w ciągu dalszej improwizacji na mnie opierał główne swoje wejżenia. Tymczasem wziął w rękę próżny kielich i tak kończył:

Mamy dziś święto sąsiada!
Tak nam kalendarz powiada.
By nie zostać niegrzeczniejszym
Od samego kalendarza,
I długami serca dłużnym,
A więc przy święcie dzisiejszém
Piję zdrowie gospodarza,
A piję kielichem próżnym.
Jeśli próżny, moją wina?
Mój kraj pustka i ruina,
Bo mój kraj, to serca wasze:
Zkądże wam napełnię czasę?
Czyż z mej duszy? na to zdrowie
Nikt mi pewno nie odpowie.

A chociażbym z niej i nalał,
Cóżby się stało z wami?
Każdyby jak ja oszalał,
Lecz nagrodzę życzeniami.

O! życzeń tyle co nędzy.
 Wszystko zamknę w krótkim słowie:
 Obym pić mógł jak najprędzej
 Z pełnego dzisiejsze zdrowie,
 A życzył rozumnie — w prozie —
 Na wszystkich świętych w obozie —
 Przy zastawie bojowiska,
 Śród prochu, ognia i dymu!
 Tak wam mówi Król Zamczyska:
 A co mówi to dla rymu.

Taka była improwizacya Machnickiego, i z ma-
 łemi zapewne odmianami, bo ją w téjże chwili odpi-
 sywałem. Jako poezya nie ma ona zapewne nic
 szczególnego, zwłaszcza w czytaniu; ale trzeba ją
 było słyszeć w ustach Machnickiego, z żywym
 dźwiękiem jego głosu, ze szczerem uczuciem wezbra-
 nego serca. Nadto przy całym tonie ucinowym
 i lekkim, niemożna jej zaprzeczyć pięknego głó-
 wnego pomysłu i prawdy, lubo za cierpkiej, wszak-
 że zawsze prawdy, a zwłaszcza dosyć zastoso-
 wanej do osób i okoliczności. Dla tego powszechnie
 zrobiła ona wrażenie; a to, którego ja doznałem,
 nie było najmniejsze. Kiedy więc inni podnieśli
 oklask i krzyk brawa, ja korzystając ze zgiełku,
 przechyliłem się przez stół ku Machnickiemu i sze-
 pnąłem półgłosem:

»Winszuję panu nie rymu, ale sensu.«
 »» Pan go dostrzegłeś? « » zapytał Machnicki.
 »Bez trudu.«

»» Ale tego, oprócz pana, nikt tu więcej nie powie.«
 » Bo niechce.«
 »» Masz pan słusność. Udają, że się bawią
 waryatem: niby lepsi od niego. Smutna to rzecz
 jednak! « » i westchnął głęboko. »» Patrz, jaka ucie-
 cha z własnej hańby.«

Rozmowę naszą przerwała kolej toastów, koń-
 czących obiad. Następnie muzyka wezwała do tań-
 ców. Powstano od stołu. Wszystkie moje chęci
 zmierzały do tego, żeby wejść w ściślejszą znajomość
 z Machnickim: szukałem go na wszystkie strony,
 niebawnie postrzegłem. O jednem widać myśleliśmy
 oba, gdyż pierwszy przystąpił do mnie. Byliśmy
 tylko we dwóch na ustroniu.

»» Pan nie lubisz tańców? « » zapytał mnie.
 » Przeciwnie.«
 »» A jednak nie tańczysz.«
 » Od jakiegoś czasu.«

Ja się uśmiechnąłem, on zamyślił się na
 chwilę.

»» Dobrze pan robisz. Od jakiego czasu « » —
 a mówił to z wydatnym przyciskiem — »» niktby tań-
 czyć nie powinien; ale poradź — że tu z tymi ludźmi! «

Zatrzymał się znowu, zachmurzył się, po chwili
 przybrał twarz obojętną i obojętnie mię zapytał:

»» Pan zapewne z dalekich okolic? «
 » Tak, niedawno poznałem tutejsze.«
 »» Niewiele zyskałeś.«

»Przeciwnie,« odpowiedziałem ze szczerą uprzejmością, »miałem przyjemność poznać pana Machnickiego.«

Pojrzał z niedowierzaniem.

»Ale ten Machnicki waryat!«

»Nie dla mnie, jak dotąd,« odparłem z uśmiechem, a na dowód pokazałem mu odpis jego improwizacji, »w tém przynajmniej widzę więcej, jak rozum pospolity.«

»A u nich jednak to waryacya.«

Po chwili nowego milczenia nagle zapytał:

»Widziałeś pan zamek Odrzykoński?«

»Z daleka.«

»Więc musisz tu być bardzo niedawno?«

»Od tygodnia.«

Na tę odpowiedź postrzegłem niezadowolenie w twarzy Machnickiego.

»Jak to? od tygodnia tu być i nie poznać zamku! To jednak tak blisko! A choćby i najdalej? Drugiego takiego miejsca nie ma na ziemi. Powinniśmy do niego pielgrzymować, jak muzułmanie do grobu proroka.«

Mówiąc to, podnosił głos coraz wyżej, ruchy ciała ożywiały się, na twarz występował dziwny, wewnętrzny płomień; po raz pierwszy postrzegłem w nim obląkanie.

Wymawiałem się jednak szczerze, przeszkodami niezależnymi odemnie, jak było w istocie. Ma-

chnicki słuchał niecierpliwie, gotował się widać do nowego uniesienia, kiedy wpadła pomiędzy nas trzecia osoba. Machnicki zwrócił się nagle i odszedł. Widziałem go jeszcze raz z daleka, zdawało się, że chciał znowu mię spotkać i mówić, i widać było, że się wahał; wkrótce straciłem go całkiem z oczu; jakoż powiedziano mi, że opuścił towarzystwo niepostrzeżenie. Było to nad moje spodziewanie: mocno żałowałem, że puściłem mimo tak dogodną zręczność lepszego zbadania téj szczególnej istoty. Nie pozostało mi teraz, jak szukać go w zamczysku: i na to przeznaczyłem nieodmiennie dzień następujący.

III.

Zameczysko Odrzykońskie.

Nazajutrz ledwie dzień zaświtał, byłem już w podróży do zamczyska, bo chciałem razem z niem wschód słońca powitać. Poranek był prześliczny, jak tylko może być poranek majowy i pogodny, po tylu dniach nieba zachmurzonego. Droga pięła się pod górę pomiędzy sadami lub lasami. Oko w każdym kierunku odpoczywało na śniegach drzew rozkwitonych; wszystkie wiatry powiewały woniami fiołków. Zielona szata okolicy srebrzyła się perłami rosy. Niewysłowiona, czarująca świeżość, jak swoboda lat młodzieńczych, przenikała i zachwycała duszę, grała we wszystkie zmysły. Droga tymczasem coraz przykrzejsza, las ciemniejszy, skały gęściej szarzeją, dzikość pustyni coraz wyraźniej czuć się daje, urok miejsca coraz silniej podbija duszę, nagle puszcza się rozstąpiła, i zamek w całej pogrobowej okazałości stanął przedemną.

Nie będę się rozwodził, z jakim uniesieniem powitałem ten widok, nie będę opisywał wrażeń, które zrobił na mnie pierwszy przegląd tego ogromu gruzów: tam, gdzie każda ściana, każdy zakątek, każdy kamień, każdy krok wyprowadzały czarodziejską różeczką z mojej duszy nowy coraz potok uczuć i marzeń, otwierały mi nowe światy, szczegółowy opis byłby może zanadto nużący, a co pewniejsza, niepodobny do wykonania. Dodam nadto, że celem niniejszej powieści nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną jej osobą nie ja, lecz Król Zamczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na którémby przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiej, jak najdobitniej. Z tego tylko powodu uznaję za konieczne, rzucić kilka zarysów ogólnych zamczyska i jego okolic.

Zamek Odrzykoński leży na północ Krosna. Posadą jego jest góra należąca do łańcucha jednej z karpackich odnóg, okryta świerkowemi lasami, jak cały szereg jej rodziny. Zamek zajmuje najwyższą jej wyniosłość, która ją widocznie od innych odosobnia. Ów szczyt najeżony jest ogromnemi bryłami glazów, pomiędzy którymi rosną pomieszane brzozy, sosny, buki, a z drobniejszych krzewów, glóg, jałowiec, dzikie róże, jeżyna i tym podobne. Sam zamek po największej części wygląda jak mogiła gruzów, jednakże znaczna część murów, zwłaszcza

zewnątrznych, stoi dotąd nieporuszona. Najwyższa część zamku, zajmuje południowy bok szczytu, najniższa zachodni. Ściana północna cała prawie ciągnie się w linii prostej, równolegle niemal do południowej, kąty innych części są w rozmaitej wielkości. Taki jest ogólny rysunek zwalisk, inne szczegóły będą mieć miejsce w dalszém opowiadaniu.

Znużony pieszą wędrówką i szybkim a trudzącym przegładem gruzów, wzruszony do głębi duszy ich widokiem, czułem nakoniec potrzebę wytchnienia. Obrąłem na to miejsce, z kądemby mógł ogarnąć jak największą przestrzeń najładniejszej okolicy; i w samej rzeczy miałem niezmierny, porywający widok, szczególnie od południa i zachodu. Z jednej strony padół zaledwie obejrzany, zasiany miasteczkami i wsiami, pocieniowany lasami, przepasany łożem Wisłoka, z drugiej zaś pasmo Karpat rozłożyły się przed mojem okiem bez żadnej zasłony. Nie miałem jednak dosyć czasu nasycić się pięknnością tego obrazu; wkrótce rumiana zorza wschodu odbiła się na dalekich szczytach, zwiastując słońce; ku wschodniej więc stronie zwróciłem oczy.

Po chwili i słońce zjawiać się poczęło w grubej chmurze, jakby go noc ze swoich objęć wypuścić jeszcze nie chciała; chmury wprawdzie opadły i rozpięzchły się, a słońce zabłysło od razu w całym blasku, ale był to blask zawczesny, południowy, przykry, który w ciągu dnia dęszcz zapowiada, blask

oka, któremu na płacz się zanosi, którego powierzchnia jaśnieje szczęściem, kiedy na dnie jego podnosi się z głębin duszy chmura smutku, przecucie boleści.

Taka chwila ma właściwy sobie urok i przedstawia jasne podobieństwo stanu przyrody zwanęj martwą, ze stanem duszy ludzkiej. Przedmioty oddalone zazwyczaj zbliżają się do siebie, rzekłbyś, że chcą napatrzeć się sobie, zaczęły mrok chmury rozłączy; kwiaty mocniej wonieją, jak żeby spieszyły się z daniną kadzidla krótkim chwilom pogody; mimo godziny porannej zaduch południa; mimo przepychu światła jakaś w nim melancholia, jakiś brak, coś naksztalt owęj niepojętej tęsknoty, która ani swojego źródła, ani swojej pociechy znaleźć nie umie.

Takie było oblicze owego poranku; nieznacznie mimowiestnie wpływ jego i mnie ogarnął, tém łatwiej, że mię usposabiała do rozrzewnienia się samo miejsce, gdzie się znajdowałem. Posępne dumanie przegrywkami odzywało się z razu po stronach duszy, zwolna ułożyło się w piosenkę mniej więcej wyraźną, aż nastroiwszy do swego tonu uczucia i myśli, wylało się na papier w następnym wierszu:

Wędrowcze ruin, ruin koehanku,
 Jaki cię smutek naciska?
 Anioł przeszłości, anioł poranku
 Spotkały się u zwaliska.

Widzę w objęciu nadziejską parę,
Widzę ich dwa widma chmurne,
Jak razem płaczą, jak łąz ofiarę
Kładną, razem w gruzów urnę.

Stary czas odżył smutną pociechą
I zajęczał im w podzięce;
Słyszę jęk jego, jak dzięki echo,
Po bolesnej gór piosence.

Wciąż koniec śpiewu. Kiedyż pieśń nowa
Rozpocznie się przez kwilenie
Nowych narodzin? Paro duchowa
Daj mi przyszłości widzenie!

Skończyłem właśnie odczytanie powyższej dumki, kiedy usłyszałem za sobą głębokie westchnienie; obejrzałem się i postrzegłem Machnickiego. Stał tuż przy mnie; z oblicza widać była zachwycenie w myśli, na oczach łzy stały; wszakże strój osobliwy szczególniej mię uderzył. Suknie schodzone cokolwiek, były jednak porządne i ułożone z pewną starannością, nie wydawały pomięszanego umysłu; za to szczerze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz otoczony wieńcem z gałązek róż dzikich, okrytych na pół rozwiniętych kwiatem, gałązka świerku sterczyła zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitemi kwiatkami polnemi, to liśćmi, w rękę trzymał kość z ręki ludzkiej, jak mi się widziało na pierwsze wejście. Ten strój tak odmienny od wczorajszego, przez co nie mogłem go

od razu poznać, obok tego rozmarzenie poetyckie nie całkiem jeszcze rozproszone, sprawiły, że jakiś czas byłem pomięszany; i nie wiedziałbym od czego zacząć rozmowę, gdybym się nie upewnił w téjże chwili, że mój kłopot był daremny, bo Machnicki zaczął pierwszy. Stał on jeszcze w postawie, w jakiej go postrzegłem, z tymże wyrazem zachwycenia w obliczu; zwolna podniósł nad głowę kość, którą trzymał i uroczystym przeciągał głosem: „anioł przeszłości, anioł poranku, spotkały się u zwałiska!“

Zamilkł, zniżył kość z tą samą powagą, z jaką ją podnosił, pilnie wpatrzył się we mnie, i rzekł niezmiennie wyrazu twarzy:

»Ja, król Odrzykoński, nieograniczony pan tych gruzów, stróż ich przeszłości, naprzód jako król wynurzam ci wdzięczność, żeś godny hołd złożył mojemu królestwu; biorę cię przeto pod moją opiekę, jak długo zechcesz przebywać w mojej dziedzinie, w dowód czego dotykam cię tęp mojem berłem, a teraz . . .« — zmienił nagle twarz, i z uprzejmym uśmiechem uściśnął serdecznie moją rękę — »a teraz witam jako brat brata, a przede wszystkim najmocniej przepraszam, jeżeli mojem nadejściem przerwałem chwilę jego natchnienia. Podobne chwile są nieopłacone i ja znam ich wartość i ja także jestem poeta. Szczerze więc przepraszam.«

»Ja to pierwszy powinienem żądać przebaczenia, że bez wiedzy króla śmiałem wejść w jego

państwo,“ odpowiedziałem, stosując się do królewskiej Machnickiego roli.

„Z tej strony bądź spokojny,“ rzekł Machnicki z coraz większą uprzejmością, „już po wczorajszym poznaniu, chociaż dalekiem, serce moje przychyliło się ku niemu; życzyłem sobie jego odwiedzin; z razu chciałem mu to oświadczyć, rozważywszy, zaniechałem. Cobym mówił z pełności serca, toby wzięto za wybryk waryata. Mniejsza o mnie, ale część mojej śmieszności i na niegoby spadła. Pan znasz świat — znasz wczorajsze towarzystwo — wiesz jak mnie uważają, wiesz to dobrze — niech to pana nie mięsza. Ja nie gniewam się na tych ludzi, bo znam ich dobrze. Nie czuję się nigdy mędrszym, lepszym, jak kiedy jestem pomiędzy nimi. Jednego kamyka tych gruzów nie oddałbym za najczulsze z ich serc — ten kwiatek przekwitły więcej ma duszy, jak oni. Żadnego z nich nie chciałbym mieć moim poddanym. — Wolę tym gruzom królować. Z tém wszystkiem nie są oni najgorsi. O! daleko gorsi są od nich. Oni nawet dobrzy ludzie podług ich czasu, podług ich rozumu, ale waryaci. Mogłem być ich królem, i nie chciałem. — Dla czego? jak? Kiedy się lepiej poznamy, sam przynasz mi słusność. Ale zostawmy to na później. Obyczajem świata zaczniemy rozmowę od pogody. Wybrałeś pan do wędrówki prześliczną chwilę, tylko niepewną.“

„Bardzo tego żałuję,“ odpowiedziałem, „widoki cudne; potrzeba wiele swobodnego czasu, żeby się nimi nasycić.“

„Masz pan słusność. Okolica prześliczna, ale to tylko ciało; cóż gdybyś pan duszę zobaczył! Jaka olbrzymia, jaka wzniosła! Geniusz ożywiłby nią dwadzieścia milionów. Tylko że to jest tajemnica, wielka, zakłeta tajemnica. Krocie ludzi rodzą się i umierają pod bokiem tych gruzów, a żaden ani się domyśli ich prawdziwej wartości. Gruzy i gruzy! powiadają oni; stare, okazałe, to prawda, ale nie więcej, tylko gruzy jakiegoś zamku. A ja panu powiadam, że te gruzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu. Gdyby mi wolno było, podnieść ich zasłonę, świat z boleści wziąłby się za włosy; zobaczyłby pod nimi przestrzeń pustyni większej jak Sahara, w każdym kamieniu trupa, w każdej warstwie muru pokolenia wymordowane, zobaczyłby rzeki z łez i krwi; ich wysokość myślą jedynie musiałby zgadywać; wieża Sennaru pigmejczyk przed nimi. Jest coś, jak majestat narodu.“

„Wierzę panu.“

„Nie dziwiłbym się, gdybyś nie wierzył; za krótko jesteście z sobą. Ale później, może . . .“ Tu zatrzymał się i nagle przeszedł z widocznym umysłem do innego przedmiotu.

„Podслуchałem wiersz pana. Nie przepraszam

go za to. Wszak jestem tu królem: mam prawo i powinność, wszystko widzieć i słyszeć, co się w mojem państwie dzieje. Nie powinieneś urazić się o to; nie straciłeś pan na mojej ciekawości. Z tej jednej chwili poznałem go lepiej niż gdybyśmy sto imienin razem obchodzili. Widzę u pana usposobienie bardzo dla niego pochlebne, a które daje mu prawo . . . „ Nagle zatrzymał się i patrzył mi w oczy długo okiem, ani na chwilę niezmrużoném, bystrém, przenikającym duszę w różnych kierunkach, zawołał potem:

„ Tak, możesz pan śmiało pytać o wszystko, co się tyczy mojego królestwa, objaśnię go, o ile mi wolno. „

Podziękowałem w krótkich słowach i zacząłem od sprawdzenia już mi wiadomych szczegółów:

„ Ten zamek, „ rzekłem, „ Firléj podobno założył za panowania któregoś z Zygmunatów. „

„ Firléj! Zygmunty! „ powtarzał Machnicki z uśmiechem przekąsu, „ bajki! ale nie tu miejsce mówić o tych rzeczach. Tu każde echo złapałoby moje słowo, a tysiąc wiatrów nieprzyjaznych rozniosłoby je natychmiast — o! mam ja potężnych nieprzyjaciół i tutaj, jawnych i utajonych — muszę być ostrożnym. Gdybym panu powiedział ostatnie słowo tych gruzów, spędzonoby wszystkie pułki piekielne, aby ich ślady nawet zdeptać. Ale od czegoż mądrość stanu? muszę dyplomatyżować. „

W tém miejscu muszę przyznać się czytelnikowi, że dotąd jeszcze uważałem Machnickiego za zwyczajnego obłąkańca, i stósownie téż przyjmowałem monetę jego mowy. Jego więc odpowiedzi, zboczenia, uniesienia się, nie przerywały głównego ciągu mojej myśli, nie psuły szyku zapytań, które podobny przedmiot nastroczał, na które przedewszystkiem chciałem mieć odpowiedź, dla tego mówiłem dalej:

„ Powiadają, że jeszcze niedawno znaczna część zamku była mieszkalną? „

Machnicki milczał.

„ Największą część rozebrano podobno na inne budowy w okolicy? postawiano kościoły, kamienice, stajnie! Co za świętokradztwo! Mówiono mi jeszcze że przed laty kilką były tu komnaty zupełnie całe? W tych okolicach miały być wielkie bitwy? „

Machnicki wciąż milczał, tylko się coraz widoczniej zachmurzał, czasem wyrzekł — „ tak „ — lub „ nie „ — porwał się potem z miejsca i zawołał:

„ Po mojem królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrowców. Są pewne formy, których nie wolno przełamać. Chodź pan za mną — niebo coraz się bardziej zachmurza, będziemy mieli burzę, korzystajmy z pogody. „

Przysłiśmy tedy pod jedną wieżę okrągłą, poszczerbioną, ale jeszcze znacznej wysokości.

»Masz pan mocną głowę? umiesz drapać się po murach? wejdziemy na tę wieżę.«

Zmierzyłem, opatrzyłem ją i widziałem, że po jej szczerbach jak po schodach można się na sam wierzch muru wydostać, przystałem więc na żądanie Machnickiego. On przodkował z nadzwyczajną zręcznością; po chwili staliśmy na szczycie, nad wysokość reszty zamczyska wyżej niż wierzchołki drzew okolicznych, z widokiem swobodnym na wszystkie prawie strony.

»Co za widok!« zawołałem, »sądzę, że promień jego ma przynajmniej kilka mil długości.«

»Kilka mil!« powtórzył Machnicki, patrząc mi w oczy, i to poeta tak się wyraża? poeta tyle tylko widzi? A ja, kiedy tu wejść, kiedy położę oko na tych górach i tracę je myślą, wnet lecę chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, po nad Dźwiną przechodzę do Baltyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry i po nad Odrą wpadam znowu na Karpaty; a zawsze pilnując się krawędzi tego horyzontu. — Rozumiesz mnie pan?«

»Nie wiem, czy tyle, ilebyś pan chciał być zrozumianym.«

W téj chwili na twarzy Machnickiego objawiała

się jakaś dziwna wewnętrzna walka, jak żeby słowa ogromnego znaczenia darły się do ust, a myśl tajemnicy gwałtem zatrzymywała.

»Nie, nie!« zawołał w końcu, »lepiej być niepojętym, jak narażonym na zdradę.«

Wnet postrzegł się, że wybuchnął z czémś niewłaściwem, zwrócił się ku mnie, wziął z dobrocią za rękę i pytał:

»Co ja powiedziałem? może niedorzeczność? Przebac pan! — wszak wiesz, że waryat — i ja to wiem. Ja sam często postrzegam, że mi się wymknie słowo, ni przyszył, ni przylatał, jak powiadają. To waryacya, waryacya! Ale to nie waryacya, że potrzeba tak widzieć, jak ja widzę z tego miejsca, aby je pojąć. Wtedy dopiero widziałbyś pan, jak przyjmować powszednie bajeczki, które mu naklektano. Chodźmy ztąd.«

Spuściliśmy się znowu na dół w milczeniu. Przez ten czas rozważając w duchu dziwną istotę Machnickiego, mniemałem dostrzedz w nim przeważający żywioł poetycki, który przy osłabionych innych władzach umysłu panował nad tém silniej i stał się dla jego duszy szkłem optycznym, pokazującym jęj cały świat w postaciach powiększonych i upięknionych za rzeczywisty; widziałem, że go razila moja prozaiczna szczérota, odtąd więc postanowiłem być z nim poetą. W tém zamyśleniu postępowałem by z głębi zwałisk, kiedy Machnicki wstrzymał mię:

„Za pozwoleniem!“ rzekł, „panu wolno tu błądzić, ale nie mnie. Pan nie widzisz, jak ja, przeszłości nie widzisz tu, jak ja, jój śladów; ciężkobyś przewinił, żebym się ich nie trzymał; okropniebym za to odpokutował. Chcesz pan mieć wyobrażenie mojej kary? pojrzyj na te miliony do koła. Zresztą jako król mam także moje dworskie obrzędy, których się trzymać i których przestrzegać muszę.“

Zwróciliśmy się więc nazad, w kierunku południa i wyszliśmy zupełnie za obręb gruzów. O kilkanaście kroków leżał ogromny głaz samorodny. Machnicki doprowadził mię ku niemu i rzekł:

„Przedewszystkiem cześć grobom! Tu pod tym kamieniem leży ostatnie półtora wieku. Olbrzymie zwłoki! nie prawdaż? Kto nad nimi nie pomodli się, ten jak niegodny, niepoświęcony wchodzi do tego zamku, do całej przeszłości.“

Poczem zdjął kapelusz, ukląkł, dał mi znak, żebym to samo zrobił, wpatrzył się w kamień, nieznacznie twarz jego zmieniła się w bryłę bez wyrazu prawie życia, jak żeby duszę uniosło jakieś zachwycenie daleko od ciała, mimo to rżesne łzy posypały się z oczu, a usta, jakby obcym głosem, jakby poruszone zewnętrzną sprężyną przemawiały te słowa:

„Każesz! słucham. Jeszcze raz posiewam cię łzami. Na łzach mech wyrasta, ze mchu ziemia. W ziemi skrywa się ziarno, z ziarnka strzela

drzewo — tak Karpaty lasami porosły, tak ty grób porośniesz nowem życiem. Płynicie łzy! policzą was kiedyś, zapłacą!“

Skończywszy ów dziwny monolog, był jeszcze jakąś chwilę w stanie zewnętrznego odrętwienia, powoli ruszył okiem, życie wróciło do twarzy, powstał, pojrzał na mnie, i obcierając ślady łez, zapytał:

„Plakałem? Nie dziw się pan — ile razy je widzę, tyle razy płakać muszę. Ale i to paroxyzm waryacyi! powiedzą sąsiedzi; nie prawdaż? O, gdyby każdy z nich miewał podobny przynajmniej raz z rana, a raz w wieczór, ten zamek stałby jeszcze cały, a przynajmniej już odbudowany. Widzisz pan do koła te głazy? Wszystko to są groby, ale jakie groby! Całe zastępy bohaterów, czyny wiekowe, miasta, wieki, kraje, leżą pod niemi. Ten na boku na przykład, u samego wchodu do zamku, kryje wyprawę wiedeńską. Ale za mało dziś czasu na obejrzenie całego smętara, burza nam przeszkodzi.“

W samej rzeczy, im wyżej słońce się podnosiło, tém większy zaduch napelniał powietrze, chmury gęstniały i grzmot burzy co chwila groził.

„Przebyliśmy święty próg zamku, możemy wejść wewnątrz“ rzekł Machnicki i szedł przodem.

Ostatnia scena przy głazie wpłynęła osobliwym sposobem na mój umysł, uderzyła na prawdę w poe-

tyczną strunę duszy. Jakkolwiek poetyczność Machnickiego objawiała się zanadto może jaskrawo, była nią jednak, i przepłynęła do mojej fantazyi, pozwólmy, że jak tchnienie zarazy. Owo przeobrażenie głazów prostych w podobne nagrobki zdało mi się być pomysłem tak pięknym, otwierało takie pole fantazyi, że mimowiadnie wszedłem w świat Machnickiego. Kupa gruzu przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami; ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokich, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęły się długie kurytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwemi szybami, cały gmach odetchnął przeszłym życiem, w każdej części zmartwychwstały ślady mieszkańców. Głuchy odgłos dalekiego grzmotu, było to echo naszego stapania po brzęących posadzkach. Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci. W możność takiego złudzenia nie wszyscy uwierzą, są, którzy je pojną, krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom. Byłem właśnie w jego pełni, kiedy ujrzałem w jednym oknie rosnącą brzoźkę. Jej korzeń trzymał się wewnętrznego gzymsu, a wiezchołek na zewnątrz za okno wychodził, gałęzie wiślały tak posępnie, biała kora tak żywo przypominała biały strój kobiecy, że mimowolnie zawołałem:

» Jaka smutna! Jak gdyby wyglądała kochanka! Biedna.«

» » Kto taki?« » zapytał mię zdumiony Machnicki.

Postrzegłem się, odpowiedziałem więc uśmiechając się:

» Nic! nic! przywidzenie! nic więcej.«

Naglił powtórnie zapytaniem, wyznałem, że w brzozie wyobraziłem sobie dziewicę.

» » Cyt!« » rzekł z cicha, » » wyjdźmy ztąd!« »

Ledwośmy odeszli, rzucił się na mnie z mocnym uściskiem i wołał:

» » To nie złudzenie, to rzeczywistość, cud grobu, łaska grobu z panem. Czy wiesz, kogo widziałeś?« » zapytał uspokoiwszy się nieco.

» » To królowa Jadwiga. A widziałeś ją w najważniejszej chwili jej życia. Serce jej rozdarła najoboleńszą raną. W jedną stronę ciągnie ją miłość Wilhelma, w drugą miłość narodu. Przemogło poświęcenie się dla narodu, ale boleść nie ustała. Wygląda z trwogą przybycia Jagielly; przyjmuje go jak męża i pana, ale łzy dla kochanka płyną. Szczęśliwy, kto ją widział w tej chwili, choć raz w życiu; widział on tryumf miłości narodu. Szczęśliwy jesteś. Dusza twoja przejrzała; spodziewałem się tego. Odtąd jeszcze otwarciej będziemy z sobą. I mnie ten widok nie obcy, ale rzadki. Najczęściej przedstawia się jak drzewko. Między nami gadają, że to wszystko było gdzieś tam, w jakimś Krakowie. Nie

wierz temu, i Kraków tutaj, i cała ta scena tu się odbywała. Wiem to z ust własnych.“

»Pan z nią rozmawiasz?«

»Czy ja z nią rozmawiam! A po cóż byłbym królem tego zamku? Jeżeli w nim żyję, to dla tego, że i on żyje. Nic tu niema, co by nie żyło dla mnie, co by ze mną nie rozmawiało! O! jak mię nieraz bawia, a najczęściej gniewają ci powszedni ludzie, którzy tu czasem nie wiem po co przychodzą. Dla nich to drzewa, kwiaty, murawa, nic więcej, jak tylko zwyczajne drzewa, kwiaty i murawa. Biedni, gdyby im Bóg otworzył oczy, gdyby się chcieli porozumieć ze swoją duszą, padaliby tu na twarz przed każdym kwiatkiem, całowałiby w nogę każde drzewo, nie śmieliby stąpać po tej murawie. Zamieszkaliby tu chętnie na całe życie; i przez całe życie nie napatrzaliby się, nie nasłuchaliby się tego, co się tu działo i dzieje.“

Tymczasem przewidywana burza podniosła się na wysokość zamku; powietrze całkiem zciemniało, gromy i błyski coraz bliżej się objawiały, i wiatr z niezwykłą się podniósł gwałtownością. Nie spodziewając się takiej i tak prędkiej nawałnicy, nie zapewniłem sobie schronienia; począłem więc być niespokojny i zapytałem Machnickiego, czy nie wie gdzie bliskiej chaty, w którejbym bezpiecznie przeczekał pierwszą natarczywość burzy.

»Bądź pan spokojny!« odpowiedział, »jestem

królem w mojem państwie: wszystko już obmyślone. Nie każdemubym to zrobił, nie zrobiłem tego nikomu dotąd, ale pan masz wszelkie prawo do mojej gościnności, pod jednym warunkiem.“

»Dasz mi najuroczystsze słowo, że nikt nie dowie się z jego przyczyny o miejscu, w którym się schronimy.“

Dalem słowo z chęcią.

»Chodź pan za mną!«

IV. Podziemie.

Związany słowem daném przed chwilą Machnickiemu, muszę zawiesić na zawsze ciekawość czytelnika i zostawić w tém miejscu przerwę opowiadania, której może nigdy nie zapełnić. Wolno mi tylko powiedzieć, że nie wychodząc z obrębu gruzów, zatrzymaliśmy się nad głazem znacznej wielkości. Machnicki zlecił mi obejrzeć się na wszystkie strony, czy nie jesteśmy widziani przez kogo obcego; a kiedy to dopełniwszy, zwróciłem się ku niemu, ujrzałem ów kamień już podniesiony, a na jego miejscu ciemny otwór pod ziemią.

»Spuszczaj się prędko!« zawołał.

Zrobiłem jak kazał, on skoczył za mną; w okamgnieniu kamień znowu zapadł i zostaliśmy w zupełnej ciemności.

»Taka jest brama mojej stolicy« — rzekł Machnicki. »Idź pan za mną, trzymaj się ściany, a pamiętaj, że mamy przed sobą dwadzieścia schodów.«

Szedłem, trzymając się kroków przewodnika, macając ścianę i licząc stopnie. Schody były wygodne, szyja podziemia tak wąska, że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc szedłem. Na dwudziestym stopniu zatrzymaliśmy się: Machnicki skrzesał ognia, zapalił lampę stojącą w małej framudze, jakby umyślnie na to wykutej, i przemówił:

»To pierwszy dziedziniec mojego pałacu; cóż myślisz o nim?«

Powiodłem okiem do koła i widziałem niekształtną jaskinię, obszerności tak nieznacznej, że jeden rzut oka z któregokolwiek punktu mógł ją całą ogarnąć, chociaż przy świetle tak słabem jak blask lampy. W utworzeniu jej nie widać było śladu sztuki: pod ścianami stały lub leżały ludzkie kości; na ścianach wisiało kilka zbroi starożytnych mocno zardzewiałych.

»Zapewne to straż pałacowa?« rzekłem.

Machnicki potwierdził mój domysł skinieniem głowy. Głównie jednak zwróciły moją uwagę drzwi dosyć wielkie, żelazem pokryte, leżące po lewej ręce naszego wchodu.

»A to musi być wejście do podziemnego przechodu, o którym powiadają, że się aż pod Krosno ciągnie.«

»Może i dalej,« odpowiedział Machnicki obojętnie.

Po krótkim zatrzymaniu się, przystąpił do innych drzwi podobnych pierwszym, a leżących przed nami, dobył klucza, otworzył je, sprowadził mię o kilka stopni niżej, do innej jaskini obszerniejszej nierównie niż poprzednia. Z pierwszego wejrzenia zgadłem, że to było jedno z owych okropnych więzień, które koniecznie wchodziły do budowy dawnych zamków; jeszcze wisiały szczątki łańcuchów na żelaznych kółkach wpuszczanych w kamień na olów. Machnicki nie dając mi czasu do rozpatrzenia się, uchylił jedno z licznych drzwi pobocznych, wprowadził mię do nowej kryjówki z tajemniczym milczeniem, zapuścił w jej głębie wyciągniętą rękę z lampą, a ja wyraźnie ujrzałem pod ścianą drewniane i żelazne narzędzia tortur.

Mimowolny dreszcz przebiegł ciałem, włosy stanęły na głowie, cofnąłem się za drzwi jak popchnięty. Okropna przeszłość miejsca zawisała przed myślą, jak czarna zasłona, a tłem jej przesuwaly się w ognistym malowidle sceny tyranii, jakich kiedykolwiek nazywałem się lub nasłuchiwałem w opisach miejsc podobnych, jakie tylko wyobraźnia przerażona ich widokiem utworzyć sobie potrafi. Wrażenie to zagrało na raz we wszystkie zmysły, w powietrzu uczulem duszącą woń trupiej zgnilizny, każde uderzenie stopy o twardą posadzkę odbite echem jaskini, zamieniło się w jęk przeciągły, ciemność i światło lampy połamane wzajemną walką, wyglądały z poza

kolumn samorodnych i z załomów skalistej ściany, postaciami ofiar mniej więcej wyraźnemi, blademi; jak żyję, nie miałem podobnego widzenia.

Machnicki stał ciągle w izbie tortur; szybko zbliżyłem się ku niemu, a ujrawszy przed nami nowe drzwi na pół uchylone, chciałem wyjść przez nie i pociągnąłem za sobą Machnickiego.

»O! nie« — odezwał się Machnicki głosem uroczystym, »z tego miejsca nie było i niema wyjścia, chyba tamtędy.«

Na tych słowach otworzył do reszty drzwi uchylone i wskazał za niemi stos kości w dole, a w górze wąski otwór, przez który wpadało cokolwiek dniowego światła:

»Jest to smętarz więzienia!«

»Wychodźmy ząd!« zawołałem z niecierpliwością, »wychodźmy którądykolwiek, byleśmy wyszli« — i drząc mimowolnym dreszczem, ciągnąłem w tył Machnickiego.

On przeciwnie miał twarz ciągle obojętną, zimną; uległ mi jednak i wrócił do jaskini więzienia, ale tutaj zatrzymał się, utkwil we mnie przenikające oczy, i mówił powoli, zatrzymując się na pewnych wyrazach, niby przywiązując do nich większą wagę.

»Tak, jest to więzienie zamkowe. Miejsce okropne, okropniejsze może niż ci się wydaje, bo nie widzisz w niem nic więcej nad więzienie zamku, a ja . . . ja coś więcej tu widzę. Jestem jednak spo-

kojny, przynajmniej taki jak zawsze, a ty drzysz, jesteś cały zmieniony. Dziwi mię to. Cóż lepszego twój świat w którym żyjesz? O rozumni ludzie, jacy wy zabawni, dziwni! Nie obudzisz ich pojęcia, nie domacasz się ich duszy, dopóki nie skupisz wrażeń w jeden piorun, i nie uderzysz ich zmysłów jak piorunem. We wszystkim zmysły, nigdzie duszy. Nigdzie duszy, któraby swoją potęgą ogarnęła przestrzenie i miliony, skupiła je w mikroskopie jednej myśli, jednego uczucia. Daj mu za więzienie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolnego; morduj około niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy jak w raju. Dopiero kiedy go wprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz: oto twój świat, oto twoje życie! dopiero wtedy ocknie się, zadrzy, jakby mu powiedziano coś nowego; i tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku, silnych zmysłów? A ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zużytych, niedołężnej myśli, skrepowanego ducha. Cała ich mądrość, że znają kilka liter zmysłowych, nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz, i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego.

Zatrzymał się chwilę, a zmieniając nagle ton głosu i cały wyraz twarzy w łagodniejszy:

„Przebacz!“ zawołał, „przebacz waryatowi to kazanie. Nie do ciebie ono wymierzone. Nie kładę ciebie na równi z resztą ludzi. Dałeś mi już nie jeden dowód, że dusza twoja ma widzenie silniejsze, rozleglejsze, nie jest na łasce zmysłów. Gadałem sobie ot tak! z potrzeby wygadania się, w chęci jak najbliższego poznania się z tobą; gadałem, bo to jest rokosz pomówić z człowiekiem, który nasz język rozumie. — Teraz pójdziemy dalej.

Mimo wszystkiego, co Machnicki dopiero powiedział, opuściłem więzienie z prawdziwą przyjemnością. — Wróciliśmy drogą, którąśmy przyszli. Zatrzymaliśmy się znowu w jaskini wyższej przeddrzwiami, o których już wspominałem, a które według wszelkiego podobieństwa zamykały podziemną wycieczkę z zamku na zewnątrz.

Drzwi były mocne i ciężkie; z głuchym zgrzytem ustąpiły pod Machnickiego ręką i odsłoniły nam nowy kurytarz dosyć przestronny, przykro w pół spadający; jakoż po kilku krokach zaczął się nowy szereg stopni prowadzących coraz głębiej. Skracając o ile można i trzeba opowiadanie, namienię tylko, że przebyliśmy pięć czy sześć jaskiń rozmaitej wielkości i tyleż pięter schodów mniej więcej licznych. Głębokości, w jakiej byliśmy, po niczym zmiarkować nie mogłem; zdawała mi się jednak ogromną. Szliśmy ciągle podziemiem skalistém. W niektórych miejscach ślad ręki ludzkiej był widoczny, częścię

samorodna objawiała się przyroda. Uważałem czasem mniej więcej obszerne w ścianach otwory, z których domyślałem się różnokierunkowych rozgałęzień tegoż samego przechodu. Szliśmy w takim milczeniu, że przewodnik nie odpowiedział nawet na kilka zapytań, które mu w ciągu tej wędrówki zrobiłem. Było w tym milczeniu coś uroczystego.

W dziwny też stan przechodziły wyobraźnia, dusza i wszystkie moje władze. Kto nie był w podobnym położeniu, ten nie zdoła utworzyć sobie jego pojęcia. Na to potrzeba znajdować się o sto przynajmniej sążni pod ziemią, wśród skał nagich, dzikich, jednostajnych, ze wspomnieniami tylko dniowego światła i żyjącej przyrody, w ciszy tak zupełnej, że odgłos burzy nieustannie piorunującej i z całą potęgą, wyraźny z początku, głuchnąc stopniami, objawiał się teraz jedynie w ciągłym prawie drzeniu ziemi, i dziwnym jakimś brzęku głazów, którego pod żadnym wiadomym nam dźwięku wyobrazić sobie nie można. Nie pojmowałem również, dla czego mimo większej coraz głębokości odgłos ten zamieniał się w coraz wyraźniejszy huk piorunów. Nagle huk ten rozległ się grzmotem tak silnym, jak żebyśmy zwycają tylko ścianą przedzieleni byli od reszty świata.

Machnicki zatrzymał się, w twarzy jego ujrzałem podniesienie ducha, promieniące na tle pogodnego, cichego zadowolenia, a w całej postawie coś tryumfalnego.

„Słyszałeś ten piorun?“ zapytał mnie.

„Słyszałem.“

„Wiesz co on znaczy?“

Odpowiedź w duchu zapytującego nie łatwa była. Machnicki, bądź widząc mój kłopot, bądź przez zwykłą sobie żywość, która często nasuwała mu rozwiązanie własnych jego zapytań, przyszedł mi teraz w pomoc.

„To strzał powitania!“ odpowiedział, „powitanie królewskie, nie prawdaż? A tę niespodziankę winien jestem mojemu gościowi — tak, tobie, jak na ten raz jestem ją winien, mój gościu szanowny!“ — dodał, ściskając mię serdecznie za rękę. „Za chwilę sam to pojdziesz.“

Po tych słowach postąpiliśmy naprzód kilka kroków, stanęliśmy przed niewielkimi drzwiami; Machnicki otworzył je lekkiem ku sobie pociągnięciem, i wprowadził mię do nowej jaskini.

Tu obracając się do mnie, rzekł z pewną urzędową powagą:

„Nakoniec jesteśmy u celu naszej wędrówki. Otóż i stolica Króla Zamezyska. Stolica, pałac, więzienie, piekło, raj, co chcesz. Ale o to mniejsza, dosyć, że cię witam, w tej chwili jak gospodarz gościa, jak brat brata; powitanie królewskie na później zostawimy. Jesteś znudzony, nie prawdaż? odbyłeś przechadzkę mordującą, pora późna, lekki posiłek nie zawadzi, wszak tak? pozwolisz więc, że zacznę od ugoszczenia podróżnego. Gościnność

o cnota naszych przodków rodzima, wielka, święta, jeden z klejnotów domowego ich życia. Znam całą wartość podobnych skarbów; nie pozbyłbym się najlichszego z nich za nic w świecie: to podstawa publicznej narodowej potęgi. A jeżeli kto, to król powinien dawać przykład troskliwości o nie. Siadaj więc i spocznij. Albo lepiej, zostawiam ci zupełną wolność. Jesteś zapewne ciekawy, rozpatrzeć się w moim pałacu. Rób, co ci się podoba, ja tymczasem zajmę się posiłkiem.

To pozwolenie było mi bardzo na rękę. Pałac Machnickiego, jak go nazwał, zasługiwał ze wszech miar na bliższe rozpatrzenie się, sądzę nawet, że rysem jego dogodzę potrzebie czytelników, którzyby mieli dłuższą cierpliwość towarzyszyć aż do końca mojemu pobytowi z Machnickim.

Jaskinia ta była obszerniejsza jak wszystkie zwiedzane dotąd; miała ona kształt wielokąta okrągłego, około pięćdziesięciu stóp obwodu, ile od oka sądzić mogłem. Do tej budowy wchodziły dwa ogromne głazy, poziomo względem siebie leżące; niższa, główna część pieczary wykuta była w glazie spodnim, wierzchni zaś wyłobiony wklęsło, tworzył sklepienie; rozdzielała je szeroka szczelina opasująca niby gzymsem całą jaskinię. Szczelina ta, w stronie przeciwległej drzwiom wchodowym, rozszerzona sztuką w okrągłe otwory, a zresztą założona kamieniami, zamieniała się w samorodne okna, które przez swój

kształt lejkaty na zewnątrz jaskini, dawały swobodny widok na ogromne płaszczyzny u stóp zamkowej góry leżące, i wpuszczały wewnątrz tyle dniaowego światła, ile go potrzeba było, aby się obejść bez sztucznego oświetlenia. Dotąd dwa takie okna widziałem; za ich pomocą przekonałem się, że góra z tej strony zbiegała urwisto do dołu. Wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie pieczary dziwny miało pozór: ściany, sklepienia, posadzka nawet były mchem nałożone tak grubo, że widok glazu ginał pod nim zupełnie. Kątowość ich obwodu tworzyła kilkanaście ścian, z których co druga ściana wyrobiona była w głęboką framugę. Ściany wystające ozdobione trofeami ze strzał, mieczów, strzelb, pancerzy i innej broni, bądź dawniej, bądź nowszej, tak że to ubranie dawało pieczarze pozór zbrojowni, a przynajmniej jakiegoś muzeum rycerskiego; gdzie nigdzie wisiały herby kamienne, ocalone widać resztki z gruzów zamczyska, kilka starych portretów, a nawet kości ludzkie pomieszane w trofea broni. Szczelinę, o której wspomniałem wyżej, że opasywała pieczarę nakształt gzymesu, przyozdabiał łańcuch kul rozmaitej wielkości, poprzerwany w odstępach wymierzonych trupiemi głowami, co wszystko razem dziwny przedstawiało widok i niepojęte robiło wrażenie. Za ramy do framug służyły pęki młodych drzewek: każdy pęk przewiązany w polowie swojej wysokości, rozdzielał się od przewiązki

na dwie części, i wierzchołkami ich łączył się na obie strony z pękiem najbliższym, w tenże sposób urządzonym, tworzył się zład do koła pieczary szeregu kolumn i luków gotyckich. Nadto pod każdą ścianą były wygodne siedzenia z kamienia jednorodnego ze ścianami. Framugi zasłonięte makatami i adamaszkami, cęcalonemi widać szczątkami zamkowych obić.

Najmocniej zajęła mię framuga naprost drzwi wchodowych leżąca. Po obu stronach jej otworu stały dwa szkielety, odziane całkowitem ubrojeniem dawnych usarzy, z kopiami tak nachylonemi ku sobie, że proporce ich zwisłe aż do ziemi, układały się w rodzaj zasłony. Nad wniściami wisiał rozpięty orzeł rzeczywisty.

Idąc od tego miejsca ku drzwiom lewą stroną pieczary, w najpierwszej z porządku framudze, znajdował się mały księgozbiór; składał się on z kilkuset książek, między któremi największa część, jak mi się zdawało, starych kronik; na środku stał stolik do pisania z całym stósownym przyborem i wygodnym staroświeckim krzesłem. Sam stolik roboty prostej, ale dosyć starannie ogladzony leżał na czterech klockach, korą pokrytych, po dwa w głoskę X związanych; a tak był ustawiony pod jednym ze wspomnianych okien, że pasmo światła, jak raz na niego padało i pracującego przy nim oświecało dostatecznie. Na stole leżała ogromna księga, w wię-

kszej połowie zapisana. W następnej framudze była sypialnia Machnickiego: za łóżko służyła ogromna kamienna płyta, wzniesiona o pół łokcia nad posadzkę, i grubo mchem usłana; pościel zaś składała się z łosięj skóry, poduszki skórzanęj i koca do przykrywania.

Co się tyczy innych framug, wszystkie prawie służyły za skład jakiś: i tak jedna zapełniona była materiałami potrzebnymi do stolarki, ślusarki, szewstwa, krawiectwa, w drugiej złożone były stósowne do różnych rzemiośł narzędzia, jako to siekiery, heble, piłki; w dalszych mieściła się śpiżarnia, składała się ona z owoców, nabiału przyprawnego, suchych ryb, wędzonych mięs, jarzyn, chleba, i tym podobnej żywności. O ile opisane miały pozór powszedni, o tyle zajęła mię ostatnia. Leżała ona po prawej ręce miejsca zasłoniętego proporcami, pod oknem do pierwszego podobnem, odpowiadając bibliotece. Miała kształt półokrągły; wysłana była mchem, jak cała pieczara, tylko nierównie ozdobniej i smakowicięj, a na tło mehu rozrzucono konchy, muszle, świecące kamyki, szkła różnokolorowe, robaczki o błyszczących skrzydełkach i tym podobne. Głównie jednak przyozdabiała ją okrągłe lustro: zrównoważony przyływ i odpływ wody utrzymywał je w stanie wiecznego wygładzenia; dodawało mu blasku okno jakby umyślnie na to wyrobione, ożywiał zaś lekki podziemny szelest,

który szeptał o tajemniczych drogach jej nurtów, a nie klócił bynajmniej spokoju powierzchni. Musiała to być godowa izba Machnickiego, gdyż u dołu całej ściany wystawało półkolem kamienne siedzenie, a siedzenia dotykał stolik umieszczony, jak raz na jego połowie: w tej chwili stało na nim śniadanie, do którego właśnie mię wezwano. Wprawdzie dostarczyła go tylko śpizarnia Machnickiego; nie było tam nic więcej oprócz sera, masła, owoców, mięs wędzonych i chleba, a za cały napój woda pod bokiem stojąca, ale potrzebowałem jakiegokolwiek pokarmu, spotkałem się z nim w tak dziwnym miejscu i położeniu, zawezwano mię z taką serdecznością, że w całym życiu nie pamiętam chwili jedzenia przyjemniej spędzonej. Mógłbym oddać się zupełnie tej przyjemności, bo uprzejmy gospodarz wziął na siebie wszystkie niedogodności podobnej we dwóch biesiady, nawet rozmowę: przedmiot jej sam się nastęczał.

» Skromny posiłek, « mówił on, » skromny, a nawet lichy, to prawda; ale królewski, wysoce królewski. Komuż przystoi bardziej żyć podobnie, jeżeli nie królowi, jeżeli nie takiemu jak ja człowiekowi, który z wysokości swojego stanowiska ogarnia, a przynajmniej powinien ogarniać miliony biedaków, widzieć wszystkie ich potrzeby, czuć wszystkie nędze. O tak! niech mi się w truciznę zamieni pierwszy kąsek, który pożyję bez koniecz-

cznej potrzeby; niech mój żołądek na wieki się zamknie, jak tylko zażąda zbytkowego pokarmu. Jem tylko tyle, abym żył, tylko tyle, w całym znaczeniu tego wyrazu. Zresztą odwykłem od waszych przyprawnych potraw. Zginąłbym, gdybym zechciał żyć po waszemu. Zaszedłem z przyrodą tak daleko, w tak bezpośrednie stosunki, że jużbym nie mógł przენiewierzyć się jej bezkarnie. Grzeszę jednak czasami, ale Bóg świadkiem, że mimowolnie. Kiedy niekiedy muszę zamieszać się pomiędzy ludzi, bo zwykle całe zimy pomiędzy nimi przepędzam, dla spraw mojego królestwa, a wówczas rad nierad muszę zastosować się, choć w części, do ich sposobu życia. O! gdybyś wiedział, jak drogo muszę opłacać te wykroczenia; ciężko pokutuję za nie. Pomi-jam choroby, tortury ciała; ale umysł, serce, dusza, wszystko idzie pod chłostę, umysł gaśnie, serce stygnie, dusza wpada w jakiś dziwny zawrót, opuszcza mię cała moja królewskość; nieraz jestem już bliski zostać jednym z waszych rozsądnych. Dzięki Bogu, że to wszystko trwa pewny czas tylko; pokuta przemija, jednam się z przyrodą, państwo wraca do posłuszeństwa, i jestem znowu królem jak byłem. Ale o to mniejsza. Jakże znajdujesz moje królewskie mieszkanie? «

» Prześliczne! « odpowiedziałem bez namysłu —
» dziwne! tak poetyczne, że opis jego może się wydać zmyśleniem; jednem słowem godne całego państwa

stwa i jego władzcy. A uwielbieniu temu równa się ciekawość! . . . »

»Rozumiem, « przerwał Machnicki, »chciałś wiedzieć, z kąd się ono poczęło i jak przyszło do tego stanu? — Będziesz to wiedział w swoim czasie; przebacz, że nie zaraz. Powieść za długa, a rzecz ważna, jedna ze świętych dla mnie tajemnic; ubliżyłbym jej, gdybym ją wyłożył na stół zamiast wetów. Żeby ją godnie opowiedzieć i usłyszeć, potrzeba stósowniejszego miejsca i pory niż chwila jedzenia i stół zastawiony jadłem. Ułatwimy się wprzód z jednem. «

Niebezpieczeństwo byłoby niewczesne i bezskuteczne; poszedłem więc w milczeniu za radą gospodarza; wiedziałem nadto, że nie stracę na tém, jeśli mu zostawię zupełną swobodę postępowania. Skłonność wywnętrzenia się posuwała się w Machnickim aż do namiętności, aż do słabości: podawał się jej tém swobodniej, z tém większą rokoszą, im powolniejszego znajdował słuchacza; wtedy powiedział więcej, niżby chciał powiedzieć. Powinienem jeszcze wyznać, że rozmowa jego bynajmniej mię nie nużyła; przeciwnie miała szczególniejszy urok. Tyle tam było życia w głosie, tyle uczucia w każdym ruchu, tyle duszy w całej postawie, tyle wzniosłej fantazyi w pomysłach, tyle trafnego sądu w uwagach, w ogóle taka logiczność, ma się rozumieć logiczność właściwa stanowisku, z którego na wszystko zapatrywał się

Machnicki, tyle prawdy i pożytecznej nauki w głębi jego obłąkania, pod dziwaczną barwą panującej myśli, w samej tej myśli coś tak niepospolitego, coś tak rzewnego, że porwany wirem improwizacyi, zapominałem o królu zamczyska, o obłąkańcu, a wchodziłem mimowolnie w stan człowieka, który czyta piękną fantastyczną powieść, lub patrzy na przedstawę jakiejś fantastycznej sceny.

Znajdywałem się właśnie w podobnym stanie, kiedy Machnicki po krótkim milczeniu znowu tak zaczął z uśmiechem zadowolenia, że znalazłem jego mieszkanie, jak sobie życzył:

»Przyznajesz więc, że mój pałac jest prawdziwie królewski. Spodziewałem się tego, bo wiem, że patrzysz okiem duszy niepospolitej. Ale dotąd widzisz tylko ciało; nabierze ono większej wartości, kiedy ci odsłonię jego duszę, bo w każdej rzeczy dusza jest wszystkim. Ztąd zwyczajni ludzie w ciągłym są złudzeniu, że z powierzchowności tylko sądzą. Któryż z nich wejrzawszy na górę zamczyska, domyśli się miejsca, w którym oto jesteśmy, i życia, które tu w tej chwili panuje?

»Zmyślenie! bajka! zawołałoby, gdybyś im o tém powiadał. Sami jednak wiecznie tworzą kłamstwa i wierzą kłamstwom. Naprzykład na karb tego zamku i jego króla, Bóg nie wie, co plotą; a wszystko tak prozaiczne, drobne, nikczemne. W niczem śladu, w niczem promyka wielkiej myśli.

»Koniec końców, zamek dla nich to tylko budynek kilkuwiekowy, dzisiaj gruzy na nic nie przydatne, chyba na materyał do jakiej gorzelni. Machnicki? ot sobie waryat, ale nic więcej, i zamykają usta spokojni, jak żeby największą prawdę powiedzieli. Nie lepsze od nich kroniki, a przynajmniej mało co lepsze. Co to za nędza te wszystkie kroniki! wierzyłem im kiedyś; mam je dotąd jeszcze, ale dzisiaj nie wierzę. Prawda, trzeba było cudu, żeby mi się oczy otwały, ale się otwały: jestem dziś w samym źródle prawdy. Spytaj kronik o początkach tego zamku? odpowiedzą ci: o, dawny! kilka już wieków stoi. Nie wiedzą nic o tém, że on trwa od potopu. Ziarno jego przyplęnęło z wodami potopu, z raję; spoczęło w tej pieczarze, przebiło swoim kielkiem skały i wyrosło w zamek. Z czasem, z czasem zamek praojciec rozpuścił swoje korzenie podziemne, Bóg wie, jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody; Bóg wie, jakie zamki powstały z jego odrośli, warszawski, krakowski, gnieźnieński i krocie innych, i Bóg wie jakie jeszcze powstaną; ale to tylko odrośle; główny ich korzeń tutaj, tutaj kołyska ich dziejów.

»Zdziwisz się, kiedy ci powiem z pewnością, że tutaj mieszkali wszyscy królowie od pierwszego aż do mnie, owe Lechy, Krakusy, którzy nie byli ani takimi Lechami i Krakusami, jak nam kroniki przedstawiają, i żyli nierównie dawniej, niż pamięć

naszych kronik zasięga. Tu miały miejsce najważniejsze wypadki naszych dziejów. Chwile najwznioślejsze, najrzowniejsze, najokropniejsze naszego życia, mają tu swoje groby i pomniki: mówię o tych, które dziejopisowie z łaski swojej zanotowali, a dopieroż te, o których nie zasłyszeli, których ani się domyślali! I nie mogli zrobić lepiej, bo nie znali tego miejsca, nie żyli w niem, nie spoiłi się z niem duszą; a tylko tutaj mogli czerpać wiadomość całej przeszłości, bo tu jest jądro naszego życia.

»Powiadam ci: nie ma tu ptaka, któryby o tej przeszłości nie śpiewał; nie ma wiatru, któryby nie wdychał jej smutkiem; nie ma kropli rosy, którąby jej łzą nie była; zapytaj każdego cienia chmury, co się po tych gruzach przesuwa, każdego tententu ilekroć nogę postawisz, zapytaj tej wody, co tam wiecznie szepce, a usłyszysz taką powieść, jakiej żaden pisarz dotąd nie wymyślił i wymyślić nie zdoła; trzeba tylko umieć zapytać i słuchać.

»Ten orzeł, co go widzisz nad proporcami, to pierwszy orzeł biały, co się wznosił nad tą ziemią; on jeden opowie ci całe jej życie.

»Dla tego to osiadłem i zamknąłem się tutaj. Aby ratować życie, trzeba zejść do jego źródła.«

»Wyobraź sobie moją rozpacz, moją wściekłość, kiedy przyjdę do szlachcica i mówię: mój panie, zamek coraz bardziej niszczeje! — a on mi odpowiada: prawda! ale to takim tonem, jak żeby

przyświadczał, że słońce świeci, albo deszcz pada, a myślał o czem inném. Zniecierpliwiony wołam: zamek upada, powtarzam panu; trzeba go ratować wszelkimi siłami, jak najprędzej; on zaś na to: nie warto zachodu. Czasem zrobi uwagę, że będzie ładny las w tém miejscu, albo zacnie ubolewać: co za szkoda, że tyle gruzów, byłby kawał roli i kilka kop zboża.

»Obląkani! głową i sercem! chcieliby wszędzie widzieć swoje liche budowy, swoje warsztaty, swoje zboże. Nie wiedzą o tém, że są miejsca na ziemi, którym jedynie przeznaczono wydawać myśl, pożywienie dusz, milionów: obróć je na użytek pojedynczego ciała, a będziesz winny świętokradztwa, popełnisz zabójstwo na duszy narodu. Ale do tego nie przyjdzie. Od czegoż byłbym królem? O! dopóki żyję, nie przyjdzie do tego. Oprę się całą potęgą mojej duszy i duszy zamku. Z ziemią, z powłoką mogą zrobić, co się im podoba; mają przymoc, ale nie dotkną życia, przechowam je, ocalę, oddam w ręce pewne, w silniejsze od moich, a wtedy biada, biada samolubom i zdrajcom!«

Nagle umilkł; pierś jego robiła silném wzburzeniem, w oczach gorzał ogień rozplamionej duszy; marszczki czoła połamały się w tajemnicze charaktery groźby; nie widziałem jeszcze podobnego wyrazu w jego twarzy, w niczyjój może twarzy nie widziałem dotąd wyrazu oburzenia, któryby obok

tego łączył w sobie tyle dzikiéj energii i wzniosłości; udałem jednak, że uniesienie to uszło mojej baczności i mniemałem ulżyć jemu, zwracając rozmowę do innego przedmiotu.

»Co za szkoda,« rzekłem, »że wszystko, co tu widzę, co słyszę, czego zresztą wolno mi domyślać się, pozostanie może na zawsze w twojej tylko duszy, zacny panie Machnicki, albo zagaśnie w cieniach twojego podziemia. A tymczasem wiadomość tych dziwów, tych dziejów, o których mi napomknaleś, mogłaby przynieść światu wiele korzyści, kto wie, czy nawet nie jest mu konieczna. Człowiek człowiekowi, pokolenie pokoleniu zdają swoje prace; tym tylko sposobem dokonywają się wielkie dzieła. Szkoda więc byłaby, żebyś zeszedł bez następcy, i bez zostawienia śladu twojej pracy i twoich wiadomości.«

Niewinny mój wybieg udał mi się; téjże chwili postrzegłem w Machnickim zmianę, jakiej pragnąłem, burza uczuć ustąpiła z twarzy, została tylko po niej pewna uroczystość; z tą uroczyością słuchał mię cierpliwie, i odpowiedział skoro mówić przestałem:

»Obawa twoja chwalebna, ale w tym razie próżna. Następcą, mój następcą opatrność go wynajdzie, jak mnie wynalazła. Praca też moja nie przejdzie bez śladu. Przekonam cię natychmiast.«

Prowadził mię ku stolikowi, na którym leżała uważana już przezemnie ogromna księga.

»W tej księdze,« rzekł, »wszystko znajdzie ten, kto będzie powołany kończyć moje roboty. Są tu dzieje moje, dzieje państwa, cała jego przeszłość i stan obecny; jest tu wątek wszystkich spraw jego, prawodawstwo, polityka, proroctwa nawet, zgola wszystka mądrość mojego państwa. Nieomylny to przewodnik królów zamczyska. Nie sądź, że przywiązuję do tej księgi większą wagę niż warta, że to jest księga zwyczajna, zwyczajnie pisana. Nie sądź tak. Pisała ją pióro anioła, pod natchnieniem anioła tego zamku, który wiecznie stoi nad nim i świeci jak południe; wszystko téż w mojej księdze jasne jak południe, święte jak anioł, prawdziwe jak jego obecność w tych miejscach.

»Czyja zaś ręka pisała? czasem moja, nie zawsze moja, a często mnie nawet niewiadoma. Oto masz dowód.«

Przerzucił kilkanaście kart i pokazał mi w samej rzeczy kilka charakterów całkiem odmiennych, jak żeby inną ręką pisanych, co jednak łatwo sobie wytłumaczyć bez uciekania się do nadzwyczajnych przyczyn, że obląkaniec z tak silną wyobraźnią, zdolny był w gwałtowniejszych przystępach swojej choroby, albo całkiem utracić świadomość siebie, albo uważać się za osobę, której rolę przybrać mu się podobało.

»Na tém nie koniec!« mówił dalej, »dam ci jeszcze ważniejszy dowód, że myślę o przyszłości mojego państwa, i nie chcę zamknąć w sobie samym jego tajemnic. Przystąpimy więc do najważniejszego obrzędu.

»Dotąd byliśmy z sobą jak gospodarz z gościem, jak prywatny z prywatnym; czas już, abys mię obaczył w całej ozdobie królewskiej, poznał ostatecznie Króla Zamczyska. Nie myśl, żeby mnie do tego pobudzało proste przywidzenie; o nie! mam ci objawić takie rzeczy, których mi nie wolno objawić tylko z mojego tronu, pod zasłoną królewskiej powagi, a może i pod bodźcem królewskich cierpień. Pamiętaj nadewszystko, że tym czynem dowodzę ci nadzwyczajnego zaufania. Pewny jestem, że mnie nie zawiedziesz. Rozstańmy się teraz na chwilę. Przez ten czas masz wolność przepatrywać moją kronikę. Nie dziw się, jeżeli za długo zostawię cię w oczekiwaniu. Są pewne obrzędy przygotowawcze, bez których dopełnienia nie wolno mi dawać uroczystego posłuchania.«

To rzekłszy, skinął ręką na pożegnanie i wszedł pod zasłonę proporców, a ja zacząłem przezierać zostawioną mi księgę.

V.

Historia Machnickiego.

Korzystając ze względów Machnickiego, starałem się przejrzeć jego kronikę w czasie jak można było najkrótszym; byłem prawie pewny, że niedługo zostawi mnie sam na sam, przeleciałem ją więc raczej oczami aniżeli czytałem. Mimo tego pośpiechu, udało mi się zatrzymać uwagę w kilku miejscach i powziąć z nich wyobrażenie o duchu całości.

Dziwna to była księga; dziwna, jak stan umysłowy jej twórcy. Taż mieszanina co w rozmowie logiczności i bezładu, głębokiej filozofii i obłąkania, wniosków najsurowszej rozważli i zapędów rozkiełzanej wyobraźni, cierpień urojonych i rzeczywistych, wiary w nadzwyczajne powołanie, gorzkich wyrzekań na świat społeczny, przeczuć, widzeń, procektw: często wzniosła, nieraz mądra, poezya ubarwiona wszędzie, cała jednak nie była niczem więcej, jak igraszką wyobraźni, obracała się głównie

na jednem przywidzeniu, i z niego rozwijała świat zarzeczywisty, życie w sferach urojenia: zład ciemna po większej części, niepojęta dla umysłów niewtajemniczonych. Głównym jej przedmiotem były sprawy państwa, porządkiem dziennym zapisywane: znalazłeś tam prawa, postanowienia, urzędnia, protokoly narad gabinetowych, stosunki z innemi podobnego rodzaju mocarstwami, wojny, przymierza, traktaty; obok nich czytałeś sprawy dotyczące osoby Machnickiego, jego pożycia codziennego z ludźmi, z przyrodą; z tego względu był to rodzaj dziennika, który obejmował najdrobniejsze szczegóły życia, najmniejszą czynność myśli, przygody, uwagi wszelkiego rodzaju, pomysły, marzenia, powiastki, wszystkie prawie z niezwykajnych źródeł, i dotyczące przeszłości królestwa, nawet poezye. Ale klucz do zrozumienia wszystkiego miał tylko Machnicki. Była to kronika świata, który on sam sobie stworzył z żywiołów jemu tylko wiadomych, i zaludnił istotami, którym, jak pierwszy człowiek, nadał swoje nazwiska. Weszło w ten świat wszystko, co należało do obrębu zamczyska, dało się przeczuć w jego głębiach, lub miało z niem bezpośrednią styczność: ziemia, woda, skały, kwiaty, murawa, samo powietrze, wszystkie przypadłości światła i cienia, pogody i niepogody. Wszystko aż do kropli rosy zwało się, żyło, miało swój stosunek z całością, swoje w niej posłannictwo: wszystko związane

było w ogół kraju i narodu. Ten kraj rozdrobniony był na podrzędne podziały; nieraz jeden głaz, jedno drzewo, stanowiły prowincyą. Pory roku, niebieskie światła, zmiany powietrza, występowały tam jak mocarstwa przyjazne państwa Machnickiego, miały swoje nazwiska, prowadziły z nim wojny mrozem, skwarem, niepogodą, staczały bitwy wichrami, burzami, piorunami. Kości, szkielety, składały wojsko państwa i dwór królewski. Cokolwiek mogło jakiś dźwięk wydać, śpiewało mu jak muzyk, jak poeta, rozmawiało z nim; dostrzegłem w kronice nie jedną pieśń, przepisanej z ust skowronka, kruka lub skrzypiącego drzewa, nie jedną powieść, którą wygadał jakiś wiatr wzdychający samotnie wśród gruzów, jakieś źródelko szepezące z kamykami: a ten wiatr, to źródło opisane było we wcieleniu fantastyczném, wymienione po imieniu. Co tylko poeta zdoła wymarzyć najniwyraźniej, Machnicki odział to w kształty, ożywił, związał w jeden ogół, zamienił w świat rzeczywisty dla siebie i w ruch działania puścił. Takiego tylko mogłem nabyć pojęcia owę kronikę; raz że miałem przed sobą tylko tom piąty, potem, że go przebiegałem z wielkim pośpiechem, nakoniec, że jeszcze i w tém tak pośpieszném czytaniu miałem roztargnienie. Przyczyną mojego roztargnienia była dziwna scena za proporcami, widać scena wstępna do posłuchania. Dotąd nie umiem jęj sobie wytłumaczyć, ale słyszałem to

głośną rozmowę Machnickiego, to jęki jego przytłumione, to loskot jakby bicowania się, to brzęk licznych dzwonek, przeplatane długą głęboką ciszą.

Nagle rozsunęły się proporce i odsłoniły wnętrze framugi nieznanęj mi dotąd. Ściana jęj była czémś czarném powleczone; w głębi, przy samej ścianie, na prost otworu, stał krzyż czerwony takiej wielkości, że końcami ramion dosięgał ścian pobocznych, a wierzchołkiem okna, mającego tenże kształt co dwa powyżęj opisane i umieszczonego na tęże samej wysokości. Na środku było podniesienie z wielkich głazów, gdzie stało obszerne krzesło, powleczone gdańską skórą, z ledwo dojrzanemi śladami złocistych wzorów, przed krzesłem stał niewielki stolik, na nim leżał kosztur niezgrabnie wyrobiony i różga brzożowa, po obu stronach stolika dwa krzesła mniejsze, a wszystko w smaku sprzętów, jakie dziś jeszcze widzieć można po starych naszych zamkach.

Machnicki stał między stolikiem a wielkim krzesłem. Odziany był suknią zrobioną krojem hiszpańskim z latek rozmaitej barwy; na głowie miał czapkę z podobnych latek, okrągłą, śpiczastą, ubraną w błyskotki i dzwonki, krótko mówiąc, taką jaką dawniej trefnisie nosili; nadto otaczał ją na czole uwiedły wieniec z gałązek dzikiej róży. Nie mniejszą zmianę jak w stroju, postrzegłem w Machni-

ckiego obliczu. Pogodne przedtém, dobroduszne, przybrało teraz jakiś dziki wyraz gniewu, ponuręj surowości, wewnętrznego cierpienia, a nawet obłąkania wyraźniejszego jak zawsze. Ubiór zapewne niemało przyczynił się do téj zmiany, ale po większej części wychodziła ona z wewnątrz. Przykrém, niewysłowioném uczuciem przejął mię ten widok. Krzesło tak przytykało do samego krzyża, że stojący w téj chwili Machnicki wydawał się, jakby spoczywał na krzyżu, Był to widok zarazem dzikomalowniczy i pełny jakiejś bolesnej tajemniczości, zwłaszcza kiedy dodamy strój osoby i czarne tło całego obrazu.

Dał znak ręką abym się zbliżył i przemówił głosem zrazu uroczystym, ale widocznie przytłumionym, który w końcu zamienił się w ton szyderyczy:

»Otoż nakoniec widzisz Króla Zamczyska! Widzisz go w całym przepychu królewskiego majestatu, w całej nagości.

»Oto jest purpura! to korona, a tu berło! Patrz! ażalż nie królewski? Patrz więc i śmieję się!«

To mówiąc, zaśmiał się śmiechem tak dzikim, jak tylko być może najbardziej wymuszony z bolejącej piersi, rzucił się na krzesło całym ciężarem ciała, kręcił się po nim jakiś czas, porwał miotkę, zgrzytnął, uderzył się nią po wieńcu, jęknął głęboko, ale w téjże chwili zaczął się uspokajać, jak żeby przychodził do upamiętania, i utkwiał we

mnie wzrok więcej zdziwiony jak obłąkany, widocznie spokojniejszy.

»Jak to! ty się nie śmiejesz?« mówił znowu powoli, powtórzył to samo i ucichł — »a toż przecię purpura królewska, ten serdak trefnisia; a ta korona? któżby w niej poznał koronę Chrobrych? Co za hańba? co za hańba!« — zasłonił oczy ręką, z pod ręki wytoczyło się kilka łez. Odsłonił oczy, a na twarzy nic już nie było oprócz głębokiego rozrzewnienia.

»Ale nie moja w tém wino, nie moja. Sam się przekonasz, kiedy ci opowiem. Dla tego wprowadziłem cię tutaj i wszystko odkryłem. Przyrzekłem ci posłuchanie królewskie: chcę spełnić moje przyrzeczenie. Siadaj i słuchaj.«

Usiadłem na kamieniu zewnątrz otworu framugi, a Machnicki od tych słów zaczął swoją powieść:

»Podniosłem ci nie jedną zasłonę moich tajemnic, muszę teraz powiedzieć ostatnie ich słowo. Leży w niém cała historia mojego życia. Wyspowiadam się przed tobą jak dotąd przed nikim, jak zapewne przed nikim już spowiadać się nie będę. A robię to nie z samęj potrzeby mojego serca, ale dla korzyści mojego państwa, dla dobra czyjogoś, choć on dotąd niegodny; zresztą, Bóg z nim; nie mnie dano sądzić go ostatecznie. Słuchaj więc moję powieści. Będzie ona długa, może nieporządna,

jednak nie przerywaj. Nie przerywaj mi, choćbym według ciebie najnieznośniej bredził. — Nie ostrzegaj mię. Mam ja w głowie ciąg myśli mnie właściwy: tego pasma nigdy się nie puszcę. Zresztą jest coś co mnie ostrzeże, i dotknął ręką swojego korpaka. «

Przestawszy w tém miejscu, zamyślił się, spuścił czoło, zaczął być niespokojnym, widocznie szukał myśli, nareszcie poprawił się w krześle i mówił:

» O! ten początek zawsze mi najcięższy. Najtrudniej mi przenieść się w tę powszednią przeszłość, schwycić koniec jej nitki najtrudniej. Jest ona dla mnie jak sen coraz niewyraźniejszy; ale mam ją wreszcie.

» Trzeba ci wiedzieć, że i ja byłem kiedyś człowiekiem jak wszyscy ludzie: mężem, ojcem, sąsiadem, szlachcicem, dobrym nawet urzędnikiem; po całych dniach, a czasem i nocach siedziałem nad rachunkami. Ja myślę, że to był sen tylko: dzisiaj nie potrafiłbym najprostszego dodania. Ale wtedy! o! wtedy nie wołano jak dzisiaj, gdzie się obrócić: waryat! waryat! nie patrzano z litością, z szyderskim uśmiechem jak na waryata, jak dzisiaj. Miałem rozum, bo byłem waryatem jak wszyscy ludzie, nie mniej, nie więcej, nie odróżniałem się od nich, uchodziłem więc za porządnie rozumnego. Wszakże powinienem oddać sobie tę sprawiedliwość, że wiecznie nosiłem w sobie zaród mojej wielkości i przeczuwałem ją i dążyłem ku niej, chociaż bardzo po-

woli z początku. Jakiś pociąg osobliwy, niepojęty mi dawniej, przywleczywał mię do tych murów od niepamiętnych czasów. Było to coś naksztalt przeczcucia miłości, a potem . . . pierwszego jej objawienia się, a potem . . . zwaryowania z miłości. «

Wymawiał to powoli, z namyśleniem się, naostatku zadrzał, dzwonki zagrały, a on mówił dalej:

» Nasamprzód z daleka lubiłem patrzeć na zamek. Nie wyglądał on tak dziko jak teraz; stał prawie cały, prawie cały zamieszkały. Wieczorami błyszczały światła z jego okien, we dnie dymy snuły się z kominów; bramy odmykały się i zamykały; czekały psy, piału koguty; śpiewano, śmiano się, żył pełnem życiem obecności, a dla mnie . . . żył nado życiem przeszłym. Miałem już wówczas widzenia przeszłości, ale jeszcze ciemne; wystarczyło mi z daleka patrzeć na zamek. Tęskniłem jednak jak do największego szczęścia, żeby w nim mieszkać; i było coś co mi ciągle szeptało: będziesz w nim mieszkał.

» Zdarzyło się, że musiałem porzucić na jakiś czas te strony. To oddalenie dopiero przekonało mię, że byłem zakochany w zamku. Tęskniłem za nim, jak za kochanką. Co noc we śnie go widziałem, niekiedy za całym urokiem kobiecej piękności. Czy ty uwierzysz temu? «

I zamilkł z widoczną chęcią, abym odpowiedział.

„Dla czegoż niemiałbym uwierzyć?“ rzekłem. „Jakąż inna miłość, jeżeli niepodobna do téj, prowadzi tysiące na śmierć, dla ojczyzny naprzykład? odbiera spokojność, wesołość, rozum, życie? Tylko, że na pozór jęj przedmioty różne. Jeden ukochał swoje góry, drugi swoje wody, ten pałac, tamten chatkę; ale biorąc rzeczy głębiej, każdy z nich ukochał anioła, ducha swojego narodu, który mu przedstawia zmysłowo, niby w symbolu określonym, najstósowniej do jego usposobień i pojęć.“

W miarę jak mówiłem, Machnicki wyciągał rękę i przytwierdzał skinieniami, a kiedym skończył, uderzył w stół i zawołał:

„Mówisz zupełnie tak, jak ja czuję. Ale niestety!“ zawołał znowu po krótkim przestanku, „dla czegoż tylu jest, którzy nie czują tego ducha pod powłoką symbolu, i przywiązują się tylko ciałem do ciała. Kochają swój dom, bo ładnie zbudowany, dobrze opatrzony, wygodny, własny; kochają swoją wioskę, bo z jęj dochodów mogą dobrze jeść, pięknie się ubierać, wesołe życie prowadzić, robić w niej, co się podoba, i — mięko zasypiać; kochają swój kraj, bo kraj jest dla nich to samo, co wioska.“

„Nie taką miłością pokochałem ja zamek; Bóg mi świadkiem, nie taką; bo i cóż miałem z niego lub mieć mogę dla ciała? Pokochałem go, że w nim było tyle życia, tyle szczęścia dla wszystkich, a ludzie nazwali to obłąkaniem.“

Wzruszył się, dzwonki zagrały, to go uspokoiło, wrócił do powieści.

„Tęskniłem więc i coraz mocniej. Nie mogłem przemódz owęj tęsknoty, zwłaszcza, że przybył jęj w pomoc niepokój smutnego przeczucia. Urwałem liche interesa i wróciłem. Niedarmo tęskniłem, nie fałszywie przeczuwałem.“

„Zamek opustoszał, począł nawet upadać w niektórych częściach. Smutne, okropne wrażenie zrobił na mnie ten widok. Ale téż odtąd jeszcze mocniej zacząłem przywiązywać się do mojego zamku; zacząłem wchodzić z nim w znajomość jeszcze bliższą. Dusza coraz wyraźniej ku niemu lgnęła; przeznaczenie ciągnęło mię ku niemu coraz częściej. Po całych dniach przypatrywałem się jemu, całe nieraz noce w nim przepędzałem i nie miałem już ze strony ludzi żadnych przeszkód. W końcu zaznajomilem się z najskrytszym zakątkiem. A kiedy niemogłem być w nim, albo nań patrzeć, to miałem obraz jęgo w głowie, jak wyciśniony na mózgu. Z porządku rzeczy reszta świata poczęła mię coraz bardziej nudzić. Nie znajdowałem już rozrywki, tylko w książkach, a między książkami jedynie w starych kronikach. Czytanie kronik robiło na mnie skutek, jaki robi na zakochanym czytanie romansów. Każdy szczegół dziejów, każda chwala, każda klęska, zmierzały do mojego zamku, jak promienie do jednego ogniska. Cokolwiek było pię-

knego w przeszłości, to go ozdobiło; co było okropnego, to zawisło jak zasłona żaloby na jego wdziękach.

» Tym sposobem zamknąłem w nim całą przeszłość, całą przyszłość w nim uosobiłem. Ale miałem jeszcze rozum. Przynajmniej ludzie uważali mnie jeszcze za rozsądnego. Nie widzieli mojej duszy, wstydzili się ją odkryć. Czy uwierzylibyś temu, że się wstydzili mojego stanu duszy? Do tego stopnia byłem kiedyś powszedni, słaby, głupi. Co gorsza, wyrzucałem sobie nieraz to uczucie, walczyłem z niemi, chciałem je zniszczyć. Na szczęście moje, postanowienie to zapóźno mnie napadło. Jednak wdzięczny mu jestem, ono przyspieszyło chwilę stanowczą. Opowiem ci teraz ten wypadek najważniejszy w moim życiu, ten tryumf mojej królewskiej przyrody.

» Opanowała mnie właśnie jedna z chwil owego wahania się i głupiego postanowienia. Poszedłem za jej popędem i zabrałem się szczerze do moich urzędowych rachunków. Nie wiem, z kąd wydobyłem z siebie tyle siły; nie wiem jakim sposobem znalazły się jeszcze myśli nie podbite od mojej miłości, że na czas jakiś ustąpiła im zupełnie i zostawiła liczbom wolne pole. Interes urzędowy był pilny, praca trudna i długa. Przejąłem się całą ważnością mojego urzędu. Trzy dni i trzy nocy pracowałem, z małymi przerwami dla jedzenia i snu. Przez cały ten

czas liczbami tylko myślałem, tak, że w końcu wszystkie myśli zamieniły się w liczby; liczby układały mię do snu i budziły, na jawie jak we śnie, liczby latały przed oczyma, w którąkolwiek stronę oczy obróciłem. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem do koła siebie, oprócz przedmiotu mojego zatrudnienia. Aż w końcu . . . pamiętam całą scenę, jakby się powtarzała w tej chwili: odtąd wszystko już dobrze pamiętam. Było to trzeciej nocy, bardzo późno, może w godzinę po północy. W okna bił deszcz ze śniegiem i wiatr preraźliwie zawodził. Zresztą wewnątrz domu cicho, jak żeby wszystko umarło. Czułem wycieńczenie z pracy; zdawało się, że siły ostatnie mię opuszczają. Nie przestawałem jednak pisać, ale głoski i liczby wiły się po papierze, zrywały się z pod pióra, krążyły w oczach jak rój owadów; wiersze całe snuły się w różnych kierunkach, jak te wstążki ognia, kiedy dziecię rozżarzonem łuczywem w różne strony macha. Straciłem z oczu świecę, zgadywałem tylko jej palanie po nagłych, przykrych zmianach, to rażącego blasku w ciemności, to ciemności w blask. Naraz całe pisanie zerwało się z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczoł rozdrażnionych, obsypało mię całego, wgryzało się w oczy, dzwoniło w uszach, osiadało na mózgu. Chciałem się porwać, upadłem nazad na krzesło bez siły, w tej chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na

oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka.

»Był to tylko omdlenie? Wątpię. Utraciłem siłę, ale nie przytomność. Widziałem, co się dzieje, gdzie jestem. Czulem do koła siebie i przeraźliwą ciemność i martwą ciszę uspiętego domu; deszcz ze śniegiem bił w okna, wiatr przeraźliwie zawodził. Mimo to rozpływałem się duszą w niewymownie lubym stanie jakiejś spokojności, swobody, uciechy, o których dotąd nie miałem wyobrażenia. Cóżby to było? jak sądzisz?«

»Właśnie powiadają,« odezwałem się, »że zwykle podobne uczucie towarzyszy omdleniu z wolnego osłabienia.«

»Ale czy omdlenie może zostawić tak wyraźną pamięć przeszłości i wiedzę obecnego stanu tak zupełną? Czy można w omdleniu śnić tak jasno, żyć tak zwyczajnym życiem?«

Odpowiedziałem, że tego rozwiązać niepotrafię.

»I nie ma potrzeby, jak dla mnie łamać sobie nad tęp głowy,« mówił znowu Machnicki, »gdym jestem pewny, że ów stan był czems ważniejszym, jak zwyczajną słabością, jak omdleniem. Wiesz o tęp, że wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy. Ciekawa to była chwila, kiedym przechodził granicę dwóch czasów, dwóch bytów. Jak na dłoni ujrzałem całą moją przeszłość, objąłem ją jednem spojrzeniem, a całą przyszłość

w jednej tylko postaci, w postaci zamku, ale jakiego zamku!«

Zatrzymał się znowu, jak żeby się namyślał.

»Nie!« rzekł, »gdyby mi nawet wolno było odsłonić komukolwiek ten obraz, nie znalazłbym na to wyrazów w dzisiejszym naszym języku. Dostyc powiedzieć, że kiedy ujrzałem obok niego życie moje przeszłe, wszystkie jego prace, troski, żądania, nadzieje, plany: zaśmiałem się nad niem, jak nad niewinnem głupstwem, z całego serca. Ten śmiech rozległ się w mgnieniu oka tak do koła, z taką siłą, jak żeby cały świat sobą zapelnił, jak żeby mi odpowiedział śmiech całego świata.

»Ale nie była to radość. W tym śmiechu zaczęła się znowu moja przyszłość, moja wielkość, moja męczarnia. Bo różne są rodzaje cierpienia dla ludzi. Ten z za krat więzienia musi patrzeć na niebo wiecznie to samo dla złych i dobrych; tamten przykuty do taczki podziemnej roboty, dźwiga dzień i noc trupa myśli, której swoje życie poświęci; temu tortury łamią kości, nie mogąc złamać ducha, który sercem ogarnął; temu przeznaczono każdy śmiech nieprawości bolesną łzą odkupywać; ale są inni, których postawiono światu na cel, aby szyderski uśmiech przeszył w nich każdą myśl kochającą, każde uniesienie poświęcenia i nadto kazano im samym śmiać się z tego, co właśnie bóle śmierci przynosi. Cierpieć dla wszystkich i konać śród śmie-

chu wszystkich, a często własnego, to nie lżejsze od innych tortur.“

Dreszcz mimowolny całego ciała przerwał w tém miejscu Machnickiemu, ale zdaje się, że głos poruszonych dzwonek przywołał go do porządku, bo znowu natychmiast zaczął.

»Otóż, zaledwem się zaśmiał, kiedy usłyszałem do koła siebie niby jego echo, i dźwięk jak żeby wiatr gwałtowny zatrzęsł oknem. Otworzyłem oczy, zwróciłem się ku oknu i ujrzałem w niem wielką światłość, niby od pożaru, a w téj światłości postać ubraną, jak nam opisują ubiór dawnych trefnisiów, jak zresztą mnie dzisiaj widzisz, z małemi odmianami. Pojąłem wtedy, z kąd pochodził śmiech i dźwięk. Nie skończyłem jeszcze téj uwagi w duchu, kiedy postać dmuchnęła ku mnie po dłoni i znikła.

»Okno zamknęło się z nowym dźwiękiem, kiedy niekiedy zagwizdało wiatrem, jak coraz dalszym chychotem, a blask co bił przez nie, w téjże chwili zagaśł całkiem. I wszystko znowu jak było wprzódy. W całym domu cichość, po ścianach pluska dęszcz ze śniegiem, i świeca znów gore. Rzuciłem okiem na stół, widzę, na papierach czerwieni się jakiś listek; biorę go, zapisany; czytam bilecik:

»Panie Machnicki! zamek w niebezpieczeństwie. W tobie jednym jego nadzieja. Przybywaj jak mo-

żesz najprędzej. Czeka cię królestwo. Tylko spiesz się. Twój sługa i przyjaciel Stańczyk.

»»Ten list chowam dotychczas jako najdroższą pamiątkę nowego mojego życia. Jest to niejako dyploma mojej królewskości. Powinieneś go widzieć.“

To mówiąc, odemknął wiszący na jego piersiach medalion, kazał się zbliżyć i podał mi z uszanowaniem, nic innego, tylko uwiedły czerwony listek, stoczony w połowie przez owady. W pozostałych nitkach włókien, można było wprawdzie dostrzedz jakichś fantastycznych znaków, ale nie było żadnego podobieństwa do pisma. Czuł to zapewne sam Machnicki, gdyż się odezwał:

»»Pisanie to nie dla wszystkich. Trzeba być wtajemniczonym w moje państwo, żeby je odczytać; niemniej przeto pojętne dla mnie i drogie.“

Oświadczyłem zupełną wiarę w to, co mówi, oddałem listek napowrót, a on schowawszy go, tak dalej prowadził swoją powieść:

»»Treść listu przeraziła mię niewymownie. Pewny byłem, że w zamku pożar; wprowadziła mię na tę myśl, niezwykła jasność, którą przed chwilą widziałem. Nie rozmyślałem długo, nie wahałem się; wyskoczyłem przez okno, w pół rozebrany, jak byłem, i biegłem do zamku pomimo ciemności i słoty. Przybywam nakoniec, nie widzę żadnej zmiany, żadnego niebezpieczeństwa. Miałaby to

być figiel trefnisia? Chciałem się gniewać, chciałem zrazu natychmiast powrócić, ale bieg nadzwyczaj szybki wyczerpał ze mnie wszystkie siły. Nie mogłem dłużej ustać, mimowolnie padłem. W tej chwili zdało mi się, że ujrzal Stańczyka, skaczącego wierzchem murów, ze śmiechem djabelskim. To zgniewało mię do reszty. Postanowiłem zrobić figiel za figiel i nie ruszyć z miejsca, choćby mi tam przyszło umrzeć z głodu. I dotrzymałem. Dwa dni z zamku nie wychodziłem, dwa dni żadnego nie wziąłem posiłku. Osłabłem na śmierć. Na drugą noc zawlokłem się do baszty, i tam postanowiłem przyjąć, cokolwiek mię spotka. Snu nie miałem; gorączka coraz większa ciągle mię rozbudzała, marzyłem tylko, i dla tego widziałem wszystko, co się koło mnie działo. Widzieć nie mogłem już to dla ścian, już dla nocnych ciemności, słuchem jednak byłem ciągle śród dziwów owego czasu. Niewyraźnie prawda i może nie wszystko słyszałem, bo nieustające burze, wiatry, szum, ulewy, szalały jakby umyślnem zaklęciem wywołane; ale to, co słyszałem, mogłoby rozsadzić każde ucho. Jakieś gwary, krzyki, jęki, jakiś ruch i krzątanie się całych tłumów, to znowu tentent pojedynczych kroków, to na ziemi, to gdzieś pod ziemią; ale tego wypowiedzieć niepodobna, a jeszcze może niepodobniej w to uwierzyć. Mnie samemu zdawało się czasem, że w tém wszystkiem nie ma nic oprócz gwaru drzew, igraszki wiatrów, je-

dnem słowem, zjawisk powietrza, miotanego zwyczajną burzą; później dopiero przekonałem się, że to była rzeczywistość, której wtedy nie miałem jeszcze wyobrażenia. Tylko też pamięć na słowa listu pomogła mi przetrwać ów stan nieznośny. Wiły się one ciągle pomiędzy wszystkimi myślami, a w miarę tego, jak wracały uporniej, zamieniły się w wiarę, i w końcu zostały jedną myślą wyraźną, skupioną, potężną, która już wtedy zaczęła pokrzepiać moje siły moralne i podnosić ducha nad ciało. — Obojętnie począłem na śmierć patrzeć; byłbym już umarł z myślą królewską.

»Tak nadeszła chwila, która ostatecznie miała rozjaśnić, co dotąd było jakby niewyraźnem przecuciem. Spałem, czy nie spałem, tego dobrze nie wiem, kiedy mię coś gwałtownie za rękę targnęło. Otworzyłem oczy i ujrzalem przed sobą tę samą postać, którą w oknie widziałem, jednem słowem, Stańczyka. Trzymał w ręku latarnię, mocno był pomieszany, lży nawet w oczach. — Wstawaj — zawołał — i chodź czempredzej. Niemamy chwili do stracenia. Czeka cię posłuchanie królewskie. Za chwilę zostaniesz królem — Wstawaj!

»Na te słowa uczulem w sobie znowu dawne siły. Porwałem się równemi nogami; przebiegliśmy szybko dziedziniec zamkowy, kilka pokojów, i stanęliśmy w głównej zamkowej sali. Leży ona dziś w gruzach, oddawna. Później, przy sposobności

pokażę ci miejsce po niej. W sali uderzył mię widok nieznaną, niesłychany. Wyobraź sobie zebrań w jeden tłum wszystkich naszych monarchów, począwszy od nieznanego nawet dziejom: z żonami, z dziećmi, z całymi rodzinami, w koronach, w purpurach monarszych, w całym przepychu mocarzy namaszczonej najwyższą władzą, w promiennym blasku tyłu imion wiecznych, w czarodziejskim uroku piękności tyłu królowych. Martwe malowidło podobnego zgromadzenia, jużby ci wyrzuciło duszę z kolei zwyczajnego stanu, a dopiero widzieć to wszystko żywe. Nie dziw że można zwaryować po takim widzeniu, nie żal zwaryować, żeby mieć takie widzenie. Sam to przyznasz.

»» Wszakże mimo olśnienia od podobnego widoku, przelotny rzut oka wprowadził mię w niespokojne podziwienie, w stan żalu, pomieszanego z przerażeniem. Wszystko tam było w niezwykłym ruchu, na niektórych twarzach widziałeś rozpacz; ztąd odzywały się męską pierśią przekleństwa, tu słyszałeś łkania kobiet; inne modliły się, klęcząc i łamiąc ręce w milczeniu. Wyobraź sobie dom w pożarze, a mieszkańcy ratują co mogą i uciekają; albo jeszcze lepiej dom napadniony przez zbójców. Tak tam było w owęj chwili. Jeden tylko mąż zdawał się panować całemu temu nieładowi. Siedział on w głębi sali, na wielkim gładzie, z ponurą ale męską rezygnacją. — Uzbrojony był dawnym rycerskim

obyczajem od stóp do głowy. Przy nogach leżał szyszak otoczony koroną; opierał się na wielkiej szabli, a obok miotelka brzoźowa. Białe miał włosy, jak puch białego gołębia, a twarz podobną widywałem na obrazach Bolesława Chrobrego.

»» Ku niemu szliśmy prosto. Ukłąkłem mimowolnie przy jego kolanach, z uprzejmym wyrazem położył mi rękę na ramieniu, i pamiętam jak dzisiaj, w te mówił słowa:

» Wezwaliśmy cię, synu, w ważnej sprawie. Za chwilę porzucimy ten zamek, aby odtąd z innego świata już czuć nad nim. Cóż robić? Jednak nie rozpaczamy; pozwolono nam zostawić następcę takiego, jakim tylko ty być możesz. I ty nim będziesz, bo naszej miłości wszystko poświęciłeś; nawet swój rozum. Odtąd jesteś królem tego zameczyska.«

»» Zalałem się łzami uniesienia, chciałem ucałować nogi mówiącego; ale on kazał mi się podnieść i czekać skończenia obrządku koronacji. Tymczasem wymówił imię, którego ci nie powtórzę, bo jest pod klątwą wiecznego milczenia w moim państwie; a na to wezwanie wystąpił jeden z tłumu królewskiego, podobny strojem do Stańczyka i zbliżył się w głębokim upokorzeniu; na powtórny znak króla rycerza, zdjął z siebie cały ubiór i złożył go na ziemi. Król-patryarcha zarzucił mi na ramiona serdak, na głowę włożył czapkę i mówił:

»Oto jest królewski twój ubiór. Masz go w puściźnie po najbliższym twoim poprzedniku. Z tą szatą wkładam na ciebie wszystkie cierpienia hańby; zamień ją w purpurę chwały. W twoje serce zamkam całą boleść tej chwili, czoło namaszczać łzami, które do koła widzisz, ręce uzbrajam tą miotłąką mojej łaźni, będzie ona dla ciebie berłem i mieczem; a skronie twoje — mówił, zrywając gałąź rosnącej przy sobie dzikiej róży — opasuję tym wieńcem jak koroną, ażeby kolce jego nie dozwalały ci zasypiać na tronie. Twojem państwem te gruzy; twoją potęgą wielkość ich przeszłości zamieniona w boleść; twoje powołanie panować przez cierpienie wśród uciechy. Tym tylko sposobem dopełnisz królewskich powinności i zdasz twoje dziedzictwo godnemu następcy.

»Chciał jeszcze mówić, kiedy nagle odezwała się przeraźliwa trąba przed zamkiem; mnie się zdawało, że pastusza, ale się omyliłem, bo na jej odgłos zachmurzył się król-rycerz i zawołał:

»A więc i goniec z ostatnią wiadomością. Wszystko już skończone. Dzieci w drogę!«

»Do mnie zaś tyle jeszcze powiedział:

»Stańczyk wprowadzi cię na królestwo i jest na twoje rozkazy. Żegnaj nam Królu Zamczyska i panuj jak ci zaleciłem.«

»Ledwie mogłem dosłyszeć słów ostatnich, takie narzekania podniosły się w odchodzącym orszaku.

Za chwilę straciłem wszystkich z oczu. Wybiegłem w ich ślady za obręb zamku. Jakiś czas zdawało mi się, że ich widzę, że słyszę bolesne ich pożegnania. Może i tak było, ale wkrótce w miejscu się pozostały tylko skały martwe, drzewa chwiejące się silnym wiatrem i różnogłose szum wichru. Okropna noc! mało pamiętam podobnych, a żadnej takiej.«

»Działo się to w roku 1815. Cały świat zajęły był rozprawami kongresowemi: nic dziwnego, że w tej nocy nie uważałem, a ja tymczasem królem zostałem i doświadczyłem pierwszej królewskiej boleści: część zamku upadła. Upadła wtedy właśnie, kiedy wybiegłem za nimi. Rozpoznałem jeszcze w skałach i drzewach oddalający się orszak, kiedy nagle zatrzęsa się ziemia, w głowie zadzwonił grzmot przeraźliwy, jak żeby piorun w ucho uderzył, a całe powietrze zabielało obłokiem pyłu tak gęstym, że ledwie mogłem oddychać.

»Długo nie mogłem kroku jednego naprzód postawić. Skoro wiatr przepędził cokolwiek kurzawę, wbiegłem wewnątrz zamku, kilka pokojów zniknęło pod gruzami. Zapłakałem, ale nie byłem winien. Tylko zacząłem panować. Od tego to czasu jestem królem. Sam teraz osądź, czy mam do tego prawo, czy jestem przywłaszczywcą, królem z przywidzenia, waryatem?

»Pierwszemu tobie tak się spowiadam. Z innymi ludźmi nie wdaję się w podobne rozmowy. Nigdyby

mię nie pojęli. Patrzą na ten zamek, a nie widzą czém on jest, jak coraz bardziej upada, a nie wiedzą co to znaczy; zginie zupełnie, a dla nich będzie to wszystko jedno. Ani głowy ani serca u nich. Cóż zrobić z takimi ludźmi?— Niekiedy dam im uczuć chłostę mojej miotelki; a oni biorą to za fantazją waryata. Do tego stopnia stracili sumienie, że nie czują nawet wstydu; śmieją się z własnej hańby, z własnej obelgi najkrwawszej, jaką człowiekowi wyrządzić można. Powiedzą tylko: Machnicki to złośliwy waryat! i na tém kończą. Bywa, że nie mogę się wstrzymać i wołam w żywe oczy: gdybyście wy mieli więcej czucia i pojęcia, Machnicki nie byłby dla was waryatem, oddalilibyście swój rozum za jego obląkanie. Ale te wszystkie przymówki, to groch na ścianę. Nie podobna też wyklądać wszystko jak na łopacie. Zresztą może być wyraźniejsze słowo, jak te gruzy? Jeżeli one nie mają dla nich znaczenia, czegoż mogę się spodziewać po brzęku słów moich?

»Podałem się więc wyrokóm i sam cały ciężar dźwigam. Sam, własną tylko myślą, podpieram te gruzy jak mogę. Ale są chwile, w których czuję, że upadnę wraz z niemi. One się powiększają z każdym rokiem, a myśl moja coraz słabsza, coraz bardziej ugina się pod ich ogromem. Każdy kamień pada na nią i robi w niej szczerbę: coraz mocniej cierpię, a coraz mniej jestem w stanie zaradzić

złemu. Takie jest moje panowanie, taka moja królewskość!«

Posepnie zwiesił głowę i milczał, nagle wstrząsnął dzwonekami, popatrzył w około, jakby przychodził do siebie po śnie przykrym, twarz jego wygładziła się uroczystą powagą, w oczach osiadła duma władzy, wyciągnął prawą rękę jak do rozkazywania:

»Nie,« zawołał, »nie upadnę ja tak łatwo. Jestem jeszcze królem. Cierpię wprawdzie, jak żaden król nie cierpiał; ale też używam, jak żaden król nie używał; wzniosłem się do najwyższej ludzkiej potęgi. Wszedłem w świat duchów, żyję z duchami, rozkazuję duchom. Dla mnie cała przeszłość jak obecna chwila. Przestrzeń tysiąca mil ogarniam jedném spojrzeniem. Dla mnie niema nic martwego w obrębie mojego królestwa. Położę rękę na głazie i czuję pod ręką bijące serce, drganie życia, poczynającego się w łonie kobiety. Dotknę się ustami listka! listek oddaje mi ogniste pocałowanie miłości; gałąź ścisła mię jak dziecko, gdy je matka pieści. Kiedy przechodzę między różami, róże uśmiechają się jak dziewice i rzucają mi swoje kwiaty pod nogi; murawa, jak tłum ludu uchyla głowy na mój widok. Każde źródło zaprasza mię do siebie i rozprawia mi o przeszłości nieskończone dzieje. Przed muzyką moich ptaków, które mię usypiają i budzą, niech milczą wszystkie muzyki, jakie są na świecie. Pojrzyj na te czaszki, kości,

szkielety, zbroje, głazy, to mój dwór żywy, wszystko to żywe.

»Kiedy strudzony kłopotami państwa, wchodzę tu na wytechnienie, wszystko to ożywia, garnie się do mnie. Zasiadamy w koło; stare kamienie dają mi rady, rycerze gotują broń do przyszłych bitew, orzeł mierzy oczami drogę do słońca, mam przed sobą całe życie przeszłości, i widzę na jej kolanach przyszłość, a dla niej zapominam o obecnej chwili, o obecnym świecie.

»Jestem król nad króle. Moje ziarnko rozrosło się kiedyś na świat cały. Dla tego tak głęboko skryłem się z niem pod ziemię. O! gdybyś ty wiedział wszystkie tajemnice tego pałacu.«

Korzystałem z kilku chwil milczenia, które po tych słowach nastąpiło i rzekłem:

»Tajemnice te nie są zapewne dla podobnych mnie; ale sądzę, że mi wolno wiedzieć, co to jest ta jaskinia, i jakim sposobem przyszedłeś pan do jej odkrycia?«

»Dziwne rzeczy! wszak prawda, że dziwne?« zawolał Machnicki. »Mogę jednakże dać jeszcze jeden dowód mojej dla ciebie uprzejmości, uchylić po części zasłonę tych jeszcze tajemnic. Słuchaj więc jak się to stało.«

VI.

Dalszy ciąg historii Machnickiego.

Nim przystąpimy do dalszego ciągu powieści Machnickiego, muszę tu zamieścić uwagę potrzebną, ażeby czytelnik lepiej schwycił charakter jego obłąkania, i nie kładł na mój karb wszystkiego, co go może razić w tém opowiadaniu. Dwa stany objawiały się w nim, ile razy mówił, zwłaszcza cokolwiek przydłużę. Czasem odbiegał głównej osnowy, jakał się, mieszał wyobrażenia, łapał wyrazy niewłaściwe, wpadał w powszedniość prozaiczną; było to wtedy, kiedy satyryczna wycieczka do obecnych czasów i ludzi sprowadziła go z toru ulubionych marzeń, gorzki smutek wówczas związał niejako skrzydła jego fantazy, zaciemniał jej gwiazdę. Lecz kiedy gwałtem żaglami po zwyczajnym sobie poetycznym świecie, kiedy nie spotykał na drodze żadnego żywiołu, przeciwnego jemu, dusza jego wówczas była muzycznem narzędziem, doskonale wystrojo-

ném, myśl jedną pieśnią, a słowo, z boku rzucone, rozpoczynało tę muzykę z innego tonu, nie psuło harmonii ogółu.

W tém drugim usposobieniu właśnie się teraz znajdował. Odpowiedział więc na moje zapytanie, jak żeby odpowiedź jego była koniecznym ciągiem tego, co dotąd mówił, jak żeby nie słyszał nawet mojego zapytania.

„Byłem,“ rzekł, „zupełnie szczęśliwy. Wprowadzony przez Stańczyka na królestwo, postawiony przez niego u steru państwa, puściłem je w ruch dalszy. Ale sprawy te potrzebowały mojej wszechobecności; osiadłem więc na zamczysku, a stolicę założyłem w dwóch nietkniętych jeszcze od zniszczenia komnatach. Urządziłem je po królewsku. Zawiesiłem całe ściany ozdobami moich marzeń, obrazami dziejów, proroczymi zasłonami. Powietrze ich dyszało tylko życiem mojego świata. Kilkanaście lat, które w nich spędziłem, były jedną królewską ucztą. Myślałem, że tam skończę; pragnąłem skończyć. Ztamąd tak blisko było mi do raju: jeden krok tylko, a byłbym w raju.

„Inaczej się stało. Ostrzegło mnie o tém jakieś przeczucie. Dziwne sny, niepojęte widzenia, znaki na ziemi i na niebie, prześladowały mnie od jakiegoś czasu bez ustanku, zapowiadały jakąś nadzwyczajną, stanowczą zmianę w mojem życiu. Cze-

sto śród burzy, olbrzymia głowa jak chmura kładła się nad zamkiem i lizala gruzы ognistym językiem, jak błyskawicą; niekiedy wichry wrzucił we środek poczwarną sowę i płał jej skrzydła w mury; trzeba było widzieć, jak się po nich tłukła, aż cały zamek było wstrząsał, dopóki się nie wydobyła; trzeba było słyszeć jej wycie. W czasie piorunów dziwne jakieś jaszczurki, dłuższe od połozów, snuły się wzdłuż murów, a przez ich skórę przezroczystą ogień przesiał, jak żeby całe ogniem były napełnione. Codzień zjawiały się nowe jakieś gady, potwory. Słyszałeś zapewne, że w pewnych śmiertelnych chorobach ciało ludzkie już na kilka dni przed śmiercią zaczyna się rozkładać w obrzydliwe robactwo. Powiedziałbyś, że zamek był w podobnej chorobie. Przeczuwałem, bolałem, nie opuszczałem go jednak. W tym stanie doczekałem się września. Niedawno to było, kilka lat temu. Mijały już pierwsze dni jego. Dusza była coraz niespokojniejsza, zjawiska coraz groźniejsze. Ze świtem dnia jednego powstała niewidziana, niesłychana burza. Dwa dni trwała. Nie wychodziłem z zamku na chwilę. Żyłem w nim jak zwyczajnie; jak zwyczajnie układałem się do snu za nadejściem drugiej nocy. Łatwo usnąłem, posłyszałem dziwne, przeraźliwe głosy i wołanie: uciekaj! uciekaj! Obudziłem się i postrzegłem Stańczyka. Szarpał mię za rękę i wołał! chódź! chódź ze mną. Nie możesz tu dłużej zostać! — Dla

czego? — zapytałem. — Za chwilę gruzy spać tu będą.

»» Ścisnęło mi się serce, ale zawołałem:

»» Nie! nie pójdę. To moje królestwo, ja jego król! zginę z nim razem.

»» Na to Stańczyk odparł:

»» Ocalaj się, a ocalisz królestwo. Twoje państwo większe jak myślisz. Chodź tylko za mną.«

»» I wyciągnął mnie półgwałtem. Zaledwośmy wyszli, a moja stolica runęła. W moich oczach spuścił się na jej dach ptak olbrzymi, ognistym jak piorun wężykiem, widziałem to wyraźnie; słyszałem szum z jakim usiadł, przygniótł ją swoim ciężarem, okrył się obłokiem kurzawy ze startych gruzów i razem z nią zniknął.

»» Załamałem ręce, a Stańczyk zaśmiał się. Miałem już wybuchnąć najwścieklejszym gniewem.

»» No, no, uspokój się — rzekł do mnie z najzimniejszą krwią. Aby dusza była, znajdzie się ciało. I czegoż tu rozpaczać? Widok wprawdzie bolesny, ale nie powód do rozpacy. Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź: pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa o ile jest nad ziemią, niezabezpieczysz przeciw zepsuciu; ale pilnuj korzenia, tam życie. Dla tego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz, jak straciłeś. — Chodź za mną.«

»» I wskazał mi to podziemie. Z czasem przekonałem się, że słusznie mówił. Jestem znowu królem, ale większym, potężniejszym, jak kiedykolwiek byłem. Prawdziwe to ziarno mojego państwa. Gdziekolwiek znajdę jego okruszynę, podnoszę ją troskliwie i składam tutaj, tym sposobem powoli zbierałem i skupiłem całe jego życie.

»» W końcu przyzwyczaiłem wszystkich poddanych do nowej stolicy. Żyję pod ziemią takim królem, jak żyłem na ziemi. Sam prawie własną pracą ubrałem to miejsce, jak widzisz. Zyskałem i to jeszcze, że jestem bezpieczny od ciekawych ludzi. Ten odsłonięty bok jaskini, tak wysoko wznosi się nad dolinę i tak jest niedostępny, że z tej strony ptaszemi tylko skrzydłami możnaby dolecieć do mnie. Te okna wyglądają na zewnątrz, jak nora sowy: nikomu na myśl nie przyjdzie, żeby mogło przez nie wyglądać ludzkie oko. Mam źródło niewyczerpane, mam zapas jedzenia dostateczny, podziemnymi przechodami mogę dojść w różne strony, Bóg wie jak daleko. Niemi to rozpuszczam powoli życie powierzonego mi ziarnka, piszę kronikę i czekam spokojnie kresu moich rządów.

»» Tak! spokojnie umrę. Robię swoje i zrobię. Mniejsza o to, że dla świata jestem waryatem. Wolę to, niż być niepotrzebnym, niż być kamieniem. Ale i kamienie same nie są martwe. Przyjdź tylko z pełnym sercem do niego, to i on da ci swoje uczucie.

I on ma przeszłość, życie; nie schodzi ze swojej drogi, wypełnia co mu przeznaczono: a między ludźmi są zimniejsi, nieczulsi, niepożyteczniejsi jak kamień. Pochłonęli, strawili przeszłość, a przyszłości nie dadzą jednego tchnienia. Wszystko dla nich, nie drugim od nich. Rozbiorą ci starożytną budowę na progi do swoich nędznych lepianek, a nie przyłożą się do nowej, wspólnej, choćby jedną cegielką.

» Co nas to obchodzi? alboż nie mamy gdzie mieszkać?

» Wołaj do nich: ratujcie stary zamek, to pień, z którego wyrosły dzisiejsze wasze domy; bez niego nie byłoby tych waszych mieszkań, oni ci na to odpowiedzą:

» Albo my głupi leżę pod gruzy, żeby nas pogniotły.

» Nikczemnicy! nie byłoby gruzów, żebyście wcześniej byli pomyśleli o naprawie. Oni zawsze swoje: niech się wali, kiedy czas jego przyszedł. Niech się wali! . . .

» Czy wy myślicie, że będziecie na to patrzeć tak bezpiecznie, jak bezpiecznie patrzycie, kiedy pa-
jąk muchę dusi? Czy wy myślicie, że przeszłość, co go stawiała, nie myślała o przyszłości nic a nic? Wicie wy o tej tajemnicy pewnych budowniczych, którzy zakładają swoje budowy nie na martwym tylko kamieniu, ale poświęcają duchowi opiekuń-

czemu najdroższe czasem głowy. Otóż przeszłość budując, daje w zakład głowę przyszłości. Ten zamek na wasze głowy założony. Wy to będziecie kiedyś odpowiadać za byt jego. Nowemu czasowi potrzeba będzie tego miejsca na nowy budynek. Przyjdą robotnicy, zaczną uprzątać gruzy, będą je ciskać naokoło. Nie ufajcie w odległość. Jak widzisz górę zamkową, tak będą kiedyś lecieć i toczyć się z niej kamienie na wszystkie strony. Dostanie się od nich zarówno dalszym, jak i bliższym. Zrozumieją mię wtedy. Przyznają waryatowi rozum. Słowa waryata będą krążyły jak pieśń prorocza. Ale biada temu, kto lekceważy niemiłe sobie proroctwa i czeka niewierny z założonymi rękoma, aż je przyszłość rozwiąże.

» Przyszłość rozwiąże, tylko że drogo trzeba jej za to płacić. A jednak żal mi tych ludzi, wielki żal.

» Oni musieli ci inaczej o mnie nagadać, bo pewnie gadali; oni muszą mię uważać jak człowieka, który już nie ma nic wspólnego z ludźmi, najmniej-szego dla nich spólcucia. Nie wierz temu, oni się myślą. Powiadają ci, że codzień nad nimi płaczą, nawet śmiechem.

» Kiedy wejść pomiędzy nich; w takie n. p. zebranie, jakie było wczoraj, kiedy spojrzę na tę młodzież, na te kobiety, na te dzieci, kiedy widzę ich szczera wesołość, ich taką miłość dla siebie, nadzieje takie promienne, tyle przyszłego szczęścia

w marzeniach, a kiedy pomyślę sobie . . . «nagle stanął, jakby się postrzegł, że miał coś nadto okropnego powiedzieć, mimo to zmienił wyraz rozrzuwienia w wyraz dziwnie gorzkiego szyderstwa i równie z nagłą zawołał: »wtedy śmieję się im w oczy, bez żadnego względu. Niech sobie tłumaczą mój śmiech jak im się podoba. Wszystko mi jedno. Jest to może najwymowniejsze moje słowo. Jeżeli i tego jeszcze nie pojmują, nie moja wina. Wyraźnie ono dla ludzi, co mają czucie głębsze jak kołyska, wyższe jak powała sypialni, przestronniejsze jak gumno. Wyraźniejszego nie wolno mi użyć.«

Na tych słowach zeszła nowa scena, która mię wprawiła w mocne chwilowe zdumienie. Machnicki był w natężeniu uniesienia, jak w natężeniu ciekawości, kiedy nagle zciemniło się; spojrzałem w okno i postrzegłem w niem rzadkiej wielkości puchacza, z rodzaju skalnych, a w téjże chwili usłyszałem kilkokrotnie grobowe jego huknięcie. Machnicki porwał się z siedzenia, nawrócił ku ptakowi ucho z niespokojną uwagą, i nie bawiąc, zasunął proporce tak nagle, że nie postrzegłem się prawie i znowu sam zostałem.

VII.

Pożegnanie.

Ptak nie zaraz umilkł, słyszałem kilka razy jeszcze głos jego. Nastąpiła potem głęboka i długa cisza za zasłoną, przerywana tylko odgłosem dzwonek i kroków Machnickiego. Po pewnym czasie zasłona odchyliła się i Machnicki wyszedł w powszednim już stroju.

»Daruj, daruj,« zawołał ściskając mi ręce ze szczerą uprzejmością, »że tak nagle przerwałem posłuchanie. Sprawy państwa przedewszystkiém, nieprawdaż? Oznajmiono mi ważną naradę, dziś jeszcze wkrótce. Wszak słyszałeś tego ptaka? Nie bierz mi więc za złe, że się musimy rozstać. Sprawy publiczne przedewszystkiém. Dziś jednak czuję bardziej niż kiedykolwiek ich ciężar. Wszakże nie ostatni raz widzimy się? Spodziewam się, że odwiedzisz mię jeszcze. Przyjdź, jeszcze przyjdź jutro. Wiele, wiele mam jeszcze do powiedzenia. Co sły-

szaleś, to niczem jest prawie. Daj słowo, że przyjdiesz.“

Na całą tę mowę odpowiedziałem z równą szczerością, że jestem wyrozumiały na powód rozstania się, że nikt nie mógłby mu wziąć za złe tej gorliwości w dopełnianiu obowiązków, że pożegnanie w tej chwili jest i dla mnie przykre; wszakże osładza je nadzieja powtórnego widzenia się, że je przyspieszę o ile będzie to w mojej mocy; nakoniec przyrzekłem, że jutro znowu powrócę. Po tych i podobnych słowach pożegnania, Machnicki zapalił lampę, i oprowadził mnie tą samą drogą aż do otworu. Przy otworze miałem jeszcze nowy dowód jego dobrego serca, łatwo lgnącego, kiedy znalazł kogoś po swojej myśli.

»Odpocznimy tu chwilę,« rzekł, »zmordowałem się trochę.«

Ja jednak widziałem tylko w tém chęć pochlebną dla mnie dłuższego znajdowania się razem. Usiedliśmy na wschodach. Machnicki wziął mnie za rękę i mówił głosem malującym głębokie rozrzewnienie:

»Jak mi żal! jak mi żal, że tak krótko jesteśmy z sobą,« i łzy stały mu w oczach. Podobne chwile tak rzadkie są dla mnie; podobne spotkanie prawie nigdy. Wierz mi mój przyjacielu, że tego dnia nigdy nie zapomnę; wieczniebym żałował, gdyby miał być jedynym w mojem życiu. To taka rokosz znaleźć w tym świecie powszednim kogoś, coby cię rozumiał, któremu całą duszę otworzyć można, bez

obawy szyderstwa. Przyrzekłeś jednak, że wrócisz. Pamiętaj, wracaj; jutro, pojutrze, kiedykolwiek, tylko wróc. — Pamiętaj, że czekam, a czekanie to cierpienie i wielkie czasem. Ale jeszcze chwilę możemy być razem.«

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, przerwał je znowu Machnicki:

»Jaka szkoda, że musimy się rozstać. Nie wiem, co mię tak przywiązuje do ciebie. Może — kto wie — może ty będziesz moim następcą? Ale ty zapewne śmiejesz się w duchu z tych marzeń szalonych i ze mnie!«

Zdaje się, że ta uwaga wprawiła go w przykry stan duszy, umilkł na chwilę, zasepił się, nakoniec przechodząc w rozrzewnienie coraz głębsze, zawołał:

»Nie śmieję się przyjacielu, nie śmieję się ze mnie. Przysięgam na najświętsze tajemnice mojej duszy, że w tém wszystkim nie ma nic śmiesznego.

»O! gdybyś ty mógł przejrzeć mię na chwilę, zobaczyłbyś, co to za przepaść smutku, a jakiego smutku!« — tu łzy płynęły mu rzesnym strumieniem. — »Ale ty zstąpisz znowu między ludzi zwyczajnych; słońce mojego królestwa zajdzie dla twojej duszy; owionie cię morowe powietrze zimnego rozumu; usłyszysz znowu zewsząd: co to za wariat ten Machnicki, mieć się za króla jakiejś tam

kupki gruzów! A ja ci powiadam, że każdy z nich w swoim domu jest takim waryatem, tylko, że nie mają królewskiej duszy, królewskich moich uczuć.

»O! gdyby je mieli, gdyby każdy z nich był Machnickim na swoim miejscu, wiesz co by nastąpiło? powiem ci pod wielką tajemnicą: wkrótce powstałby jeden ogromny nieśmiertelny król — milion. Zapewne niesłyszałeś jeszcze o tej dynastyi? A tymczasem ona to jedynie odwiecznie tu panuje. I ja i podobni mnie, byli tylko chwilowymi jej namiestnikami: ale pan prawdziwy to ona; była nim i będzie.

»O! będzie. Wiem to dobrze. Ale nie przez tych, których mieszkania widzisz do koła po dolinach, mieszkania wykwintne, porządne; nie! nie przez tych, a sami temu winni; ale sama przez siebie, jak jest Bóg przez Boga. A wtedy kochani moi sąsiedzi, co się dzisiaj ze mnie śmieją, zapłaczą nad sobą; sami nazwą siebie, jak mnie dziś nazywają, ubiorą się sami w moją purpurę, w moją koronę, ale zapóźno; co dzisiaj zasługą, potem będzie karą. Moja i podobnych mnie rola, skończy się; moje tronowe ozdoby wyjdą z mody: nowy król będzie olbrzym, weźmie suknie stósowne do swojego wzrostu. Słońce mądrości i chwały milionów będzie jego koroną, przy niej reszta będzie wyglądać jak moja czapka.

»A wiesz kiedy to przyjdzie? Na wszystko są znaki, ostrzeżenia.

»Zajrzyj do ewangelii. Chrystus dopiero wtedy zmartwychwstał Bogiem, kiedy ciało jego umarło. Wszak tak? Resztę sam sobie wytłómacz. Ty jeszcze zobaczysz to wszystko. Część tej korony dostanie się i tobie; będzie ona tak wielka, że wszystkie głowy nakryje. Ja skończę w tej, w której cierpiałem. Ja już tylko na grób pracuję: o grób was tylko proszę. Niechaj nim będzie kupa tych gruzów, ta góra. Nie potrzeba żadnych napisów. Kto popatrzy, zaraz pozna, co w niej leży; gruz olbrzymiej myśli. Z tą myślą umrę spokojny.

»Robiłem co mogłem: nie mogę więcej. Bóg mi świadkiem, że nie mogę. Powiedźże sam, czy mogę? Może wiesz co jeszcze? Powiedz, a zrobię.«

Milczałem, odpowiedziałem Iżą serdecznego wzruszenia. I w rzeczy samej, można poświęcić więcej nad to, co Machnicki poświęcił? Można więcej cierpieć?

»Ale ja cię nudzę za długo, a przytém obowiązki moje. Sam przyznasz, że obowiązki przede wszystkim.

»Żegnam cię więc jeszcze raz, do widzenia. Do widzenia! pamiętaj, mój przyjacielu, mój bracie!«

Uściliśmy się z całego serca; głaz otworu podniósł się, wyskoczyłem szybko, głaz upadł, usłyszałem jeszcze głuche westchnienie Machnickiego, jak z grobu, potem cichość dokoła i gruzy.

VIII.

Zakończenie.

Sam tedy byłem wśród gruzów. Nie byłem sam. Cały czas przepędzony w podziemiu, zaległ pamięć, stał przed duszą, jak sen wprawdzie, ale jak sen bardzo wyraźny. Gdzie się zwróciłem, widmo Machnickiego zastępowało mi drogę; głos jego ciągle brzmiał w uszach; cała mowa jego wcielona w postaci żyjące, fantastyczne, krążyła po duszy rojem marzeń dziwnych, gorzkich, coraz posępniejszych. Usiadłem na gruzach, pojrzałem po okolicy, a cała okolica wydała mi się, jak żebym patrzył na nią okiem Machnickiego, puściejszą, bardziej martwą jak gruzy, wśród których spoczywałem. Ścisnęło się serce, lzy mimowolne stały w oczach, bolesne szyderstwo lechało we wszystkie uczucia, myśli urągania chwiały głową.

O nędzo czasów! mówiłem do siebie, i taki człowiek jest dla reszty świata niczym więcej, tylko waryatem? Świat go wyszydza, wytrąca z pośrodku

siebie, plwałby na niego, gdyby go nie sądził godniejszym litości jak pogardy; już to najmniej, kiedy go ma za nie. A tymczasem ten obłąkaniec czuje i myśli, jak nie czuje żaden z litujących się nad nim, jak nie myśli żaden z tych, co się mają za rozumniejszych od niego.

Oni rozumni, a on waryat! A on jednak pojął myśl, której oni pojąć nie mogą, i całe swoje życie stósuje do niej, i każdy krok jego jest jej koniecznością nieodpartą. Na chwilę nie zboczy z tej drogi; logiczność jego aż w okropność wpada, mimo to idzie wciąż dalej. Obrał sobie zawód, przyjął powołanie, i nie wykroczy przeciw niemu, aż cały puhar do dna wychyli.

Taki obłąkaniec nie powinien-że być wzorem dla tłumu owych bardzo rozumnych? nie więcej-że on wart od nich? I dla czegoż to wszystko robi? Po co to życie samotności, męczarni, poniżenia? Czy dla widoków osobistych? czy marzy o jakiej nagrodzie osobistej?

Nie! pełni swoją powinność, jak drzewo roszenie, jak kwiat kwitnie, jak słońce świeci dla drugich nie dla siebie. Ale w oczach powszedniego świata, to właśnie jest dowodem obłąkania.

O! gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj. Na korzyść pojedynczych rozumów rozzerwaliście mądrość ludzkości, rozbiliście na miliony

brzygów jej słońce, rozgrabiliście jego okruchy, zniszczyliście wzajemne ich powinowactwo, a przez to odebraliście każdej cząstce jej blask i ciepło, które wzajemnym tylko zasileniem się mogą trwać i działać: odebraliście im cały przymiot ich nadziemkości.

Wy się o to nie troszczycie; wy chcecie aby te światła były tylko narzędziami waszych osobistych celów, aby tylko służyły waszym potrzebom, aby im tylko wystarczały; a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejda bez niebieskiego światła i życia; ale jak długo się obejda? zobaczymy.

Chciałem wyjść nakoniec z tak niemilego stanu i rozpogodzić umysł wycieczką w okolicę; zerwałem się, popędziłem bez celu między góry i lasy; ale świeża nawałnica tak popsuka drogi, rozmoczyła ziemię, że każdy krok po śliskim i grzęskim błocie drażnił jeszcze bardziej wewnętrzne rozjątrzenie; wpadłem do reszty w zły humor i wróciłem do domu w nielepszym. Nie wspomniałem nikomu o mojem widzeniu się z Machnickim, ale zdradzałem się w każdej chwili. Przymawiałem mężczyznom, gadałem niegrzeczności kobietom, tak dalece nie byłem panem siebie, że jedna z mających prawo przemawiać do mnie poufałej, zmuszona była zawołać: czy pan oszalał?

Nazajutrz zabierałem się do powtórnych odwiedzin zameczyska. Dzień był piękny, obiecywałem

sobie, że dla mnie będzie rozkoszny. Inaczej się stało. Odjechałem w stronę całkiem przeciwną na zawsze. Po Machnickim wspomnienie mi tylko jednego dnia pozostało.

Gdyby los od mojego zyczliwszy dał komu w ręce kronikę Machnickiego, niech ją nam ogłosi, przynajmniej w wyjątkach. Sądząc z tego co czytałem, z tego co wiem o jej twórcy, mogę naprzód zaręczyć, że będzie to dzieło rzadkiej poezji, a przytém pełne wielkich, nowych i pożytecznych pomysłów, chociaż ubarwionych fantazją obłąkańca; bądź co bądź, jedyne w swoim rodzaju.



Czcjnkami C. H. Storcha i Spółki w Wrocławiu.

Nakładem Zygmunta Schlettera w Wrocławiu

wyszły następujące dzieła:

Zamek Kaniowski.	25	śr. gr.
Tegoż autora Oda. Powieść.	15	śr. gr.
— — Sobótka. Powieść.	10	śr. gr.
— — Anna z Nadbrzeża. Powieść.	1	tal.
— — Poezye Liryczne i Powieści wierszem	1 tal.	15 śr. gr.
Malczewski, Marja. Z ryciną. 1851.	10	śr. gr.
— — — oprawna	15	śr. gr.
Feliński, Aloizy. Dzieła. 2 tomy. 1840.	3	tal. 10 śr. gr.
Koźmian, Kajetan. Ziemiaństwo Polskie. 1839.	3	tal. 15 śr. gr.
Kamińska, Bronisława. Obrazy wieku dzieciennego, zbiór powieści dla dzieci od 6. do 9. lat. Z rycinami.	2	tal.
— — Podróż Malownicza po najciekawszych okolicach ziemi naszej. Z rycinami.	2	tal.
Skarbek, Hr. Fryd. Powieści i Pisma humorystyczne. 7 tomów. 1840.	7	tal.
Tańska-Hofmanowa. Małe powieści i rozmowy dla dzieci zaczynających po francusku. Z 4 obr. popraw.	1	tal.
— — Powiastki, powieści i komedyjki moralne. Z 6 obr. popraw.	1	tal. 5 śr. gr.

Nowy Sowizrał, figlarz jakich mało. Z 8 ryc.

15 śr. gr.

Pana Prawdzieckiego z Wymysłowa dziwne podróże
i przygody. Z 8 ryc.

20 śr. gr.

Wrózewski, X. Kazania adwentowe, świętne, pas-
yjne, przygodne i pogrzebowe. 1851.

1 tal. 10 śr. gr.

Dahlmann, Piotr. Nowy Słownik podręczny języka pol-
skiego i francuskiego. 2 t. 1846.

1 tal. 25 śr. gr.

Łukaszewski i Mosbach. Polsko-niem. i niem.-polski
słownik kieszonkowy. 4te wydanie. 1850.

1 tal. 10 śr. gr.



509746

Sz

kol. z biblioteki
RiW Śliwowskich

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0517778